

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

Cena 7 zł (w tym 5% VAT)

# KRAKÓW

www.miesiecznik.krakow.pl

Nr 09 (190) Wrzesień 2020



Ewa Demarczyk – zamilkł Czarny Anioł

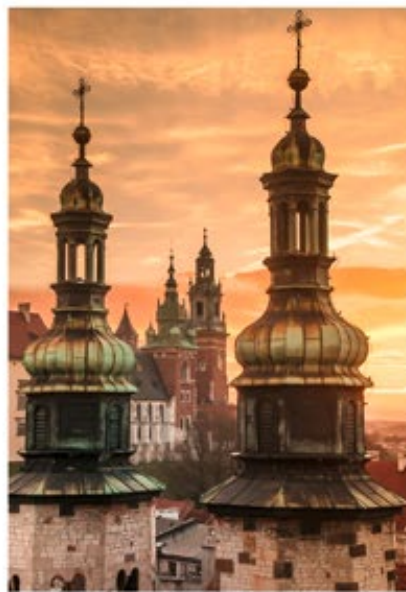
Olga Tokarczuk specjalnie dla nas

Jedziemy do Włoch! Przynajmniej czytelniczo

Marta Bizoń: śpiew, Neapol i Kazimierz

**Kraków**  
**nieodkryty**

9 771733 045002 08  
ISSN 1733-0459 Indeks 388726



Album:  
Made in Kraków

150 stron miasta

Autor:  
Przemek Czaja

Galeria zdjęć Przemka Czaja  
ul. Senacka 6 - Hotel Bogoria  
Album dostępny również w sprzedaży wysyłkowej  
zamówienia: [przemek.czaja@madeinkrakow.pl](mailto:przemek.czaja@madeinkrakow.pl)  
tel: 602312525 [www.fb.com/MadeinKrakow](http://www.fb.com/MadeinKrakow)





Bartolomeo Bezzi (1851–1923), *Bacio di sole a Verona*, 1914, olej na płótnie, 121 x 85 cm, Museum of Modern and Contemporary Art of Trento and Rovereto / © Wikimedia Commons (User: Mushroom)

## Podróż *Nel blu dipinto di blu*

Tekst: Katarzyna Włodyka De Simone

**„Znasz-li ten kraj, gdzie cytryna dojrzewa?” – napisał za Goethem Adam Mickiewicz, dając wyraz odwiecznej nostalgii ludzi spod szarego nieba za słońcem, światłem i barwami Południa. To tylko jedna z dróg do Włoch, a jest ich bez liku biegnących z różnych stron, z różnych epok, przez różne wymiary.**

Ku „sercu Europy”, „skrzyżowaniu kultur”, „kolebce cywilizacji” ciągną wielojęzycznym pochodem pielgrzymi, artyści, królowie, wygnańcy, marzyciele i poszukiwacze przygód. Po ich nawarstwionych śladach podążamy i my – uwolnieni od trudów dawnych podróży i ubożsi o część ich magii – lecz doświadczający nadal „syndromu Stendhala”, zawrotu głowy z nadmiaru piękna i szczęścia opisanego 200 lat temu przez francuskiego pisarza, który czuł się Włochem. Ściągamy do Włoch coraz tłumniej, mimo nacierającej

i na nie globalnej szarości, i często uśmiechamy się na słowo „Italia” na przekór jej pogmatwanej, często mrocznej historii, walącym się mostom, trzęsącej się ziemi. Co jest za tym uśmiechem? Balkon Julii w Weronie, weneckie gondole, muskuły Dawida, lody i plaża, *Stanze Raffaella*, biały szczyt Etny nad błękitną mgiełką, kryształ morza w Apulii czy *Rzymskie wakacje*? A może polskie nazwisko pod włoskim pejzażem lub krzak bzu, co w Taorminie obudził w Jarosławie Iwaszkiewiczu tęsknotę za Polską? Lub szmat błę-

kitu podszytego blaskiem: „blu dipinto di blu” ze sławnej piosenki?

Ile epok i ludzi, tyle dróg do tej wspólnej nam ojczyzny ducha, miłości, geniuszu – osobliwie harmonijnej całości, której obraz „stał się raz na zawsze obrazem bóstwa, przyrody i człowieka” i do której podróż „powinna stanowić jedno z rozstrzygających doświadczeń moralnych (...). Są kraje bardziej niezwykle, wspanialsze pejzaże, starożytniejsze cywili-

Podróż zaczyna się przed wyruszeniem. Nim staniemy na włoskiej ziemi, mamy w oczach gotową kliszę, przez którą będziemy na nią patrzeć. Sklejona z różności: z kadrów „górných” i „ziemskich” – istotnych, nieistotnych, oryginalnych, banalnych.

zacje tchnące niewypowiedzianym majestatem swoich sztuk i legend – pisze Paweł Muratow w *Obrazach Włoch* – [lecz] Włochy są ojczystym domem naszej duszy, żywą stronnicą naszego życia, rytmem naszego serca bijącego mocniej na widok rzeczy zarówno wielkich, jak i małych. (...) We Włoszech wszystko jest dla nas ważne i cenne. Ten sam rytm rządzi płaskorzeźbami Donatella i wieczornym ruchem florenckiej ulicy”.

Podróż zaczyna się przed wyruszeniem. Nim staniemy na włoskiej ziemi, mamy w oczach gotową kliszę, przez którą będziemy na nią patrzeć. Sklejona z różności: z kadrów „górných” i „ziemskich” – istotnych, nieistotnych, oryginalnych, banalnych. W podróżnym bagażu, oprócz samych siebie, w drogę zabieramy walizę cudzych spojrzeń barwiących nasze, a prym wśród nich wiodą spojrzenia Polaków. Meandrami lotnisk, ruin i zaułków powędrują z nami ulubieni autorzy oraz poznani tu i ówdzie „włoscy przyjaciele”. Jak w podcieniach Bolonii nie spotkać Kochanowskiego, w Rzymie Sienkiewicza, a pod cyprysem wśród antycznych grobowców Polaków romantycznej doby wzdychających z Zygmuntem Krasieńskim: „O ziemię włoską! W tobie bóg sam gości! Tyś sercem świata, w którym wrą płomienie, / W grobach twych mieszka nie śmierć, lecz natchnienie. I stróż twój wieczny – to anioł piękności!”? Jedzie

z nami Bernardo Bellotto, rozbitkowie z powstań modlący się o Polskę we florenckiej Santa Croce, generał Dąbrowski, co „z ziemi włoskiej do Polski”... Zabieramy „włoski” Kraków: Kallimacha, Berrecciego i królową Bonę z koszykiem włoszczyzny. Lecz pakujemy też najbardziej prywatne, mało warte na pozór drobiazgi: fragment obrazu, zdarzenia, zasłyszanej historii, muzyczny pasaż, kolor, echo emocji. Kolorowe szkiełka wrzucane latami do szuflad pamięci nie tylko zdecydują o kolorycie przyszłych wrażeń. To w nich kryje się często to, czego naprawdę szukamy.

Weźmy reminiscencje z dzieciństwa, stop rzeczywistości i bajek, najważniejszy zacytn tego, co nastąpi. Na przykład magię słów. „Rzym”: w błysku magnezji stają katakumby wieków, spiżowi gladiatorzy, barokowy pałac, olbrzymi i mroczny. W chybotliwym blasku złocą się łuski kopuły. Dokoła taras, archaiczne lotnisko. Właśnie wzbił się z niego latający dywan. „Wenecja” – sen Szeherazady. Labirynty lśnień, odbić i podskórnego dziania. Ałlasowa czerń, rzeźbiona biel, błyski purpury i ultramaryny. Niewidzialny festyn za różowiejącym widnokrzem. „Florenca” – srebrny filigran, cenna miniatura. Biały plac z kolumnadą wypełniony błękitnym powietrzem. Znad niebieskiej rzeki sunie orszak wiotkich postaci w turbanach jak gniazda feniksa. „Sycylia” – śnieg pada za oknem, pachną mandarynki, z cichych słów tłumaczki *Lamparta* wyłania się pomarańczowa od żaru planeta. Albo niektóre widokówki, koncentraty marzeń. Jak ta z Lazurową Grotą, po której został błękit i pragnienie śpiewu, tańca, gwizdania, fruwanía: barwa morza i nieba utożsamiona z ideą Włoch, „włoskiej podróży” i „włoskiego szczęścia”. I ta inna migawka o smaku wolności i przygody, z samotnej eskapady do Włoch pewnego krakowskiego profesora z czasów, gdy świat leżał daleko od Polski. „Widzę” do dziś w technikolorze, jak z uśmiechem na odmłodniałej twarzy pędzi wśród pinii pod wiatr na lambretcie, a na niebie przesuwają się profile słynnych miast (ach, to wzruszenie na widok drogowkskazów: „Werona”, „Urbino”, „Siena”...) Przypomina bohatera powieści, którą przeczytałam przed pierwszą włoską wyprawą. Młody Belg Jimmy z *Tempo di Roma* Alexisa Curversa przeżywa podróż z Mediolanu do Rzymu jak przebudzenie do nowego życia. „Krajobraz jest jak partytura” – pisze



Marek Zagańczyk w *Drodze do Sieny*. Widząc urodę we wszystkim, co tworzy włoski krajobraz – w sztuce i sławnych widokach, w zwykłych rzeczach i sprawach – Jimmy odczytuje w nim zaproszenie, by dać się ponieść życiu. By z ostrością odczuwania daną cudzoziemcom smakować każdą chwilę z głową w błękiecie.

W odległym 1817 roku Stendhal uznał Italię za miejsce, gdzie polowanie na szczęście jest szczególnie porywające. Czy to jest to samo szczęście, które miał na myśli Roger Peyrefitte, pisząc półtora wieku później, że „Włochy są już jedynym krajem, gdzie doświadczamy radości życia i który sprawia, że w nią wierzymy, nawet jeśli on sam w nią nie wierzy”? To samo, do którego tęsknimy, gdy rodzą się nasze wakacyjne projekty i siła, by przetrwać letnią próbę lotnisk i autostrad? Z pewnością Stendhal nie poznałby dziś „swojej” Italii sprzed zjednoczenia, fascynującej różnorodnością kształtów i treści. Pewnie i Peyrefitte nie odnalazłby „swoich” fascynujących Włoch początków nowoczesności i „dolce vita”, gdy do korowodu dawnych geniuszy dołączyli ci z rzymskiej Via Veneto, z Riwieri i z Capri.

Wiele dziś się zmieniło. Jakby włoski świat uległ spłaszczeniu, jakby utracił coś ze swej legendy. A przecież wciąż doń wracamy jak przyciągani magnesem, gotowi wznowić poszukiwania, zaczynając od tego, co pozostało. Italia to wszak ciągle „kraj jak mało który nasycony (...) wizualnością, zewnętrznie postrzeganą, widowiskową urodą życia” – zapewnia Piotr Sztompka, polujący obiektywem socjolog globtroter. W istocie nadal nie sposób oprzeć się błyszczącej powierzchni świata, nawet jeśli często przymykamy oczy, tłumacząc sobie jak Jimmy, że „pospolitość może być częścią wzniosłej całości”. Jak nie ulec urokowi orkiestr na Piazza San Marco, gwiazd w Portofino, taranteli na placuku z fontanną i kotem, spojrzeń mężczyzn na wieczornym korso („Tylko Włosi umieją patrzeć na kobiety” – twierdzi Jimmy)? I tyle wystarczyłoby do szczęścia, a przecież niewiedza nas często przeczuje, że pod tą paradą obietnic kryje się coś jeszcze. I rozpoczynamy – jak tyłu przed nami – inną podróż, w głąb i w poprzek rzeczy, wypatrując „tego czegoś” przez okna „pokojów z widokiem”, rozglądając się w olśnieniu po placu Cudów w Pizie, szukając furtek do piekła w rajskich

Wiele dziś się zmieniło. Jakby włoski świat uległ spłaszczeniu, jakby utracił coś ze swej legendy. A przecież wciąż doń wracamy jak przyciągani magnesem, gotowi wznowić poszukiwania, zaczynając od tego, co pozostało.

krajobrazach. Czujemy to „coś”, śledząc przez kolorowe szkiełka z walizki balon podnoszący się w błękit spod katedry w Trani i w nagłych kolorystycznych zachwytach. Ach, te pomarańcze, czerwienie i ochry na tle bizantyjskiego nieba letnich popołudni! „Azzurro, il pomeriggio è troppo azzurro per me” – śpiewa ochryplym głosem Paolo Conte i pod maską starego aligatora otwierają się „przepaście zmysłów”.

To „coś” jest nieuchwytnie, lecz wiemy, że istnieje, na przekór wszystkim. Wiemy o tym „od zawsze”, a potwierdzeń nie brak. Czy w *Zagadce przybycia i popołudnia* Giorgio De Chirico nie odnotował pojawienia się żagla w środku miasta, a Zbigniew Herbert w *Barbarzyńcy w ogrodzie* „dojmującego uczucia zastygłej wieczności”, jakiego doznał na Piazza del Campo w Sienie, gdy podnosił do ust kieliszek wina? Więc wracamy do domu, lecz tylko na chwilę. Bo gdy zapas słońca całkiem się wyczerpie, znów ruszymy w drogę. Wiemy, czego szukamy. Nosimy to w sobie: w kolorowych szkiełkach sprzed podróży i w tych nowych, uzbieranych na miejscu. Następnym razem na pewno się uda, oko podróżnika widzi wszak najlepiej. „Volare, cantare, nel blu dipinto di blu” – nucimy, zapalając lampę o jesiennym zmroku i, jak Domenico Modugno w San Remo, rozkładamy do lotu ramiona.



**Katarzyna Włodyka De Simone**

– wychowała się w Krakowie, w domu profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego, ale od ponad 20 lat mieszka we Włoszech. W wydawnictwie Austeria ogłosiła zbiór esejów o Sycylii i Toskanii *Teatr ciszy*

*i inne włoskie pejzaże podróżne*. Mawia, że w życiu miała szczęście do pięknych miejsc.

**TEMAT MIESIĄCA:  
CZARNY ANIOŁ ZAMILKŁ**

*Magnetyzowała, czarowała, przyciągała do sal koncertowych tłumy. Była jedną z tych artystek, które mogły zrobić światową karierę. Własną decyzją nie skorzystała z takiej szansy. Zamknęła się w domu w Wieliczce i zerwała prawie wszystkie kontakty. Odeszła Ewa Demarczyk (1941–2020).*

Magda Huzarska-Szumiec

s. 33

**KRAKÓW MÓWI**
**Dakar to życie w pigułce**

z Rafałem Sonikiem/Majka Lisińska-Kozioł

s. 19

**Najważniejszy jest ten błysk**

z Martą Bizoń/Ewa Kozakiewiczowa

s. 28

**Smak życia** z Agnieszką Kosińską/Sylwia Pyzik

s. 50

**ESEJ**
**Podróż *Nel blu dipinto di blu***

Katarzyna Włodyka De Simone

s. 1

**ŁUDZIE, MIEJSCA, WYDARZENIA**
**Synagoga i cmentarz Remuh**

Krzysztof Jakubowski

s. 10

**Spokój na Brackiej** Marta Gruszecka

s. 11

**Adam Wodnicki: tłumacz, poeta, eseista, artysta** Robert Piaskowski

s. 25

**Willa Decjusza – azył na krańcu Krakowa**

Marta Gruszecka

s. 40

**Franciszek Ziejka – Profesor**

arcykrakowski Anna Grochowska

s. 56

**Z fototeki Danuty Węgiel/Lata płyną i...**

(Olga Tokarczuk) Jakub Wydrzyński

s. 58

**Kronika kulturalna**

s. 87, 89

**Krakowski łącznik**

s. 90

**Kraków (Główny)**

s. 91

**Linia A–B**

s. 92

**24 GODZINY Z ŻYCIA LEKARZA**

**Za wcześniej na życie**

(prof. dr hab. Ryszard Lauterbach)

Magdalena Oberc

s. 12

**POLSKA MA GŁOS**

**Górnik rapuje za wolnością**

(Dominik Kearney) Witold Bereś

s. 60

**REKOMENDACJE**

**Zapiski z muzycznego podziemia**

Krzysztof Burnetko

s. 24

**Głowa, ręka, mózg na ścianie**

Magda Huzarska-Szumiec

s. 38

**Z literaturą po Nowej Hucie**

Krzysztof Jakubowski

s. 49

**Służba muzyce** Anna Woźniakowska

s. 62

**Lokomotywą przez świat Szancera**

Magda Huzarska-Szumiec

s. 86

**OBYWATELE KRAKOWA**

**Ślady codzienności (dr Agnieszka Świat)**

Magdalena Oberc

s. 8

**PORTRETY**

**Portrety 2020 (wrzesień)**

s. 18

**HISTORIA**

**Włosi w Krakowie** Ewa Danowska

s. 63

**TEATR**

**Teatr Jerzego Pilcha** Paweł Głowacki

s. 66

**FILM**

**Portrety, czyli gniazdo Kraków**

Maria Malatyńska

s. 74

**Szarlatan** Łukasz Maciejewski

s. 78

**LITERATURA**

**Miłość do samej miłości**

z Gają Hajdarowicz/Elżbieta Wojnarowska

s. 70

**Wiersze** Gaja Hajdarowicz

s. 72

**KSIĄŻKI**

**Nasza biblioteka**

s. 84

**Moja Krakowska Książka Miesiąca**

Janusz M. Paluch

s. 88

**GALERIA „KRAKOWA”**

**Przemek Czaja** Magda Huzarska-Szumiec

s. 46

**FELIETON**

**NA CZERWONYM ŚWIETLE** Ewa Lipska

s. 5

**OKIEM BERESIA** Witold Bereś

s. 6

**Z NAJWYŻSZEJ PÓŁKI** Krzysztof Burnetko

s. 7

**SMOCZE JAJO** Mieczysław Czuma

s. 81

**POZA KRAKOWEM**

Magdalena Miśka-Jackowska

s. 82

**BEDEKER KRAKOWSKI** Iga Dzieciuchowicz

s. 83

**LUBIĘ LUBIĆ** Agnieszka Kosińska

s. 96

**OKŁADKA**

**I'm happy again** fot. Przemek Czaja. Modelka: Magda  
(www.instagram.com/pani\_nie\_panna/)



# Na nowy szkolny rok

Tekst: Ewa Lipska

**D**rogie dzieci, ziemia jest płaska, kwadrat jest okrągły, koronawirus to królowa angielska, biała rasa to czarny scenariusz, globalizacja jest zmodyfikowaną żywnością, a człowiek, co już dawno udowodniono, pochodzi od Polaka.



**Ewa Lipska** – krakowianka, poetka, felietonistka, niegdyś redaktorka działu poezji Wydawnictwa Literackiego i dyrektorka Instytutu Polskiego w Wiedniu, członkini polskiego i austriackiego Pen Clubu oraz Polskiej Akademii Umiejętności i Stowarzyszenia Pisarzy Polskich.



Rys. Piotr Błachut

# Biblioteka!

Tekst: Witold Beres

**Mało co tak mnie ucieszyło ostatnio jak plakat „Nareszcie wróciliśmy! Musimy nadrobić zaległości – mamy wam tyle do opowiedzenia! Spotkajmy się w Bibliotece Kraków!”. Bo choć covid trwa i trwać pewnie będzie długo, to przecież musimy nauczyć się w miarę normalnie żyć. A jak żyć bez książki?**

Zapyta ktoś: po co biblioteki w czasach internetu? Ano po to samo, co zawsze. To książka pozwala nam wypłynąć na przestwór wyobraźni cudzej i rozrysować tę wyobraźnię samemu w sobie. Aby to się udało, trzeba do tej książki mieć jednak dostęp. Jak najszybciej.

Nic dziwnego, że potęga bibliotek odbija się co krok właśnie na łamach książek. Od popularnego książko-reportażu Barbary N. Łopieńskiej, w którym rozmawiała z wielkimi Polakami o ich bibliotekach (*Książki i ludzie*). Poprzez kultowe *Imię róży* Umberto

Są rodziny, które nie mają szczęścia posiadania książek w domu. Biblioteki są dla nich jedynym sposobem na czytanie.

z listu Kajetana I.10

Eco z biblioteką mądrości wszelakich. I po doskonałe *Auto da fé* Eliasa Canettiego, gdzie narrator bibliotekę chowa w swej głowie.

Nic dziwnego, że losy Biblioteki Aleksandryjskiej, największej czytelni świata starożytnego i jej koniec w płomieniach, rozpalają – *nomen omen* – wyobraźnię archeologów, którzy cały czas szukają jej lokalizacji.

\*

W Krakowie przez chwilę biblioteki były nieczynne, by wreszcie na początku wakacji otworzyć podwoje. W Sztokholmie, jak wiadomo, było nieszablonowo, w związku z tym nie tylko biblioteki, ale całe życie kulturalne funkcjonowało z małymi tylko przeszkodami. W Chinach większość książek, na które reżym akurat się zgadza, dostępne jest w chmurze, więc biblioteki w Wuhan były zamknięte. Słowem – co kraj, to obyczaj.

Czy to przeszkadza obywatelom?

W sieci trafiłem na taki oto list do kuratorium szkół w Redwood City, Kalifornia (tuż pod San Francisco) z połowy lipca tego roku.

„Piszę w imieniu społeczności uczniowskiej w sprawie proponowanego przez kuratorium zamknięcia bibliotek szkolnych. Z całym szacunkiem – uważam, że to naprawdę zły pomysł, który będzie miał jeszcze poważniejsze konsekwencje.

Już dziś wiele osób coraz częściej wyprowadza się z Redwood City. Zamknięcie bibliotek spowoduje tylko zwiększenie tej liczby. Bo ludzie chcą, aby ich dzieci otrzymały wykształcenie, a w tym pomagają biblioteki. Dzięki nim można poprawić swoje umiejętności czytania, ponieważ dzieci przynoszą książki

do domu i uważniej je czytają. A bibliotekarze, którzy im polecają książki, stają się ich przyjaciółmi.

(...) Niedawno, w zeszłym roku, z powodu cięć budżetowych i zamykania szkół, straciliśmy kilku świetnych nauczycieli. Teraz ledwie mamy czas, by rozluźnić się przed Covidem, a już na pewno nie jesteśmy gotowi na utratę bibliotek.

Są rodziny, które nie mają szczęścia posiadania książek w domu. Biblioteki są dla nich jedynym sposobem na czytanie, a bez tego oceny szkolne i postępy w nauce wielu dzieci będą spadać. Zamknięcie bibliotek sprawi, że ich oceny będą tonąć szybciej niż worki cementu! A przecież dzięki czytaniu można się wiele nauczyć przy okazji, nawet nie zdając sobie z tego sprawy! Ja na przykład poznałem tony mitologii greckiej czytając książki Ricka Riordena (nawiasem mówiąc, są świetne), a teraz korzystam, przy okazji innych aktywności, niespodziewanie mogę korzystać z mej wiedzy o mitach, nawet nie wiedząc, skąd ją mam. I niech nikt mi nie mówi, że na przykład komiksy psują mózg – przecież można znaleźć mnóstwo powieści graficznych uczących wspaniałych rzeczy (jak choćby opowieści o rewolucji amerykańskiej Nathana Hale'a)

Na pewno jest wiele sposobów na uniknięcie zamykania bibliotek szkolnych przy jednoczesnym zachowaniu bezpieczeństwa w tych niebezpiecznych czasach. (...) Krótko mówiąc – chodzi o to, aby nie zamykać bibliotek szkolnych! To po prostu nie ma sensu!

Kajetan Yoni Montauk, lat 10, klasa V, Redwood City, Kalifornia”.

\*

Można w tym liście zobaczyć mniej fajną stronę dzisiejszych czasów – braki oświatowe, finansowe, organizacyjne. Ale można dostrzec nadzieję. Tak, zamykanie bibliotek w najbogatszym stanie USA i brak dostępu do książek – martwią. Ale radośniejsze jest co innego – książka nadal jest potrzebna i wiedzą o tym młodsze pokolenia.

Od nas, dorosłych, a zwłaszcza od polityków, zależy teraz to, czy dostrzeżemy, jaką wagę ma nieskrępowany dostęp do książki. Bo tę wojnę z covidem toczyliśmy również w obronie dostępu do kultury.

A ja, choć biblioteka moja mnie przytłacza, książki zasypują i mam co czytać, po liście Kajetana od razu zapisałem się biblioteki.



**Witold Beres** – producent filmowy, scenarzysta, publicysta, pisarz. Redaktor naczelny miesięcznika „Kraków”.



# Bohaterowie z powydłubywanymi oczami

Tekst: Krzysztof Burnetko

To piękna karta przyjaźni polsko-czesko-słowackiej i zmagani o wolność. Ba, temat na scenariusz filmu sensacyjnego. A niedawno także pole współpracy samorządów nadgranicznych gmin. Teraz jacyś szmaciarze – z Polski – niszczą ją opętani polityczną propagandą i nienawiścią.

Był 21 sierpnia 1987 roku. Na leżącą w Górach Żłotyh Borówkową Górę, przez którą biegła granica PRL i CSRS, od osady Wojtówka maszerowała czołówka ówczesnej polskiej opozycji. Szli choćby, na wszelki wypadek w dwóch grupach, Jacek Kuroń, Adam Michnik, Zbigniew Romaszewski, Zbigniew Bujak. Z drugiej strony grani podchodzili liderzy Karty 77, czyli buntownicy czeszy i słowaccy: Václav Havel, Anna Šabatova, ksiądz (nielegalnie wyswięcony) Václav Malý, Petr Uhl, Petr Pospíchal, Jiří Dienstbier. Jedni i drudzy musieli wcześniej zgubić ogony policji politycznych, a teraz zmylić patroli pograniczników.

Na szczycie Havel – zgodnie z tradycją (było to już kolejne takie spotkanie – pierwsze odbyło się w Karikonoszach w 1977 roku) wyjął z chlebaka wałówkę i zaczął się usprawiedliwiać, że tym razem nie przyniósł nawet piwa, bo – jak ni to stwierdził, ni zapytał – podobno w Polsce w sierpniu nie pija się alkoholu? Szczęśliwie Kuroń miał z sobą wielki termos ze stosowną zawartością (bukłak wtachał na górę Mieczysław Dućin Piotrowski, który z Mirosławem Jasińskim reprezentował podziemną Solidarność Polsko-Czechosłowacką).

To spotkanie na szczycie – udokumentowane prowokacyjnym wspólnym zdjęciem pod tablicą „Granica państwa. Przekraczanie zabronione” – było zwieńczeniem trwającej już kilka lat akcji polskiej i czechosłowackiej opozycji. Polegała na przerzucaniu przez „zieloną granicę” wydawanych wbrew cenzurze książek, pism i kaset magnetofonowych oraz materiałów drukarskich. Kurierzy z obu stron, udając turystów, docierali w umówione miejsca na szlakach w okolicy granicy w Górach Żłotyh (3 punkty) bądź na Wschodnim Śnieżniku i tam wymieniali się wypełnionymi kontrabandą plecakami. Kursowali co 3–4 tygodnie od 1984 roku aż do listopada 1989.

Znamienne, że w Polsce akcja złączyła ludzi o różnych poglądach – zaangażowani w nią byli i działacze głównego nurtu „Solidarności”, i sympatycy Solidarności Walczącej, skupieni wokół mieszkającego w Łądku Zdroju Wacisława Martynowskiego.

Finał miał jednak dopiero nastąpić. Oto w sierpniu 1989 roku, kiedy w PRL było już po Okrągłym Stole i wygranych przez opozycję wyborach, w komunistycznej wciąż CSRS Stanislav Devátý, jeden z aktywistów Karty 77 (i uczestnik spotkania na Borówkowej), dostał wyrok 20 miesięcy więzienia. Postanowił, że tym razem nie da się wsadzić i ukryje w Polsce. Przyjaciele od przemytu książek zgodzili się przerzucić go przez granicę. 17 września członko-

wie Grupy Łądeckiej Solidarności Polsko-Czechosłowackiej sprowadzili go przez przełęcz Piekło (to tam kręcono *Bazę ludzi umarłych* na podstawie noweli Marka Hłaski) do osady Bielice. W tamtejszym kościele za wiedzą ks. Stefana „Kruszynki” Witczaka poczekali na samochód. Na szosie do Łądka trafili na dwie zapory Wojsk Ochrony Pogranicza, ale kierowca wyminał je w bondowskim stylu. Devátý ukrywał się w uzdrowisku, a potem trafił do Wrocławia, by po triumfie Aksamitnej Rewolucji wrócić do Pragi.

\*

Zacna karta, prawda? Nie dziwi, że w 2005 roku samorządy przygranicznych gmin obu krajów wybudowały na Borówkowej monument upamiętniający solidarny opór oraz postawiły tablicę z jego opisem i zdjęciami z sierpniowego spotkania. Oznakowano też szlaki, którymi szedł przemyt, a w internecie powstała strona informacyjna. Znowu: pięknie, prawda? Do czasu. Tego lata byłem akurat w okolicy i postanowiliśmy pójść na Borówkową, by zobaczyć historyczne miejsce. I zobaczyliśmy... Na polskiej wersji tablicy pamiątkowej zdjęcie z historycznego wydarzenia zostało zniszczone: ktoś szczyrykiem precyzyjnie wydłubał oczy w wizerunkach Jacka Kuronia, Adama Michnika i Jana Lityńskiego.

\*

Tak się składa, że sygnatariuszem deklaracji Solidarności Polsko-Czeskiej był także zmarły kilkanaście dni temu Henryk Wujec. Ilekroć Go spotykałem, a poznaliśmy się – z nim i Jego żoną Ludką – jeszcze w czasach podziemnych lat 80., był w biegu i targał wielką torbę pełną trefnych papierzysek. Niektórzy śmiali się, że Henek – już od czasów studiów, przez okres KOR-u, a potem „Solidarności” legalnej i nielegalnej – nosi z sobą kompletny materiał dowodowy dla prokuratora na swój proces. Imponował jednak nie tylko odwagą, ale też pracowitością właśnie oraz życzliwością i skromnością. Był z tych, którzy wykonywali najcięższą robotę, ale nie mieli w zwyczaju tym się chwalić.

Heńka, choć uwielbiał góry i też był zaangażowany w knucie z Czechami i Słowakami, w 1987 roku na Borówkowej nie było. Tylko dlatego, że akurat knuł gdzie indziej.



**Krzysztof Burnetko** – niegdyś wieloletni dziennikarz „Tygodnika Powszechnego”, później tygodnika „Polityka” (z którym współpracuje do dziś), pasjonat nart i autor wielu książek, z których najmilej wspomina te o Marku Edelmanie.





# Ślady codzienności

Tekst: Magdalena Oberc Zdjęcie: z archiwum Agnieszki Świat

**„W fotografii ważny jest dla mnie moment, chwila, która mogłaby nam umknąć, gdyby nie uchwyciła jej migawka aparatu” – mówi dr Agnieszka Świat, lekarka, która od kilku lat coraz aktywniej działa w środowisku krakowskich fotografów.**

Z zawodu jest pediatrą. A prywatnie żoną i mamą trójki dzieci. Prowadzi również badania naukowe. Jej fascynacja fotografią zaczęła się już w czasie studiów: – Miałam kolegę, który robił piękne zdjęcia Krakowa. Bardzo podziwiałam jego prace. Jednak uważałam, że środowisko fotografów jest hermetyczne, skupiające ludzi o artystycznych duszach. Nie sądziłam, że kiedyś mogłabym tam przeniknąć. Dlatego długi czas fotografia była tylko hobby, odskocznią od pracy.

Po zrobieniu doktoratu z medycyny w 2012 roku poczuła, że ma więcej czasu, by rozwijać swoje pasje. – Na kursach zaczęłam spotykać ludzi, którzy patrzą na świat tak jak ja, co dodało mi odwagi – wspomina. W roku 2017 zdobyła wyróżnienie w międzynarodowym konkursie Child Photo Competition *Close up*. Skończyła Otwarte Studium Fotografii przy Politechnice Krakowskiej. Obecnie jest studentką Szkoły Kreatywnej Fotografii Krakowskich Szkół Artystycznych.

Sama nazywa swoje prace humanistyczną fotografią dokumentalną. Na jej stronie internetowej można zobaczyć czarno-białe geometryczne obrazy miasta, kolorowe pejzaże z egzotycznych podróży, frapujące portrety lub zabawne murale. Od 2015 roku bierze udział w międzynarodowym projekcie 365, który polega na utrwalaniu każdego dnia. – Częściowo jest to dokument socjologiczny, a częściowo osobisty pamiętnik. Fotografuję moją rodzinę, nasze psy, konie z sąsiedztwa, symboliczne ślady naszej codzienności, podróże – wyjaśnia. – Dzieci przyzwyczyli się do tego, że zawsze mam przy sobie aparat.

W jej portfolio można znaleźć wiele wyróżnień w konkursach, wystawy, pokazny profil na portalu PhotoVogue, który pozwala na prezentację artystycznych zdjęć młodych artystów. Rok temu została przyjęta do Krakowskiego Klubu Fotograficznego. – To dla mnie wielkie wyróżnienie,

bo od lat podziwiam twórców zrzeszonych w tym, jednym z najstarszych klubów fotograficznych w Polsce – podkreśla. Decyzją

**Zdjęcia zatrzymują chwilę, którą każdy zapamiętuje inaczej. To są momenty, które przeminięłyby niezauważenie, gdyby nie zostały udokumentowane na zdjęciu. Najcenniejsze są zwyczajne gesty, mgnienie światła, gra kształtów i paleta emocji zatrzymana w obrazie. To jest najpiękniejsze w fotografowaniu.**

KKF Agnieszka Świat została Fotografem Roku 2019. Brała też udział w zainicjowanym przez krakowskich fotografów ulicznych Kraków Street Photo Festival, którego wystawy fotograficzne można było oglądać zimą w Składzie Solnym w Podgórzu, w Fundacji Tytano i klubie Hevre na Kazimierzu.

– Kraków jest miejscem bardzo przyjaznym fotografom: jest mnóstwo spotkań fotograficznych, wystaw, warsztatów, domów kultury. Prym wiedzie oczywiście Nowohuckie Centrum Kultury, które regularnie organizuje wystawy fotograficzne – zauważa.

Swoją pasją zaraża także rodzinę. – Dla mnie ciekawe jest to, że zdjęcia zatrzymują chwilę, którą każdy z nas zapamiętuje inaczej. To są momenty, które przeminięłyby niezauważenie, gdyby nie zostały udokumentowane na zdjęciu. Najcenniejsze są prawdziwe relacje, zwyczajne gesty, mgnienie światła, gra kształtów i cała paleta emocji zatrzymana w obrazie. To jest najpiękniejsze w fotografowaniu.



**Magdalena Oberc** – absolwentka teatrologii, dziennikarka i PR-owicz, zainteresowana tematyką społeczną i medycyną. Od kilku lat związana z Fundacją Ad Vocem, która przeciwdziała przemocy wobec dzieci.

# Synagoga i cmentarz Remuh

Tekst: Krzysztof Jakubowski Zdjęcie: archiwum autora

Są dwa cmentarze żydowskie w Krakowie – ten starszy to istna magia. Założywszy nakrycie głowy, wstąp tu, zrób zdjęcie współczesne i porównaj z tym sprzed lat...



Zgodę na budowę drugiej w żydowskim mieście synagogi wyjednał u samego króla Zygmunta Augusta zamożny kupiec Izrael Isserles. Miał to być dar dla jego syna Mojżesza, krakowskiego rabina i talmudysty zwanego Remuh. Wzniesiony w 1556 roku drewniany budynek wkrótce spłonął. Odbudowano go dwa lata później już w postaci murowanej. Renesansowy charakter synagogi przekształciły niekorzystnie późniejsze przebudowy.

Z synagogą sąsiaduje nieco starszy cmentarz, z pierwszymi pochówkami datowanymi na rok 1551. W Polsce starsze cmentarze zachowały się tylko we Wrocławiu i Lublinie. Rozszerzany kilkakrotnie liczy dziś 0,75 ha, a pierwotnie wejście prowadziło zasklepioną później bramą w murze od strony ul. Jakuba. Po przyłączeniu Kazimierza do Krakowa (1800) został zamknięty decyzją władz austriackich, podobnie jak wszystkie cmentarze miasta, położone zwykle obok zwartej zabudowy.

W czasie okupacji był systematycznie dewastowany przez hitlerowców, którzy urządzili tam na dodatek składowisko odpadów.

Kiedy w 1956 roku przystąpiono wreszcie do prac porządkowych i inwentaryzacji, zastanowienie wzbudziło to, że znaczne połacie cmentarza były puste, bez śladów po usuniętych grobach. Dopiero po przeprowadzeniu prac wykopaliskowych dokonano sensacyjnego odkrycia przysypanych grubą warstwą ziemi około siedmiuset nagrobków z okresu od drugiej połowy XVI wieku do pierwszej połowy XIX wieku. Wykonane z piaskowca i wapienia pińczowskiego, rzadziej z mar-

murowego, na ogół niekompletne i uszkodzone, pokryte były płaskorzeźbionymi ornamentami typowymi dla żydowskiej sztuki zdobniczej. Dziś ustawionych jest tam 711 nagrobków w typie tumbowym i w formie wolno stojących płyt (tak zwane macewy). Płyty, których nie udało się uratować, wkomponowano w mur od strony ul. Szerokiej, tworząc lapidarium na podobieństwo Ściany Płaczu.

Żydów z całego świata od dawna przyciągał grób otoczonego kultem Mojżesza Isserlesa, szczególnie w rocznicę jego śmierci przypadającą 12 maja. Tradycyjnie tłumnie było podczas kolejnej rocznicy w 1931 roku, co utrwalił reporter Agencji Światowid. Po prawej widać fragment synagogi, na wprost zaplecze trzech domów, przy ul. Miodowej 33–37 (wyburzonych w 1996 roku i zastąpionych nową, bezduszną zabudową). Dziwnym trafem grób ten wyszedł obronną ręką z wojennych zniszczeń.

Synagoga Remuh jest obecnie jedynym domem modlitwy, w którym regularnie odbywają się nabożeństwa (w każdy piątek i wszystkie święta żydowskie).

Najciekawsze zdjęcia typu *selfie* zrobione w tym miejscu będą nagradzane książkami miesięcznika *Kraków*.



**Krzysztof Jakubowski** – krakus, publicysta, miłośnik i popularyzator historii Krakowa. Autor m.in. dwóch tomów felietonów *Kraków na starych widokówkach* oraz książki o historii krakowskich kawiarni i cukierni *Kawa i ciastko o każdej porze*.

# Spokój na Brackiej

Tekst i zdjęcie: Marta Gruszecka

**Kolebka serdecznych ludzi i artystycznych dusz, kawiarnia oferująca wszystkie możliwe smaki soków do piwa. Miejsce, gdzie zawsze coś się dzieje, a nawet jeśli akurat nie, to koło północy z pewnością zacznie. Wystarczy, że przemiły (i jakże przystojny) barman Patryk włączy swoją ulubioną playlistę.**



Za nami trzynaste urodziny Spokoju. Gości, którzy przewinęli się przez to miejsce, było mnóstwo. Niektórzy pojawili się raz, innym zdarzyło się wpaść kilka razy, jest też grupa, która uważa go za swoją „bazę”. Do „bazy” przychodzi się przed wyjściem na większą imprezę, w jej trakcie, jeśli ta okazuje się pomyłką, lub po, kiedy liczy się na zabawę taneczną do największych przebojów przełomu XX i XXI wieku. Albo tak po prostu – posiedzieć. Wiosną przy lemoniadzie, latem przy szprycerze z lodem. Jesienią wpada się tutaj na „banieczkę z cytryną”, zaś zimą na grzańca z bakaliami, herbatę z prądem lub (dla kierowców) z miodem.

Kogo w Spokoju spotkamy? Stałymi bywalczykami są „Ach, dziewczyny!”, projektantki najładniejszych plakatów i grafik w Krakowie. Artystki łączą kobiece twarze z cechami charakteru i tworzą z nich portrety albo ułatwiają wybór przekąsek oraz drinków, serwując gościom przejrzyste menu. Na widok ich prac można śmiało krzyknąć „ach!”, a po przecinku wolać doprecyzować, co tak bardzo nas zachwycało.

Swego czasu na murze kamienicy przy Brackiej, dokładnie tej, którą mijają się w drodze z Rynku do Spokoju, wyświetlano wiersze. Autorem jednego z nich jest Patryk – naczelny polonista „bazy”, mistrz słowa i ciętych ripost. Oraz ten, który doskonale wyczuwa moment na *Kolorowy wiatr*, wie „jak zapomnieć” włączyć Spice Girls, gdy wszyscy, „prawdy do lewego”, domagają się Kayah i Bregovica, a także sprawia, że to Spokój jest miejscem, gdzie „muzyka wciąż gra”, a zdaniem Sistars jest „do tańca najlepsze”.

Figury taneczne wykonywane przez gości podczas serwowanych przez Patryka piosenek dokumentuje na zdjęciach Halszka. Przerwy na złapanie tchu wykorzystuje z kolei Lila, która zziąjanych tancerzy zaprasza wówczas na lekcje picia pióluńówki (to popisowy szot Spokoju). Nad samopoczuciem gości przez cały czas czuwa czujna Czujka, której zawsze trzymają się dobre żarty. I najważniejsze – o spokój w Spokoju dba jego szefowa Masia.

Wszystkiemu, co dzieje się w lokalu, przygląda się z boku symbol Spokoju, przebrany za lampę miś Haribo. Niejedno widział, na niejedno przytknął oko. Niejedno słyszał, ale udawał, że akurat drzemie. Kto wie, ile historii, gdyby tylko mógł, mógłby nam opowiedzieć?

A piwo w Spokoju smakuje pysznie i wcale się od niego nie tyje.

Spokój, ul. Bracka 3–5. Przykładowe ceny: piwo i szoty od 8 zł, lemoniada 10 zł, grzaniec 12 zł, grzaniec z bakaliami 15 zł.



**Marta Gruszecka** – dziennikarka z lekkim piórem i łębskim żartem. Rozmówczyni, która potrafi słuchoać. Miłośniczka kotów – czarnych i ciapatych. Maratonka, która nigdy się nie poddaje.





**Prof. dr hab. Ryszard Lauterbach**, od 1991 roku kierownik Oddziału Klinicznego Neonatologii w Szpitalu Uniwersyteckim w Krakowie, prezes Polskiego Towarzystwa Neonatologicznego, autor licznych publikacji naukowych o międzynarodowym zasięgu. Prywatnie mąż Janiny

Lankosz (pediatry, neonatologa, specjalistki medycyny ratunkowej), ojciec dwójki dorosłych już dzieci i dziadek; zapalony przewodnik wysokogórski. W trudnych chwilach kieliszek czerwonego wina i gra na fortepianie pozwalają mu odreagować stres.

# Za wcześnie na życie

**Tekst:** Magdalena Oberc **Zdjęcia:** Jan Zych (fotografia z oddziału) i Grzegorz Kozakiewicz (portret prof. Ryszarda Lauterbacha)

**Rok temu Polska śledziła historię sześcioraczków – taki cud zdarza się raz na 4,7 miliarda ciąż! – ze Szpitala Uniwersyteckiego w Krakowie. Urodzone w 29. tygodniu ciąży dzieci przez wiele miesięcy przebywały na Oddziale Neonatologii. Mało kto zdaje sobie sprawę, co to znaczy przyjść na świat dużo za wcześnie...**

Choć Szpital Uniwersytecki rok temu został przeniesiony do Prokocimia, Oddział Neonatologii pozostał w stylowym, niemal stuletnim budynku w sąsiedztwie Ogrodu Botanicznego przy ulicy Kopernika. Profesor Ryszard Lauterbach, kierownik oddziału, czeka przy wejściu. Z powodu koronawirusa wprowadzono wiele obostrzeń, Szpital Uniwersytecki jest przecież teraz placówką jednoimienną – przeznaczoną do leczenia chorych z Covid-19. Mam na sobie maseczkę, rękawiczki jednorazowe i przyłbicę, a gdy wchodzę na oddział dostaję również fartuch. Przy wejściach do wind i na oddziały zamontowane są pojemniki z płynami odkażającymi. W budynku nie widać zwykłego ruchu: nie ma czekających pod drzwiami ojców czy babć, nie słychać rozmów młodych matek. – Właściwie do połowy maja odwiedziny były zupełnie zabronione – wyjaśnia profesor. – Chyba jako pierwsi w kraju zdecydowaliśmy się popołudniami wpuszczać na pół godziny po jednej osobie na każdy oddział, a mamy ich trzy. Powstał więc grafik wizyt i każda matka raz na 2-3 dni może zobaczyć swoje dziecko.

## Granica przeżycia

Jest rano, więc na oddziale Intensywnej Terapii Noworodka nie ma odwiedzających. W 2005 roku oddział przeszedł gruntowny remont, a niemal cały sprzęt został kupiony przez Wielką Orkiestrę Świątecznej Pomocy. Piętro niżej znajduje się oddział Położnictwa i Ginekologii. Trafiają tu kobiety, które z różnych przyczyn narażone są na poronienie lub przedwczesny poród. Kiedy zespół neonatologów dostaje informację, że zaczęła się akcja porodowa lub cesarskie cięcie, natychmiast przygotowuje specjalistyczny inkubator do przewozu wcześniaków i udaje się na porodówkę. – Nigdy do końca nie wiemy, w jakim stanie będzie nasz pacjent, dlatego musimy być przygotowani na wszystko – wyjaśnia profesor. – Kiedy zaczynałem pracę w tym oddziale pod koniec lat 70. ubiegłego wieku, uważało się, że dziecko, które ma masę urodzeniową poniżej 1500 gramów, nie ma szans

na przeżycie. Dopiero jeśli któreś przeżyło dobie, podejmowano czynności medyczne – wspomina. Dziś ratuje się dzieci, które ważą zaledwie 500 gramów.

Co roku w Polsce rodzi się ponad 20 tys. wcześniaków, czyli dzieci, które przychodzą na świat przed 37. tygodniem ciąży, a ich masa urodzeniowa wynosi mniej niż 2500 gramów. Obecnie ratuje się dzieci urodzone w 24-25 tygodniu ciąży, jednak skrajne wcześniactwo obarczone jest ryzykiem występowania wielu poważnych schorzeń.

Profesor pokazuje mi takiego wcześniaka na oddziale intensywnej terapii. – Teraz już podrośł, waży 750 gramów – mówi z dumą. Maleńki człowieczek niewiele większy od mojej dłoni leży w inkubatorze otoczony poduszczkami i przykryty kolorowym, ręcznie dzierganym kocykiem. Przy stopach widać cienkie rurki prowadzące do kropłówek, do nosa podłączona jest sonda podająca pokarm, a w ustach tkwi rurka intubacyjna, dzięki której możliwy jest proces oddychania. Pośród tych wszystkich przewodów i aparatów dziecko wydaje się takie małe i kruche. Jego ciało drży delikatnie. – To mało istotny rodzaj wentylacji wysokimi częstotliwościami, rozprężamy w ten sposób jego niedojrzałe płuca – wyjaśnia profesor. – Dopiero od 36. tygodnia w płucach dziecka wytwarza się większa ilość pęcherzyków płucnych, co umożliwi samodzielne oddychanie. A tu mamy wcześniaki, które urodziły się w 25 tygodniu ciąży. Musimy zatem jakoś wspierać ich krańcowo niedojrzały układ oddechowy.

20 lat temu standardowo każdego wcześniaka podłączano do respiratora, a to wiązało się z licznymi powikłaniami. W 2003 roku





rozpoczęto tu podawanie mieszaniny tlenu i powietrza przez CPAP – system rurek, który dostarcza stałe ciśnienie dodatnie do układu oddechowego. Okazało się, że 75 procent dzieci dobrze reaguje na tę terapię i w konsekwencji spadła liczba dzieci z przewlekłym uszkodzeniem płuc.

Respirator przy innym stanowisku zaczyna niepokojąco piszczeć. Pielęgniarka spokojnie podchodzi, wkłada ręce do środka inkubatora i sprawnymi ruchami oczyszcza rurkę intubacyjną. Maszyna uspokaja się i znów miarowo pulsuje. Następnie podchodzi rehabilitantka: formuje z miękkiego wałka coś na kształt gniazda, dzięki któremu dziecko przyjmuje pozycję embrionalną. Tak mały wcześniak ma jeszcze zbyt słabe napięcie mięśni, więc odpowiednie ułożenie ciała jest ogromnie ważne dla jego dalszego rozwoju. Każda z pań doskonale wie, co ma robić: jedna zmienia pieluszkę, druga podłącza kroplówkę, a potem podchodzi do kolejnego stanowiska, przy którym znów odzywa się maszyna. Personel jest całkowicie opanowany i profesjonalny. – Tutaj w każdej chwili może się coś wydarzyć: może dość do zatrzymania krążenia albo przyjdzie wezwanie z dołu. Nie możemy stracić głowy, trzeba działać precyzyjnie i skutecznie – wyjaśnia Ewa Wojdoń, pielęgniarka pracująca na oddziale od 20 lat. Te maleństwa żyją tylko dzięki specjalistycznej aparaturze i skoordynowanej pracy całego zespołu. Ale to jeszcze nie jest happy end. Dopiero zaczyna się walka o ich przyszłość.

### Trudne początki

Niedojrzałe płuca to nie jedyny problem, z którym muszą poradzić lekarze. U niektórych pacjentów dochodzi do wylewów śródmózgowych, u innych rozwija się retinopatia wcześniacza, która może prowadzić do całkowitej ślepoty dziecka. Jednak prawdziwym zagrożeniem jest sepsa, czyli uogólniony stan zapalny, który może skończyć się śmiercią noworodka. Zespół profesora Lauterbacha od ponad dwudziestu lat bada mechanizmy zapalne u wcześniaków. – Od początku przyjąłem założenie, że wywołwana przez bakterie sepsa, w przebiegu której głównym mechanizmem uszkodzającym jest proces zapalny, nie może być leczona jedynie antybiotykami – wyjaśnia prof. Lauterbach. – Organizm dziecka na skutek obecności bakterii zaczyna produkować różne czynniki zapalne. Zaczęliśmy ograniczać tę reakcję poprzez podawanie pewnego leku. Zastosowaliśmy taką terapię jako pierwsi na świecie. Prace na ten temat opublikowane zostały w kilku prestiżowych pismach naukowych, a od niedawna międzynarodowy zespół prowadzi w Australii badania nad jej skutecznością na dużej grupie wcześniaków. Jeśli wyniki pokryją się z obserwacjami krakowskich medyków, pewnie taki schemat leczenia stanie się światowym standardem.

Każde takie odkrycie daje nadzieję, że uda się uratować więcej przedwcześnie urodzonych dzieci. Niestety, śmierć jest niejako wpisana w tę specjalizację. – Nikt z nas nie chce się bawić w Boga... Są takie chwile, kiedy trzeba przyjąć do wiadomości, że nic więcej nie możemy zrobić – mówi prof. Lauterbach. – Na pewno najważniejszym narządem jest mózg. Jeśli więc mózg jest nieodwracalnie uszkodzony, to nasze wysiłki są bezcelowe. W takich sytuacjach nie podejmujemy terapii uporczywej, pozwalamy dziecku odejść.

Co roku w Polsce rodzi się ponad 20 tys. wcześniaków, czyli dzieci, które przychodzą na świat przed 37. tygodniem ciąży, a ich masa urodzeniowa wynosi mniej niż 2500 gramów. Obecnie ratuje się dzieci urodzone w 24–25 tygodniu ciąży, jednak skrajne wcześniactwo obarczone jest ryzykiem występowania wielu poważnych schorzeń.

Mimo postępu medycyny i ratowania coraz mniejszych dzieci, każda matka wcześniaka zadaje sobie te same pytania: czy moje dziecko przeżyje? Czy będzie widzieć i słyszeć? Czy będzie zdrowe? Przez wiele miesięcy, a nawet lat będzie żyć w niepewności, obserwując każdy odruch, każdy niewielki postęp w rozwoju dziecka.

### Wiele szczęścia na raz

– Opieka nad jednym wcześniakiem jest ogromnym wyzwaniem, a co dopiero nad sześcioma – przyznaje Klaudia Marzec, mama pierwszych w Polsce sześcioraczków. Filip, Zosia, Tymon, Nela, Kaja i Malwina 20 maja skończyły roczek. – Rozwijają się zaskakująco dobrze. Byłam świadoma, że dzieci mogą mieć różne problemy zdrowotne, że będą potrzebowały specjalistycznej opieki i staraliśmy się wszystko tak przygotować, by zapewnić im najlepszą opiekę w domu. Dziś pięcioro z nich już samodzielnie siedzi, niektóre zaczynają raczkować.

Ciąża pani Klaudii została rozwiązana w 29 tygodniu. Wyznaczenie terminu rozwiązania było kompromisem pomiędzy położnikami, którzy obawiali się powikłań związanych z taką liczbą płodów, i neonatologami, którzy walczyli o każdy dzień dojrzałości maluchów. Położnicy przypuszczali, że urodzi się pięcioro dzieci, szósty noworodek był dla wszystkich zaskoczeniem. Media momentalnie zakochały się w tej historii i stale domagały się kolejnych informacji z oddziału, a te nie zawsze były dobre... Presja była ogromna. Jednak krakowski ośrodek ma duże doświadczenie w opiece nad wieloraczkami. Profesor Lauterbach pokazuje mi plik pocztówek ze zdjęciami pięcioraczków. Rodzina co roku przesyła takie oryginalne kartki z życzeniami na Boże Narodzenie. Ze zdjęć uśmiechają się śliczne dziewczynki w identycznych sukienkach. Urodziły się w 2008 roku w 26. tygodniu ciąży. Najmniejsza ważyła 570 gramów. Jako pierwsze w Polsce otrzymały mieszan-

kę lipidową kwasów omega-3, które odpowiadają za prawidłowe procesy zachodzące w układzie nerwowym i siatkówce. Profesor jest przekonany, że właśnie dzięki tej terapii poradzono sobie z retinopatią i innymi problemami, w których ograniczanie procesu zapalnego było ważnym działaniem terapeutycznym. Ich historia dawała nadzieję pani Klaudii, że jej dzieci też wyjdą na prostą.

– Początki były bardzo trudne, bałam się, czy dzieci przeżyją – wspomina mama szczęścioraczków. – Dziś to, jak się rozwijają, oceniam w kategoriach cudu. Każdy dzień podporządkowany jest opiece nad nimi. Dzieci są rehabilitowane, dwójka potrzebuje regularnych konsultacji okulistycznych, jeździmy na kontrole i szczepienia, szukam też specjalistów z zakresu terapii integracji sensorycznej. Skupiam się na tym, by czegoś nie przeoczyć, by każdemu z osobna poświęcić trochę uwagi, uspokoić, pobawić się, ale nie jest to łatwe. Gdyby nie pomoc rodziny i opiekunek zapewnionych przez Urząd Marszałkowski Województwa Małopolskiego nie poradziłibyśmy sobie.

W listopadzie z okazji Dnia Wcześnieka odbywają się coroczne spotkania rodzin dzieci, które w Oddziale Neonatologii SU spędziły pierwsze tygodnie lub miesiące życia. Zespół może wtedy znów zobaczyć wszystkie te wieloraczki i wcześniaki, ocenić ich postępy, powspominać z rodzicami czasami trudne, a czasami wzruszające chwile. Imprezę finansuje Krakowska Fundacja Dziecka Narodzonego Neonatus, która powstała przed laty z inicjatywy prof. Lauterbacha, by pokrywać koszty niestandardowych terapii wdrażanych w oddziale i nowego sprzętu medycznego. Od wybuchu pandemii fundacja wyposaża oddział w przyłbice, maseczki i fartuchy jednorazowe dla personelu medycznego i rodziców odwiedzających swoje dzieci.

### Poród z zaskoczenia

Po godzinie 15 na oddział intensywnej terapii wchodzi pierwsza mama. Chowa do torebki kolczyki i pierścionki, starannie dezynfekuje ręce, wkłada fartuch i rękawiczki jednorazowe. Jej córeczka Maria nie musi już przebywać w inkubatorze, przybrała na wadze i niedługo będzie wypisana do domu. Umie już samodzielnie ssać, więc matka natychmiast przystawia ją do piersi. – To wszystko miało być inaczej – opowiada Karla, która pochodzi z Brazylii. – Pod koniec ciąży miała przyjechać moja mama, ale w 31. tygodniu odeszły mi wody płodowe i zaczął się naturalny poród. Nie byłam na to przygotowana... Maria ważyła 1500 gramów. Powrót do domu bez niej był bardzo smutny. Oczywiście mam wsparcie męża, teściowej, przyjaciół, ale jest mi bardzo ciężko. Również dlatego, że nie mogę być tutaj cały czas.

Pandemia wszystkim skomplikowała życie. Pielęgniarki opowiadają o noworodku, który

spędził w oddziale kilka tygodni, chociaż był zupełnie zdrowy. Jednak jego rodzice i dziadkowie mieli koronawirusa i nie mogli odebrać go ze szpitala. Wiosną w Szpitalu Uniwersyteckim było sześć takich przypadków, kiedy matki miały pozytywny wynik na Covid-19 i zaraz po porodzie zostały odseparowane od swoich dzieci. Z dotychczasowych obserwacji wynika, że Covid-19 nie ma ciężkiego przebiegu u noworodków, jednak nikt nie chce ryzykować ich zakażenia, więc trzeba zachować maksymalne środki bezpieczeństwa.

Tymczasem w przedsionku już czeka kolejna mama, która przyjechała odwiedzić swoją córkę. – Mamy dla pani niespodziankę – informują ją pielęgniarki. Dziewczynka została rano odłączona od respiratora. Kobieta pierwszy raz widzi swoje dziecko bez maski tlenowej zasłaniającej twarz. – Jest śliczna – szepcze. Pielęgniarka wkłada rękę do inkubatora, by poprawić główkę małej. – Może chce ją pani pogłaskać? – pyta pielęgniarka. – Nie mam odwagi... – odpowiada cicho mama. Po policzkach spływają jej łzy.

### Prawie w domu

Na drugim oddziale leżą dzieci, które niebawem będą mogły opuścić szpital: przybrały na wadze i potrafią już samodzielnie ssać albo urodziły się w terminie, ale ich stan wymagał dalszej obserwacji na przykład z powodu żółtaczki. Wydają się bardzo duże w porównaniu z wcześniakami z intensywnej terapii. Tutaj czasu nie odmierzają dzwinki aparatury, ale niemowlęcy płacz.

Do sali wchodzi pani Anna, która przez sześć tygodni leżała na Oddziale Patologii Cięży w stanie zagrożenia przedwczesnym porodem. Wbrew przewidywaniom lekarzy udało jej się utrzymać ciążę do 32 tygodnia. – Mikołaj ważył 2600 gramów i dostał 8 punktów w skali Apgar, więc jestem szczęśliwa, bo w ciąży rokowania były bardzo złe. Teraz już nie chcę wracać do tych strasznych wspomnień. Wszyscy na niego czekają w domu – opowiada, przytulając dziecko do piersi.

W sąsiednim łóżeczku śpi mała, trzytygodniowa dziewczynka. Urodziła się w terminie, jest zdrowa. Ona takiej miłości nie otrzyma jeszcze przez wiele miesięcy, dopóki nie zakończą się procedury adopcyjne. W szpitalu będzie czekać na nową rodzinę.



**Magdalena Oberc** – absolwentka teatrologii, dziennikarka i PR-owiec, zainteresowana tematyką społeczną i medycyną. Od kilku lat związana z Fundacją Ad Vocem, która przeciwdziała przemocy wobec dzieci.

*Nareszcie wróciliśmy!*

*Musimy nadrobić zaległości –  
mamy Wam tyle do opowiedzenia!*



*Spotkajmy się  
w Bibliotece Kraków!*

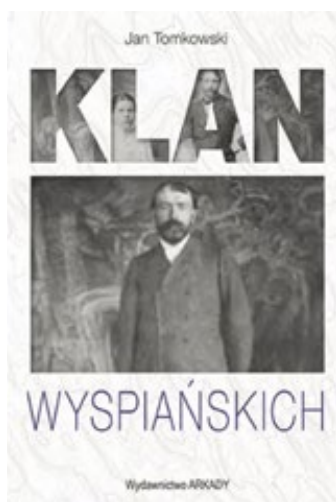
Więcej informacji na [www.biblioteka.krakow.pl](http://www.biblioteka.krakow.pl)



# PORTRETY 2020 (wrzesień)

Opracował Witold Beres

**Pandemia uniemożliwia prezentację innych dziedzin sztuki pokazujących rozmaitego rodzaju biografie. Na szczęście jakość powstających książek rekompensuje nam szczupłość w innych dziedzinach. Walka o finał naszego konkursu z pewnością będzie zacięta!**



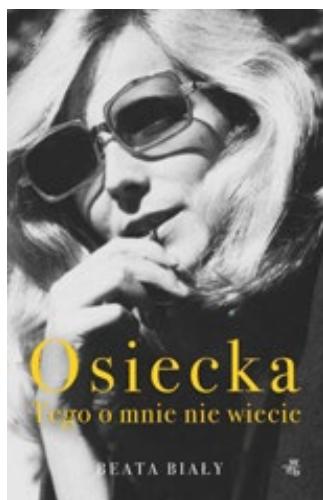
„Nie było w rodzie Wyspiańskich sławnych rycerzy spod Grunwaldu albo chociaż spod Wiednia, próżno w nim szukać królewskich dostojników, wpływowych magnatów czy arystokratów z budzącymi zazdrość tytułami i olśniewającym rodowodem. (...) Nie błyszczeli na salonach, nie dorabiali się wielkich majątków, omijały ich najwyższe stanowiska, nie sięgali po władzę ani pieniądze. Poza Stanisławem, którego pośmiertna sława zdecydowanie przewyższyła uznanie, jakim cieszył się za życia, byli raczej bohaterami drugiego planu”.

Po *Klanie Kossaków* i *Klanie Matejków* w doskonałej serii Arkad przyszedł czas

na trzymający poziom najwyższy tom *Klan Wyspiańskich* profesora Jana Tomkowskiego, eseisty, prozaika, historyka literatury i idei. Jest oczywiście sporo o ojcu wielkiego twórcy, a także o stryju, ciotce, kuzynach, żonie i dzieciach w rodzinie – ale najciekawszy jest kontekst życia Geniusza z Krakowa, czyli Stanisława Wyspiańskiego. Bo jakże często umyka nam codzienność życia wielkich twórców, ich potyczki codzienne, w tym – a jakże – rodzinne.

Doskonała rzecz nie tylko dla miłośników Wyspiańskiego.

**Jan Tomkowski, *Klan Wyspiańskich*, Arkady, Warszawa 2020.**



„Przyjaciele moi i moje przyjaciółki! Nie odkładajcie na później ani piosenek, ani egzaminów, ani dentystry, a przede wszystkim nie odkładajcie na później miłości. Nie mówcie jej: »Przyjdź jutro, przyjdź pojutrze, dziś nie mam dla ciebie czasu«. Bo może się zdarzyć, że otworzysz drzwi, a tam stoi zziębnięta starszka i mówi: »Przepraszam, musiałam pomylić adres...«. I pstryk, iskierka zgaśnie”.

Te znane słowa Agnieszki Osieckiej z *Rozmów w tańcu* (1992) nie przez przypadek jako motto otwierają tę książkę. Bo to rzecz o miłości – nie tylko wielkiej poetessy, ale i nas wszystkich do niej. I taka jest też

ta opowieść – pisana z miłością, poprzez relacje i wywiady kilkunastu jej przyjaciół. Jak wyznaje autorka: „Zakochana w poezji Agnieszki Osieckiej ruszyłam na spotkania z jej przyjaciółmi”. Ciekawi rozmówcy (między innymi Barbara Wrzesińska, Olga Lipińska, Maryla Rodowicz, Stan Borys, Dorota Stalińska), dobra kompozycja (wszystkie rozdziały zaczynają się cytatami z wierszy Agnieszki Osieckiej).

Słowem: portret rozpisany na wiele głosów. Czyta się, wzrusza się, myśli się.

**Beata Biały, *Osiecka. Tego o mnie nie wicie*, WAB, Warszawa 2020.**



„Chciałabym, żeby to moja mama opowiedziała swoją historię, żeby przemówiła własnym głosem, ale gdy ją do tego zachęcałam, uparcie odmawiała. Raz, kiedy uznała, że zbytnio nalegam, zareagowała ostro:

– Moje życie nie jest na sprzedaż!

Podejrzewam, że kierowało nią przeświadczenie, którego nabyła w ciągu długich lat, że nikt, kto nie przeżył tego, co ona, lub kto nie dzielił z nią jej doświadczeń, nie będzie umiał w pełni pojąć tego, co przeszła. Czasem udawało mi się ją namówić, żeby mi pozwoliła jakiś fragment nagrać na taśmę, ale resztę wydarzeń przedstawiam tak, jak je zapamiętałam z jej re-

lacji. (...) Ale muszę opowiedzieć tę historię także dla samej siebie”.

Ta pokaźna księga, blisko 800 stron, to autobiograficzne wspomnienie o życiu rodziny przed, w czasie i po drugiej wojnie światowej w Polsce. Życie, w którym ideologie XX wieku, komunizm, syjonizm, faszyzm i antysemityzm, odgrywały swoją rolę. Opowieść, przeplatana wspomnieniami matki, która – podczas okupacji niemieckiej – ratowała za wszelką cenę niedawno urodzone dziecko.

**Irena Powell, *Córka, która sprzedała matkę*, tłum. Elżbieta Tabakowska, Austeria, Kraków 2020.**

# Dakar to życie w pigułce

Rozmawiała Majka Lisińska-Kozioł Zdjęcia z archiwum Rafała Sonika

**Rafał Sonik: Takich rajdów terenowych jak Dakar nie wygrywa się tylko entuzjazmem, energią i przygotowaniem fizycznym. Trzeba mieć jeszcze pomysły i plan. Tak jak w biznesie.**

**Majka Lisińska-Kozioł: W tym roku o miesiąc później niż zwykle otwarto listę zgłoszeń do rajdu Dakar 2021. Odpowiedział Pan natychmiast. Pandemia nie osłabiła zapału do ryzyka i walki o zwycięstwo na swoim quadzie?**

Rafał Sonik: Wirus to duże utrudnienie, ale o tym, czy projekty są realizowane, decyduje człowiek – jego wytrwałość oraz staranność. A gdy trzeba, to i odwaga w podejmowaniu ryzyka. Tak działałem podczas rajdu Dakar, który jest życiem w pigułce, skróconym do dwóch intensywnych tygodni. Każdy, kto chce uprawiać ten sport, powinien być gotowy na niekomfortowe, trudne sytuacje i umieć ocenić, z czym można walczyć, a co trzeba zaakceptować. Podobnie jest w działalności, jaką prowadzę jako przedsiębiorca. Teraźniejszość jest trudna, ale nie pierwszy raz mierzymy się z kryzysem. Dziś podstawą jest dla mnie zachowanie stanu zatrudnienia oraz utrzymanie firmy na powierzchni. Procentuje staranna rekrutacja. Tworzymy zespół, który ma wspólny cel i jest zdolny do poświęceń potrzebnych, by go osiągnąć. W naszej branży zaciskanie pasa będzie nieuniknione, ale wierzymy, że odpowiednio reagując na zmieniającą się rzeczywistość, wyjdziemy na prostą. Co ważne – w niezmiennym „sQuadzie”. **No to spójrzmy na pańskie wyzwania, sukcesy i porażki. W 2018 roku na wydmach Peru zmiażdżył Pan głowę kości piszczelowej. Lekarze wątpili w Pana powrót do sportu. A Pan wygrał Puchar Świata i w Dakar 2020 stanął na podium.**

Mówili, że jeśli wsiądę jeszcze na quada, to będzie cud. Chciałem tego cudu, więc poddałem się żmudnej rehabilitacji i trenowałem. Niemniej dolina, w której psychicznie i kondycyjnie się wtedy znalazłem, była bardzo głęboka. Tymczasem Dakar to przecież Himalaje rajdów. A na najwyższe szczyty nie wchodzi się wprost z doliny. Żeby móc mierzyć się z wierzchołkiem zakłada się bazę, a potem obozy.

**Gdzie Pan zakładał swoją bazę i obozy?**

Startowałem, gdzie się dało. Testowałem możliwości pogruchotanej nogi. W 2019 roku sięgnąłem po dziwięty Puchar Świata, ale przede mną był Dakar. Wiedziałem, że od pięciu najszybciej jadących zawodników z pierwszej dziesiątki tej imprezy jestem o 10–11 procent cięższy, 20 lat starszy, a przez kontuzję odstałem kondycyjnie. Wiedziałem też jednak, że piękno tego sportu to czas, przestrzeń i wewnętrzna siła zawodnika – trzy elementy, które każdego nas pchają ku mecie odcinka. Taki sportowy absolut. To, że finalnie stanąłem tam na podium, było dla mnie powodem do ogromnej radości i satysfakcji. W dodatku wygrałem jedenasty etap (w Dakarze 2020 było ich 12 plus jeden nieliczony do klasyfikacji generalnej), czyli 379-kilometrowy odcinek specjalny na otwartej pustyni. Wystartowałem jako trzeci. Na 20 kilometrów wyprzedziłem drugiego, 10 kilo-

metrów dalej prowadzącego i zakładałem pierwszy ślad quada przez kolejne 350 kilometrów. Mimo że lepiej jedzie się z tyłu...

**Dlaczego?**

Bo, na przykład, łatwiej czytać załamania wydm. Jeśli kolega jadący przede mną szybko znika mi z oczu, to wiem, że wydma jest załamana, a gdy znika powoli – że jest obła. Ta wiedza pozwala lepiej układać ciało w czasie jazdy i oszczędzać energię.

Ostatni, trzynasty, odcinek nie był wliczany do wyniku. Wystarczyło go przejechać i zameldować się na mecie, żeby mieć zaliczony cały rajd.

Tylko że w Dakarze liczą się wyłącznie zwycięzcy. Kto nie wygrał w swojej kategorii, miał okazję się pokazać. Zawodnicy nie znali trasy, do przejechania było 13 kilometrów po zerodowanym terenie, między spadającymi głazami, po piargach. To był sprint, a w sprincie liczy się każde dotknięcie sprzęgła, hamulca czy gazu. Wygrałem ten etap. O sekundę.

Piękno rajdów to czas, przestrzeń i wewnętrzna siła zawodnika – trzy elementy, które każdego nas pchają ku mecie odcinka. Taki sportowy absolut.

**W Pana rajdowym życiu zdarzały się też dramatyczne momenty.**

Niedawno ktoś mnie zapytał, czy byłem świadkiem czyjejś śmierci na rajdzie. Intuicyjnie odpowiedziałem, że kilku. Ale gdy zacząłem opowiadać o tragicznych zdarzeniach, które działy się na moich oczach, wspomnieniom nie było końca.

**Pamiętając tamte wydarzenia, własne doświadczenia i myśląc o swoim kilkuletnim synku, który czeka w domu, stał się Pan ostrożniejszy?**

Proszę spojrzeć: to moje puchary, medale, dyplomy. Moje wygrane, moje drugie, ale też ósme miejsca. Historia mojego sportowego życia. Mam powody do dumy. Ale wraz z upływem lat wydłuża się perspektywa, z której patrzę na te dokonania. Doświadczenia zmieniają samoocenę i ocenę świata wokół. Poza debiutem, wyruszając na każdy kolejny Dakar, wiedziałem, że jadę walczyć o zwycięstwo, że będę się starał utrzymać w czołówce i jeśli okoliczności pozwolą, będę atakował każde wyższe miejsce. Odpowiedź na pani pytanie tkwi w słowie „okoliczności”. Otóż bywa, że aby osiągnąć dobry wynik, trzeba zaryzykować. Czasami się to opłaca. Tylko że ja już nie ryzykuję zbyt dużo.

**Czyli?**

Nie dodaję gazu, zanim nie wjadę na górę i nie sprawdzę, co za nią jest. Bo wiem, że może tam być choćby głazowisko, na którym się połamie albo w którym



**Rafał Sonik** – urodził się w 1966 roku w Krakowie, dorastał w Nowej Hucie, skończył I LO im. B. Nowodworskiego. Jest pierwszym polskim kierowcą, który wygrał Rajd Dakar (2015 rok w kategorii quadów). Trzy razy był też trzeci, a raz drugi. W 2019 roku wywalczył ósmy i dziewiąty Puchar Świata w rajdach terenowych cyklu FIM, ma sześć tytułów mistrza Polski w enduro i motocrossie quadów. Elefant – pierwsza firma Sonika – powstała, gdy studiował na Akademii Ekono-

micznej (obecnie UE). Otworzył w Krakowie pierwszą restaurację McDonald's. Miał wkład w sprowadzenie do Polski koncernu British Petroleum. Jego spółka Gemini Holding zrealizowała ponad 160 obiektów w całej Polsce. Działa też w branży IT, farmaceutycznej, księgarskiej i deweloperskiej. Założył Polskie Stowarzyszenie Czterokołowców ATV Polska. Jest prezesem Stowarzyszenia Czysta Polska, które co roku organizuje wielką akcję sprzątania gór pod nazwą „Czyste Tatry”.



utknę. W kategoriach menedżerskich można powiedzieć, że jadąc w rajdzie, zarządzam ryzykiem. Gdy się ma rodzinę, podejmując decyzje, przyjmuje się wariant najbezpieczniejszy, choć przecież i tak ryzykowny.

#### **Czy po skomplikowanym złamaniu poradził sobie Pan z psychiką?**

Nie wystarczyłbym sobie sam. Potrzebowałem pomocy, żeby poskładać się od nowa. Od dwóch lat, zacząłem niedługo po wypadku, pracuję regularnie z psychologiem sportu. Wcześniej uważałem, że tak doświadczonemu zawodnikowi jak ja taka współpraca nie jest potrzebna. Myliłem się.

#### **Jest pan sportowcem, biznesmenem i przedsiębiorcą.**

Sportowcem i przedsiębiorcą. Nie kupuję, by sprzedać z zyskiem jak biznesmen. Tworzę coś lepszego z czegoś gorszego albo wymyślam coś innowacyjnego. Restrukturyzuję. Zmiana zastanej rzeczywistości to dla mnie największa przyjemność.

#### **Prywatnie stać Pana na dużo.**

Owszem, ale radość i satysfakcję czerpię nie z tego, że mógłbym jeździć najnowszym modelem bmw. Dwuletni samochód tej marki jest tak samo dobry jak nowy. I dlatego od wielu lat kupuję używane auta, które są tańsze niż nowe, a różnicę w cenie przeznaczam na cele społeczne. Po to, żeby żyć szczęśliwie, nie jest mi potrzebny jacht, prywatny odrzutowiec czy wyspa. Raczej to, że zmieniam na lepsze czyjeś życie – i nie chodzi tu tylko o pieniądze, częściej o to, że daję nadzieję, motywację, że dzięki mnie ktoś łapie wiatr w żagiel.

**Dlatego pomaga Pan Stowarzyszeniu „Siemacha”.** Dzieci z „Siemachy” często nie mają rodziców lub z innego powodu są zaniedbane. Na dodatek przez to, jak ułożyło się ich życie, zwykle uważane są za ludzi drugiej kategorii. „Siemacha” daje im szansę na spełnianie marzeń. Z radością w tym uczestniczę.

#### **Po co Panu taka aktywność?**

Bo miał rację Jan Paweł II, mówiąc, że człowiek jest wart tyle, ile daje innym. Moja osobista filozofia jest bardzo prosta: to, że mam się czym podzielić w małym stopniu jest moją zasługą. Reszta to splot wielu okoliczności.

#### **Jakich?**

Na przykład tego, że w 1989 roku odzyskał się wolność. I że moi rodzice okazali się przedsiębiorczymi ludźmi. Pamiętam pierwsze porządne narty, które jako trzynastolatek od nich dostałem – atomiki, biało-zielono-szare. W połowie zimy ukradziono mi je spod baru na Gubałówce. Wracając do Krakowa jak zbity pies. Powiedziałem rodzicom, jak straciłem narty i poprosiłem o nowe. Obiecałem, że następne sfinansuję sobie sam. Uwierzyli we mnie i kupili mi drugie narty, choć był to dla nich spory wysiłek finansowy. Jakiś czas później na Kasprowym Wierchu spotkałem członków kadry alpejskiej, dużo starszych zresztą ode mnie. Chwalili się, że właśnie dostali z Polskiego Związku Narciarskiego nowe deski, więc stare wstawią do składziku. Zebrałem się na odwagę i zapytałem, czy mógłbym te stare narty odkupić, a oni się zgodzili. Odnowiłem je i sprzedałem komuś innemu. Zacząłem zarabiać. Dziś też prowadzę różne interesy i zarabiam. Nigdy jednak nie zadaję sobie pytania „dać czy nie?”, ale „ile mogę

dać?”. Gdy ktoś mi dziękuje, odpowiadam: „cieszę się, że mogłem”.

#### **Czyli nie jest pan krakowskim centusiem.**

Lubię się dzielić. Zamiast lecieć klasą biznesową na Sardinie czy gdzieś indziej, kupuję za te pieniądze dwadzieścia biletów turystycznych i zabieram znajomych. Dla mnie radość życia, to nie jest wygoda w hotelu, ale uśmiechy ludzi wokoło. Oni są zadowoleni, że mogą zrobić coś, na co by sobie nie mogli pozwolić, a ja – że robimy to razem. Pieniądze są takim samym skarbem jak wiedza, konkretne umiejętności, dowcip. I my się dzielimy między sobą tym, co każdy z nas ma. Wspólnie z tego korzystamy. W społeczeństwie rynkowym, dbającym o indywidualne kariery, raczej nie ma już takich relacji, a tu u nas, w Krakowie – owszem.

#### **Czym dla Pana jest porażka?**

Nie jest tragedią, ale zdarzeniem w życiu. Ważne, by wyciągać z niej wnioski. Tak jest też podczas Dakaru. Jest sto tysięcy powodów, które mogą nas z tego rajdu wykluczyć. Ale nie można go wygrać przez przypadek. Trzeba ustalić taktykę i ją zasto-

To, co dobrego nam się w życiu przydarzyło, jest fundamentem. Natomiast to, co złe, jest jedynie lekcją.

sować. Pierwszy raz na Dakar pojechałem w 2009 roku. Nie wiedziałem, co tak naprawdę mnie tam czeka, nie umiałem nawigować, nigdy nie przejechałem więcej niż 300 kilometrów na raz, a tam codziennie było do pokonania 500–800. Dojechałem do mety trzeci, więc następny rajd planowałem wygrać. Byłem młody, chciałem udowodnić, ile jestem wart. Pierwszy etap był mój, a następnego dnia wypadłem z drogi. Zostało jeszcze dwanaście dni jazdy, a ja nie miałem już szans na wygraną. Mogłem za to poznać swój charakter. W kolejnych latach też byłem wystawiany na próbę. W 2011 miałem wypadek, w 2012 byłem czwarty, ale zakwestionowano moje miejsce na mecie. Wytoczyłem organizatorom proces; wygrałem go, ale dopiero w ostatniej, siódmej instancji – przed Trybunałem Arbitrażowym w Lozannie.

#### **Dlaczego Pan nie odpuścił?**

Bo podważono moją uczciwość jako sportowca. Mówiono, że przedstawiłem nieregulaminowy sprzęt, a to była nieprawda. Werdykt trybunału był merytoryczny i miazdzący. To ja miałem rację.

#### **Jakie cechy trzeba posiadać, żeby osiągnąć sukces w sporcie i jednocześnie w biznesie?**

Najważniejsza jest chyba umiejętność trzymania siebie w ryzach. Dakar to długi rajd, w którym każdy zawodnik ma chwile słabości, euforii, przerażenia, stresu czy rezygnacji. Ale są też chwile niezwykłego szczęścia. Jak w życiu. Od pierwszego startu chciałem Dakar wygrać, a udało się dopiero za siódmym razem. Wcześniej były rozczarowania. Ale walczyłem. Tego nauczył mnie tata. Mówił, że trzeba cierpliwie dążyć do celu, a prędzej czy później się go osiągnie. I że każda kolejna porażka musi skłaniać do jeszcze wnikliwszej anali-





zy, by znaleźć odpowiedź na pytanie: dlaczego się nie udało? Po zajęciu drugiego miejsca w Dakarze w 2014 roku, przeanalizowałem przygotowania i przejechane odcinki. Okazało się, że jeżeli śpię mniej niż 6 godzin, myślę się znacznie częściej, niż gdy jestem wypoczęty. Z moich wyliczeń wynikało, że nie przegrywam z przeciwnikami, tylko z własną niedoskonałością. Kiedy prześledziłem wszystkie moje wcześniejsze sześć Dakarów, uświadomiłem sobie, że w 2014 roku wprawdzie przegrałem o półtorej godziny, ale popełniłem błędów na prawie trzy i pół. To wtedy jako pierwszy w historii Rajdu Dakar powierzyłem przygotowanie roadbooka doświadczonemu motocykliście, przyjacielowi, Hiszpanowi Julianowi Villarubia. Ten manewr się sprawdził, Julian zrobił swoje, ja spałem dłużej, popełniłem mniej błędów i w 2015 wygrałem rajd. Zrozumiałem, że aby przeskoczyć samego siebie, trzeba dojść do takiego poziomu analizy, do którego mało komu chce się dochodzić.

Doświadczenie pokazuje, że im trudniejszy, dłuższy, bardziej wymagający etap w rajdzie, tym szanse na wygrana są większe. Bo w tym rajdzie nie chodzi o prędkość ani nawet o umiejętności techniczne. Chodzi o wytrzymałość psychiczną i fizyczną.

#### **A gdzie są jej granice?**

Wybierając się na Dakar, wszyscy mówimy: „Jadę poznać granice swoich możliwości”. Ale nikt z nas nie wie, gdzie one są. Często wydaje mi się, że są już, tu i teraz, a okazuje, że nie, że mogę jeszcze więcej.

#### **Czas Dakaru to przede wszystkim...**

... samotność. Dla mnie cudowna. To sto godzin jazdy i czas na przemyślenia. Takiego bycia sam na sam ze sobą brakuje mi na co dzień. Dzięki samotności i czasowi, który był mi tam dany, oglądałem świat od mało znanej strony, bo regułą na Dakarze jest brak cywilizacji, a wyjątkiem jej obecność. Na co dzień żyjemy przecież wśród tłumu, samochodowych korków, kolejek na lotniskach. Podczas rajdu odkrywamy miejsca dziewicze. Nawet korytarzy powietrznych, którymi latają samoloty, nie ma nad naszymi głowami, więc niebo jest pozbawione smug kondensacyjnych. Na trasie mam tylko siebie. Gdy trzeba coś naprawić – muszę to zrobić sam. Red button, czyli przycisk alarmowy, to ostateczność. Pamiętam, że z miejsca na pustyni, gdzie złamałem nogę, miałem do mety 480 kilometrów. Mogłem przerwać rajd albo jechać dalej. Ale chciałem w tej trudnej sytuacji pobyć sam, przetrwać to, co się wydarzyło, pomyśleć o tym, co będzie potem. Dakar to jest czas, przestrzeń i zawodnik ze swoimi umiejętnościami, wytrzymałością, determinacją.

#### **Przez dziewięć godzin jechał pan ze złamaną nogą?**

Ból był wyzwaniem. Lewą ręką zmieniałem biegi, które mam pod stopą, a prowadziłem prawą. Siedziałem na quadzie, a złamana noga po prostu wisiała bezwładnie. Nie mogłem się na niej nawet oprzeć, żeby zbalansować pojazd. Kolejny raz przesunąłem granicę własnych możliwości.

#### **Dakar to też sposób na zrzućcie kilku kilogramów.**

To najdroższe i niezbyt bezpieczne wakacje odchudzające na świecie. Po powrocie jestem na ogół o sześć do ośmiu kilogramów lżejszy. Nie narzekam jednak, bo sprawdza się mój trochę humorystyczny przepis zaczerpnięty z piosenki Kuby Sienkiewicza:

„Wszystko jedno, gdzie się żyje, raz się chudnie, raz się tyje”.

#### **Osiągnął Pan sukces, ma Pan pieniądze, rodzinę. Czy to jest szczęście?**

Poczucie szczęścia zależy od podejścia do życia. Trywializując: mam wielu znajomych, którzy są zdrowi, piękni i bogaci, ale nie są szczęśliwi. Szczęście jest w nas niezależnie od tego, czy jeździmy lanosem czy ferrari. Świat pięknieje dzięki drobiazgom; gdy bliska osoba postawi wodę mineralną przy naszym łóżku, przypomni o szaliku, zaparzy ulubioną herbatę. Bywa jednak, że tak mocno koncentrujemy się na tym czy innym wyzwaniu, że te drobne z pozoru rzeczy deprecjonujemy. Dobrze jest więc czasami wziąć głębszy oddech, dokonać retrospektywy i przyznać, że tego czy tamtego gestu się nie doceniło. Z upływem czasu nabrałem też pewności, że największą moją pasją jest życie. A jego osnowa, to przyjaźń, czyli gotowość, by być dla kogoś, kiedy jestem potrzebny. To, co dobrego nam się w życiu przydarzyło, jest naszym fundamentem. Natomiast to, co złe, jest jedynie lekcją.

#### **A praca?**

To część życia. Pracy oddają się niemal w każdej chwili. Telefon komórkowy jest głównym narzędziem i prawie nigdy nie wypuszczam go z rąk, a wiadomości dotyczące setek spraw płyną bez przerwy. Podczas niektórych rajdów przez bezdroża mam ze sobą nawet cztery telefony.

#### **Mówi się, że jest Pan perfekcjonistą.**

Raczej dążę do perfekcji, a to jest niekończące się wyzwanie. Dlatego moje projekty zaczynają się zawsze od drobiazgowego planowania i opracowania logistycznego. Podobnie jest w sporcie, gdzie liczy się ustawienie najmniejszego przełącznika na guadzie, a potem perfekcja w odczytywaniu kształtu wydm, nawigowaniu, pokonywaniu krętych górskich dróg. Szczęśliwie się złożyło, że pojechałem na Dakar, bo przeszedłem przez takie piekło raz, drugi czy piąty, że wiem teraz, jak mało rzeczy jest w stanie mnie powalić – złamać moje morale czy moją psychikę. Przygnębia mnie tylko dziecko nieuleczalnie chore na nowotwór albo śmierć przyjaciela, z którym byłem bardzo blisko, a który odchodzi w ciągu kilku tygodni i wiem, że już nigdy nie zobaczę ciepła w jego oczach.

#### **W co Pan wierzy?**

W bilans życia. Chciałbym móc sobie kiedyś powiedzieć: OK, popełniłem błędy, oczywiście. Nie jestem doskonały, oczywiście. Ale w tym, co udało mi się osiągnąć, jest wiele wartości, które da się przekazać. I to jest ważne. Bycie inspiracją dla ludzi to ogromna radość. I sztuka.



**Majka Lisińska-Kozioł** – absolwentka prawa i dziennikarstwa na UJ. Zajmuje się przede wszystkim reportażem społecznym i sportowym. Laureatka wielu nagród dziennikarskich, między innymi „Złotej Gruszki”.





Grupa Made in Poland, Dom Kultury „Solvay” w Krakowie, styczeń 1985

## Zapiski z muzycznego podziemia

Tekst: Krzysztof Burnetko Zdjęcie: Zbigniew Świdorski/z archiwum Piotra Pawłowskiego

**„Mój debiut miał miejsce 8 marca 1980 roku w auli X LO w Krakowie. Razem z braćmi Szyszko, noszącymi oryginalne imiona Zefiryn i Teodoryk, odważyliśmy się zaprezentować trzy, a może tylko dwa fragmenty muzyczne, nad którymi pracowaliśmy raz, a może dwa razy w domu braci.**

Był Dzień Kobiet, trzeba było uświetnić (?) święto koleżanek z klasy. Teodoryk i ja mieliśmy gitary akustyczne albo klasyczne, w zasadzie miał je Teodoryk, bo ja jeszcze nie miałem żadnego instrumentu poza cymbałkami. Potrafiłem złapać trzy akordy, oczywiście niebarowe. Teodoryk na moim tle wymiatał, potrafił z dziesięć razy więcej. Zefiryn był klawiszowcem, grał na syntezatorze marszczonym, czyli akordeonie. Miał jeszcze z nami grać jeden kolega z klasy, który sobie nadał ksywę Brutus, w zasadzie słusznie, bo zdradził nas i nie wyszedł na scenę. Tak, tam była scena. Brutus miał obsłużyć werbel harcerski, który sobie skądś zorganizował, pewnie zwinął go z jakiegoś szczepu. Wykonaliśmy, bo trudno mówić o zagranium, coś przypominającego *Is there anybody out there?* Pink Floyd oraz jakieś żalosne impro, by centralnie polec w finale na *Child in time* Deep Purple, rzecz jasna bez wokalu. Ale syntezator marszczony prawie dał radę”. Tak się składa, że ja też – jako uczeń tegoż X LO – pamiętam, choć bez takich szczegółów, ten występ.

Pamiętam również inny koncert autora tych wspomnień Piotra Pawłowskiego – tym razem jako basisty zespołu Made in Poland na festiwalu w Jarocinie latem 1984 roku. To wtedy ta pochodząca z Krakowa grupa zdobyła ogólnokrajową już – choć oczywiście ograniczoną do tych, którzy wówczas słuchali niezależnej muzyki – sławę. Grali mroczne dźwięki określane jako „zimna fala”, którym towarzyszyły oddające ówczesny ponury nastrój teksty. I rychło stali jednym z najważniejszych zespołów rodzimej niezależnej sceny rockowej końca PRL.

Teraz Pawłowski z wielką swadą i, co ważne, dystansem opisał tamten czas i początkowe lata wolnej Polski – z wieloma wszelako odniesieniami do dzi-

siejszej rzeczywistości. Nie ogranicza się przy tym do branży muzycznej – wiele wątków i anegdoty – czy choćby Krakowa i jego mieszkańców. Wyjaśnia, na przykład, istotę i rolę „solidnej krakowskiej inteligencji” (nie omieszkał zauważyć: „Krakowska inteligencja w ogóle często ma to do siebie, że nie wygląda. Jeden kolega, historyk, pojechał w latach dziewięćdziesiątych do Norymbergi, zagapił się na coś i tak sobie stał, nieogolony, z nieprzytomnym wzrokiem, w pomiętym płaszczu albo kurtce. I przechodził jakiś dobry Niemiec i rzucił mu kilka monet”). Zdradza, gdzie za komuny można było zjeść w mieście najlepsze ruskie pierogi („w Jadłodajni »Ludowa« na św. Anny”), ale zaznacza również, że w menu pizzerii „Cyklop” znajdowała się „pizza di sole z serem owczym i cebulą”. Opowiada, jak zdobywało się wówczas skarby: „Płyty z równie wstrętnego jak dziś Zachodu kupowało się, wiadomo, na giełdzie Pod Przewiązką. Single Tonpressu wystawało się w sklepie u Ajenta Nr 1, czyli Pana Staszka na Małym Rynku. Płyty długogrające produkcji polskiej w księgarniach i sklepach z samymi płytami, gdzie czasami rzucano też płyty z krajów RWPG, a czasami nawet z Indii”.

Ale jest też o początkach i kulisach rodzimego biznesu – bo dziś autor łączy muzykę z pracą wziętego menedżera i headhuntera. I naturalnie o polityce.

Marcin Świetlicki zarekomendował na okładce: „Pan Basista Pawłowski przeżył wiele, umie o tym powiedzieć, umie swoje przygody przemienić w dobrą literaturę”. Wystarczy?

Piotr Pawłowski, *Dzienniki basowe*, ZIMA, Gliwice 2020.

Prof. Adama Wodnickiego pożegnaliśmy w piątkowe popołudnie 19 czerwca na cmentarzu Rakowickim. Prezydent Jacek Majchrowski bez wahania przychylił się do wniosku o pochówek Pana Profesora w Alei Zasłużonych, wśród wybitnych twórców, obywateli, wykładowców naszego miasta.

Ta prośba wpłynęła od Rektora Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie, właścicieli Wydawnictwa Austeria, z którym związany był przez ostatnie dwie dekady, zarządu „Tygodnika Powszechnego” oraz redakcji „Krakowa”.

## Tłumacz, poeta, eseista, artysta

Tekst: Robert Piaskowski

**Szliśmy w kierunku nowej części Alei Zasłużonych, odkrywając na miejscu, że Profesor spocznie obok profesorów Mieczysława Tomaszewskiego i Jerzego Wyrozumskiego. Muzykolog, historyk mediewista oraz tłumacz, poeta, artysta. Piękne towarzystwo.**

Dzień był parny, burzowy. Miało padać, więc wszyscy dźwigali przezornie parasole. Kwiaty polne, róże zerwane z ogrodu, oficjalne wiązanki. Niezbyt wielu nas było, ale to też było znaczące... I pasowało by Panu Profesorowi. Bez zadęcia, rytuałów, bo to był na swój sposób literacki piknik, choć słowo piknik wydaje się tak głęboko nieestosowne. Przemawiali przyjaciele z Akademii Sztuk Pięknych i rektor Stanisław Tabisz. Jarosław Mikołajewski opowiedział o swoim odkryciu poezji Pana Profesora. Adam Zagajewski mówił jak zwykle słowem pełnym światła.

Przemówiłem i ja, w imieniu prezydenta Krakowa. Nie wiedziałem, jak odegrać rolę – czy oficjalnie czy od serca. Postawiłem na wariant drugi.

\*

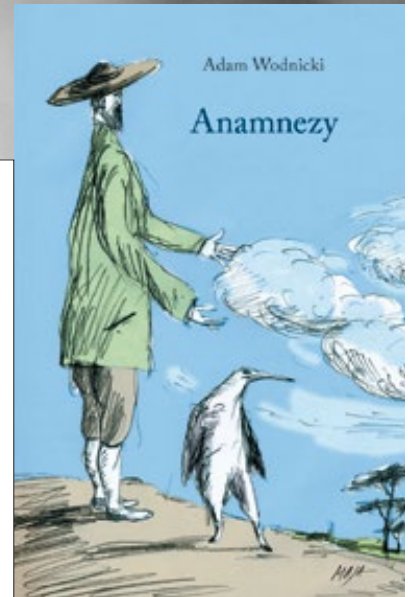
Mijałoby się z Panem Adamem, z Panem Profesorem w tych ostatnich latach na literackich festiwalach, wieczorach, święcie Republiki Francuskiej w Willi Decjusza, wydarzeniach organizowanych w konsulacie Francji czy na Kazimierzu, w Austerii, przeglądającego z uwagą książki, ryciny, mapy, z uwagą patrząc na tych, co wybierają książki i jakie wybierają. Oko malarza, oko arty-

sty, oko pisarza studiującego modele i ich emocje, poprzez kontur postaci ujmujących już w myślach wnętrze człowieka... Niezwykła to umiejętność. Przenikliwy wzrok i ręka, pewnie oparta na charakterystycznej lasce. Zawsze chwilę rozmawialiśmy. Choć rozmową to nigdy nie było wyczerpaną, w takim sensie, że nie dochodzi się nigdy do jej domknięcia. On z republiki Aquae Sextiae, Arles Van Gogha, salinów Camargue, ja z królestwa Roi Renee, spod platanów Cours Mirabeau w Aix i St. Victoire. Spieraliśmy się w tych krótkich spotkaniach, które królestwo piękniejsze w ukochanej Prowansji, do której wracałem często – również dzięki pięknym esejom Pana Adama. Także dziś.

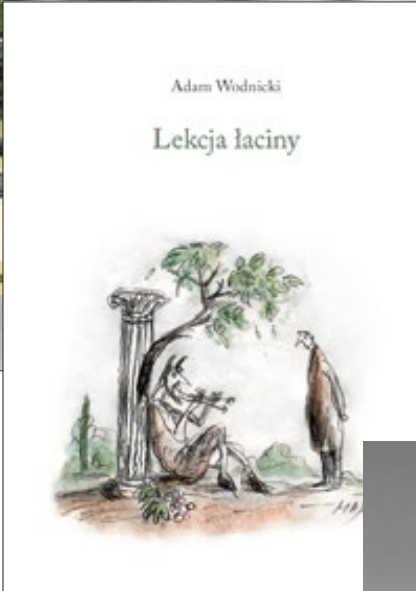
To był kod tajemny. Jak mrugnięciem okiem. Także w dniu pogrzebu wziąłem rano do ręki zbiór tekstów w wyborze Dariusza Czai i czytając esej Adama Wodnickiego o Camargue, przypomniałem sobie swój lipcowy parny dzień w 2000 roku (taki jak ten dzień pogrzebu) i swoje odkrycie tej krainy księżycowej wśród trzciny, tej przestrzeni mitycznej, tego nie-miejsca, w którym Pan Adam szukał śladów kreteńskich opowieści, języka Fenicjan, Dorów z Focydy, gdzie śledził śla-



Adam Wodnicki  
Tryptyk oksytański  
Obrazki z Arles i okolic  
Obrazki z krajiny d'Oc  
Arles. Obrazki z sarniejscja



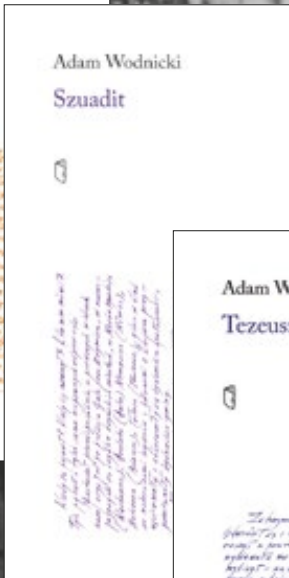
Adam Wodnicki  
Anamnezy



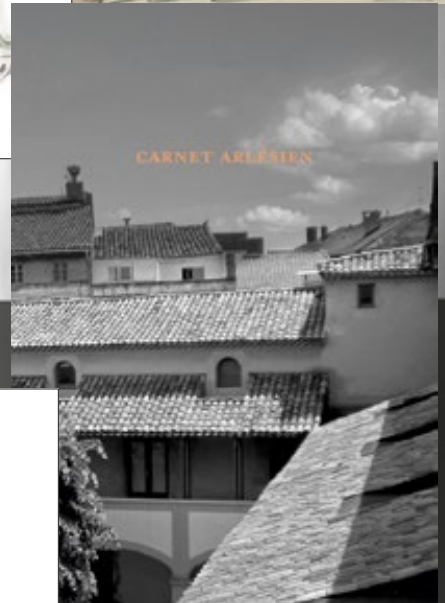
Adam Wodnicki  
Lekcja łaciny



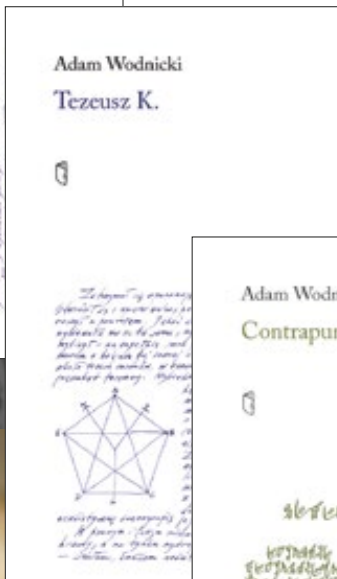
Adam Wodnicki  
Duende



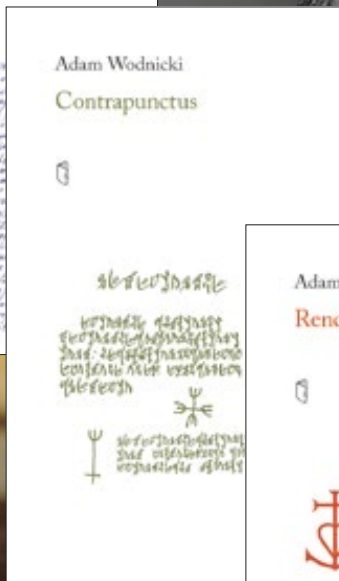
Adam Wodnicki  
Szuadit



CARNET ARLÉSIEIN



Adam Wodnicki  
Tezcusz K.

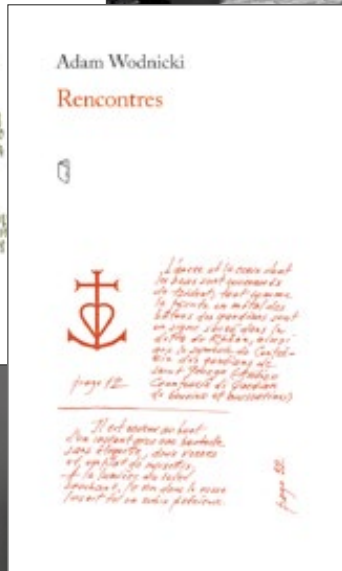


Adam Wodnicki  
Contrapunctus



Księga Pytań

Edmond Jabès



Adam Wodnicki  
Rencontres



page 12

*Il est un peu de tout  
d'un instant vers un instant  
sans départ, sans retour  
et, un peu de tout  
de la lumière de tout  
l'heure, le peu de tout  
l'heure et un peu de tout.*

page 12



dy Celtów, legionistów Cezara, osadników z Lacjum, floaminów i pontifeksów, kiedy w tych zakurzonych zaroślach *marécage* widział także tłum bogów, półbogów, nimf, satyrów, sylwanów, kozłonogich faunów i Bóg wie, co jeszcze...

W tym pięknym eseju znalazłem fragment, który we mnie pozostał: „Jak daleko sięgam pamięcią, powroty o zmierzchu zawsze budziły we mnie szczególnie rodzaj melancholii zmieszanej z czymś, co trudno określić, a jeszcze trudniej opisać – w sposób niedoskonały można by to nazwać świadomością rozdwojonego pragnienia: z jednej strony już rodzącej się tęsknoty za miejscem, które się porzuca, przygodą, która się kończy, z drugiej – radością odnalezienia miejsca, do którego się wraca, w którym może ktoś czeka, gdzie pali się ogień, stoi trzcinowy fotel, gdzie otwarta i położona grzbietem do góry leży na stole książka”.

Pan Adam pisał, że kiedy wyrusza w powrotną drogę, zawsze wydaje mu się, że pozostawiam za sobą puste miejsce – czy tego chcę czy nie na zawsze już ze mną związane: „Te nostalgiczne uczucia wzmacnia zazwyczaj scenografia przedwieczornych powrotów, zapach dymu, wilgotna woń łąkowych oparów, gorzki zapach ziół. (...) powroty mają swój rytm, swoją dramaturgię, swoją aurę”.

Panie Adamie, Panie Profesorze, Kawalerze Sztuki i Literatury, pożegnania mają także swój rytm, dramaturgię, swoją aurę. Słowa, słowa... Nasi sprzymierzeńcy, świadkowie, sędziowie; gdzie indziej napisał Pan o Szau-dit, wymarłym języku romańskim: żydowsko-prowansalskim, znanym na południu Francji od XI wieku, że obok tych słów żyjemy, żyjemy z nimi, widzimy, jak się rodzą, jak żyją, jak umierają. „Jedne, choć czas ich minął, opierają się, walczą o przetrwanie, inne odchodzą cicho, niezauważenie. Ileż słów odpro-wadziliśmy na zawsze, ile pogrzebaliśmy na cmentarzyskach pamięci. Słów, które umarły, nie da się przywrócić do życia, można je tylko opłakiwać. Ale cudem i tajemnicą jest to, że w ich miejsce rodzą się nowe. Prawdziwym dramatem jest śmierć języka, bo razem z nim w otchłań niepamięci zapada część naszej tożsamości, naszej historii, nas samych. Płacząc nad taką śmiercią, opłakujemy własne przemijanie” (*Notatki o Prowansji*).

Panie Adamie, pożegnania mają także swój rytm, dramaturgię, swoją aurę i słowa... A za-

tem dziękuję w imieniu prezydenta Krakowa, Miasta Literatury, Miasta Sztuki – w imieniu wszystkich jego mieszkańców i twórców za wszystko, co Pan po sobie zostawił. Dziękujemy za piękne świadectwo, życie pełne zachwyty, czułość dla języka, wnikliwe obserwacje, erudycyjne zachwyty nad miejscami niczymi, nie-miejscami, za antropologię przestrzeni, świat obudowany mitami i melodią śródziemnomorskiej nostalgii, za osadzone w mitach głębokie humanistyczne rozumienie człowieka. Każdy z Pana tekstów jest jak kamyk greckiego różańca, wskazówką do istnienia pełnego, mapą do miejsca poza granicami czasu i pozoru, mitologiczną krainą nowożytnego świata.

W ostatni piątek kupiłem w Synagodze Poppera *Contrapunctus*, *Lekcję łaciny*, *Tryptyk oksytański* i *Obrazki z Krainy d’Oc*. Tyle do nadrobienia. Podarowałem dwa egzemplarze przyjaciółkom z Warszawy. Wróciły ze wzruszeniem kilka dni później.

Spoczywaj w pokoju.

„Jeśli zachowaliśmy wiarę w cuda, może uda nam się jeszcze w cieniu listowia spotkać o świcie Fauna, może żeglując po morzu wśród lewiatanów i syren, dostrzec majaczącą w fiołkowej poświacie Itakę, może leżąc obok przewróconego na grobli roweru w Camargue, poczuć dotknięcie niezwykłości”.

*Adieu monsieur le professeur  
On ne vous oublierai jamais  
Et tout au fond de notre coeur  
Ces mots sont écrits à la craie  
Nous vous offrons ces quelques fleurs  
Pour dire combien on vous aimait  
On ne vous oublierai jamais  
Adieu monsieur le professeur*



**Robert Piaskowski** jest animatorem kultury, pedagogiem, muzykiem. Zakładał Stowarzyszenie Pro Musica Mundi i Fundację Miasto Literatury. Jest członkiem Stowarzyszenia Willa Decjusza i Rady Konsultacyjnej Ośrodka Badań

nad Twórczością Czesława Miłosza. Zajmował się sprawami programowymi Krakowskiego Biura Festiwalowego. Obecnie jest Pełnomocnikiem Prezydenta Miasta Krakowa ds. Kultury.



Benefis Zbigniewa Górnego, Teatr STU, czerwiec 2003

**Marta Bizoń** – urodziła się w Wadowicach i uczęszczała do Liceum Ogólnokształcącego im. Marcina Wadowity. Studiowała na Wydziale Aktorskim PWST w Krakowie, była laureatką XVI Przeglądu Piosenki Aktorskiej we Wrocławiu i stypendystką Ministra Kultury i Sztuki i Prezydenta miasta Krakowa. Od 25 lat występuje nieprzerwanie na deskach Teatru Ludowego, gościnnie zagrała we wszystkich krakowskich teatrach. Występowała w Operze Krakowskiej, Teatrze Variété. Odbyła wiele tras koncertowych w kraju i za granicą, między innymi podziwiła ją publiczność Anglii, Danii, Francji, Szwecji, Niemiec, USA, Włoch, Ukrainy i Szkocji. Śpiewała w Piwnicy Pod Baranami i w Lochu Camelot. Zagrała w dziesięciu

filmach, między innymi w *Liście Schindlera* (reż. Steven Spielberg), w *Sławie i chwale* (reż. Kazimierz Kutz), w *Quo vadis* (reż. Jerzy Kawalerowicz). W *Zakochanym Aniele* (reż. Artur „Baron” Więcek) wcieliła się w postać Irenki Rajskiej. Występowała w cyklicznych programach telewizyjnych – między innymi w *Spotkaniu z Balladą*. Przez kilka lat pisała felietony w „Gazecie Krakowskiej”, które zostały zebrane przez wydawnictwo Nobilis w książce *Zapiski artystki*. Nagrała dwie autorskie płyty *Neapol* (2007) i *Tu i Tu* (2014) wydane przez Agencję Artystyczną „Bum Bum” Roberta Lubery, znanego kompozytora i gitarzysty. Obecnie gra Halinkę w serialu TVN *Zakochani po uszy*. Ma dwójkę dzieci: Matyldę (17 lat) i Mateusza (12 lat).

# Najważniejszy jest ten błysk

Rozmawiała Ewa Kozakiewiczowa Zdjęcia: Grzegorz Kozakiewicz

**Marta Bizoń: Jestem Włoszką. Z temperamentu. I z urody może też. Włoszka jest przebojową kobietą, potrafiącą postawić na swoim i zadbać o swoje interesy. Odważna i pełna ekspresji. Ja też przyznaję się do skoków emocji. Raz jest uśmiech, a raz łzy...**

**Ewa Kozakiewiczowa: Jak to jest z tymi emocjami u ciebie? Czy naturalna żywiołowość i ekspresja pomagają ci w aktorstwie czy są przeszkodą?**

Marta Bizoń: Bardzo mi pomagają, nie wyobrażam sobie wykonywania zawodu bez emocji. Oczywiście dla kogoś, kto stoi z boku, może wydawać się to chorobliwe... Każdą postać, którą gram, przepuszczam przez siebie i własne emocje, wchodzę w to całą sobą – Martą Bizoń. W każdej roli próbuję przemyśleć albo dodać wiele z siebie. Po przekroczeniu progu garderoby i sceny jestem aktorką. To nie znaczy wcale, że udaję. Nigdy nie zastanawiam się, kiedy gram: czy trzeba płakać? Ten płacz przychodzi na scenie sam. Śmiech też. Czasem popadam ze skrajności w skrajność, bo jestem emocjonalną osobą. To się przenosi na dom, wracam i muszę się zająć dziećmi, sprzątaniami, lekcjami. Ale cały czas buzuje we mnie emocje ze sceny. Potrzebuję czasu, aby wylądować na ziemi. Najlepiej wtedy wejść do łazienki, powiesić pranie...

**Które emocje na scenie są ci bliższe: smutek czy radość?**

Zawsze wolałam śmieszyć, dawać radość. Zagrałam dużo ról komediowych, ale też sporo dramatycznych. Z każdej z tych ról zagranych w ciągu 25 lat jestem dumna – niezależnie, czy była główna czy epizodyczna. Zawsze to dla mnie była perełka, ważne wyzwanie! Nigdy nie pożałowałam, że wybrałam ten zawód.

**Coś z tym twoim włoskim temperamentem musi być na rzeczy, bo to ciebie Paweł Szumiec obsadził w spektaklu poświęconym Neapolowi, miastu o żywiołowej energii. Neapolitańczycy rozmawiają, jakby krzyczeli, na ulicach śpiewają, gotują, słysząc klaksony, dzwony kościelne, nawoływanie dzieci. Nad Via Tribunali zawsze powiewa pranie. Tę atmosferę udało się pokazać w spektaklu *Neapol. 19.03* granym w Teatrze Ludowym przez sześć lat. Jak do tego doszło?**

Paweł Szumiec zaproponował mi rolę w spektaklu muzycznym o Neapolu w 2002 roku i z wielkim entuzjazmem podeszłam do tej propozycji, ale okazało się, że jestem w cią-

ży i to zagrożonej. Nie mogłam pracować. Wtedy powiedział, że nie wyobraża sobie tego spektaklu beze mnie i poczeka! Czekał ponad rok, ale potem praca szła nam szybko i sprawnie, bo naprawdę czuję te klimaty. Ten rytm, ciepło, bicie serca i ten nerw, kiedy trzeba krzyknąć. To wiem! Śmieję się, bo nigdy nie jestem ponura, a moja rodzina to rodzina iście włoska! Rzeczywiście krzyczę, podobno to układa się nawet w jakąś melo-

**Zawsze wolałam śmieszyć, dawać radość. Zagrałam dużo ról komediowych, ale też sporo dramatycznych. Z każdej z tych ról zagranych w ciągu 25 lat jestem dumna – niezależnie, czy była główna czy epizodyczna. Zawsze to dla mnie była perełka, ważne wyzwanie!**

dię. Ale po 15 minutach jest po burzy i wtedy przypomina mi się film z Louisem de Funèsem *Żandarm w Nowym Jorku*, w którym pokazana jest włoska rodzina. Matka seniorka rodu rządzi wszystkim. Widzę dokładnie ten obraz. Ona, w czarnej sukience, gestykuluje co, kto i gdzie ma zrobić. I ja taka jestem, więc pieśni opowiadające o różnych skrajnych uczuciach, rozterkach serca, rozstaniach i powrotach są mi bliskie. Wśród 16 neapolitańskich pieśni, w każdej z nich odnalazłam część siebie. To znakomita liryka, na przykład wiersz *Usteczka* Gabriela D'Annunzio, śpiewam też tradycyjną pieśń *Madonna dell' Arco*, a płacz i emocje nie całkiem są wyreżyserowane. Spektakl dał mi się spełnić w całej gamie uczuć i środków wyrazu.

**Byłaś kiedyś w Neapolu?**

Byłam tuż po maturze i nieudanym egzaminie do PWST. W czasie wakacji wyruszyliśmy całą rodziną zwiedzać Italię, wielkim autobusem typu Jelcz. Kiedy zatrzymaliśmy się w Neapolu, trwał akurat festyn. Ludzie ba-





Premiera spektaklu *Zahipnotyzuj mnie*, Teatr Ludowy, październik 2017

wili się na ulicy, tańczyli, rzucali serpentyny, była muzyka i wino. To był 1990 rok i u nas się czegoś takiego nie widziało. Z nosem przyklepionym do szyby chłonełam tę atmosferę i pomyślałam: „Boże, co za cudny świat! Chcę w nim być!”

Mama pozwoliła mi wyjść z autobusu pod eskortą taty i wmieszaliśmy się w ten kolorowy, bajeczny tłum. Widziałam nabożną Marię idącą do kościoła i zalotne dziewczyny stojące na rogu. Wieczny festyn, nieustająca zabawa. To wszystko jest w spektaklu i na płycie *Neapol*, wydanej przez Agencję Artystyczną „BUM-BUM” mojego męża. Piosenki neapolitańskie wykorzystuję nadal na koncertach. Ludzie pamiętają spektakl, który miał znakomite recenzje i kupują płyty. Wielokrotnie później zwiedzałam Italię, byłam w Rzymie z córką Matyldą, a dziesięć lat temu dałam koncert w Instytucie Polskim. Ten kraj ciągle mnie przyciąga, czuje się tam rytm życia, który być może jest wolniejszy, ale bardziej intensywny.

**Wspomniałaś, że po maturze nie dostałaś się do krakowskiej PWST. Jak to się stało, że jednak zostałaś aktorką?**

Wiedziałam od dziecka, że będę aktorką. Pamiętam, jak moja mama wracała z zebrania w szkole podstawowej i mówiła: nie możesz tylko ty stale mówić wierszyków i ciągle występować! Obrażałam się, że nie gram „pierwszych skrzypiec”, musiałam być najlepsza! Zawsze podnosiłam rękę. Mnie wybierz, wybierz mnie! Wychowawczynie mówiła: Martyniu, inne dzieci też chcą wystąpić! „Ale ja jestem najlepsza!” – stwierdzałam. Nie tylko mówiłam wierszyki, ale śpiewałam. Moi rodzice kochali muzykę: ojciec grał na gitarze, mama śpiewała. Kupowali płyty i kolekcjonowali zeszytiki „Rewia przebojów” popularnych piosenkarzy: Vondračkovej, Gotta, Sośnickiej. W nich były nuty i tekst. Do dzisiaj mam te wydawnictwa. Brałam je i wkładałam głowę do pralki automatycznej, bo w bębnie był pogłos i śpiewałam. Potrafiłam tak parę godzin przesiedzieć z głową w pralce i prześpiewać wszystkie przeboje. Pewnego razu babcia przerwała mój występ wtargnięciem do łazienki. Tak się zestresowałam, że wyciągnęłam głowę, ale zostawiłam zeszytiki. Potem mama włożyła pranie. Jak dziś pamiętam jej włoski okrzyk, kiedy je wyjęła. Książ-



Z Leopoldem Kozłowskim w Galerii Camelot, premiera książki *Zapiski artystki*, czerwiec 2006

zeczka się wyprała z ubraniami, kawałeczki papieru poprzyklejały się do wszystkiego. Udawałam, że o niczym nie wiem...

Gdy śpiewałam w spektaklu Marty Stebnickiej *Zabłąkane gwiazdy*, przypominałam sobie śpiewanie w bębnie pralki. I marzenia, żeby kiedyś stanąć na wielkiej scenie w blasku świateł i zobaczyć widownię. Myślę, że nic się nie dzieje przypadkiem. Za pierwszym razem na egzamin do PWST przygotowałam utwór Jana Pawła II i po prostu go odklepałam. Po sześciu zwrotkach komisja miała dosyć i nie znalazłam się na liście. Kiedy wróciłam do Wadowic, pomyślałam, że nie będę siedzieć w domu i dostałam się na polonistykę na Uniwersytet Śląski. Przez rok chłonięłam wielką literaturę i ze świeżym zapasem wiedzy i większą dojrzałością ponownie podeszłam do egzaminu na PWST. Tym razem się dostałam!

**Jesteś już na studiach, w Krakowie, otoczona wybitnymi osobowościami. Dalej chcesz być najlepsza?**

Byłam szczęściarą. Już na drugim roku zagrałam w Starym Teatrze u Adama Sroki w *Wilku stepowym* Hermanna Hesse-

**Nie potrzebuję nagród, statuetek, nie chcę być celebrytką. Mnie jest dobrze na krakowskim podwóreczku.**

go postać Marii u boku Elżbiety Karkoszki i Marka Kality! Dla mnie to było niesamowite wyróżnienie. Na trzecim roku wypatrzył mnie na egzaminie Jerzy Jarocki i zaangażował do roli Anusi w *Śnie srebrnym Salomei*. Strasznie się stresowałam na próbach, w obecności tak wielkiego człowieka teatru, byłam szczęśliwa, że wybrał mnie do roli małej, ale znaczącej. Do dziś czuję się zaszczycona! Na trzecim roku studiów przeżyłam niesamowitą przygodę na planie filmowym *Listy Schindlera* u Stevena Spielberga. Poszukiwano trzech tancerek: wybrano mnie, Ewę Kaim, koleżankę z roku, i Małgorzatę Urbańską. Ćwiczyłyśmy układ choreograficzny profesora Joanny Gajdy pod skoczną niemiecką piosenką kabaretową. Nikt nie przypuszczał wówczas, że scena kabaretowa jest tak ważna i otworzy film, który dostanie Oscara.

Dyplom PWST zdałam śpiewając rolę Rorie Hart, którą przygotowałam pod okiem Mięczysława Grąbki w spektaklu muzycznym *Chicago*. Opiekunem naszego roku był profesor Jerzy Trela, z którym przygotowaliśmy *Ożenek* Gogola, zagrałam Fiokłę i za tę kreację dostałam nagrodę na Przeglądzie Szkół Teatralnych w Łodzi. Nie śmiałam nawet myśleć, że kiedyś stanę z Jerzym Trełą razem na scenie. A tak się stało, w Teatrze STU! A po dyplomie pojawił się Jerzy Fedorowicz, który zaproponował mi etat w Teatrze Ludowym. Doskonale pamiętam swój pierwszy spektakl *Czerwone nosy*, a później sukces we Wrocławiu, wygrałam XVI Festiwal Piosenki Aktorskiej. Role posypały się jak deszcz.

Włochy przyciągają – czuje się tam rytm życia, który być może jest wolniejszy, ale bardziej intensywny.

**Masz takie, które utkwiły ci w pamięci najbardziej?**

Każda rola niosła inny bagaż emocji i wrażeń. Antyгона w *Antygonie* Sofoklesa w reżyserii Włodzimierza Nurkowskiego była moją pierwszą dużą rolą dramatyczną. Byliśmy z nią na Festiwalu w Edynburgu i graliśmy po angielsku, wcześniej mieliśmy zajęcia z profesorem z Oxfordu, który uczył nas akcentu. Miałam sny, że zaczynam monolog, a cała widownia się śmieje, bo źle mówię. To był tylko sen. Ale po przyjeździe do Polski na pierwszym spektaklu, kiedy patrzę w oczy Ismenie (czyli Kasi Krzanowskiej) nie mogę sobie przypomnieć monologu ani po polsku, ani po angielsku – biała plama! Eteokles – Polinejes – pogrzebać!, mówię i schodzę ze sceny.

**Bierzesz udział w spektaklach muzycznych i dużo śpiewasz. Także w jidysz. Jak trafiłaś do ostatniego klezmera Galicji, nieżyjącego już Leopolda Kozłowskiego-Kleinmana?**

Leopolda poznałam w 1996 roku w Klezmer Hois, mówił, że ma córkę Martunię i tak od słowa do słowa zaczęliśmy pracować razem, a Jacek Cygan zaczął pisać dla mnie piosenki. *Rodzynki z migdałami*, w którym co roku występowałam na Festiwalu Kultury Żydowskiej, to muzyczny spektakl Leopolda. Z tym programem zjechaliśmy świat cały. Kiedy w 2009 roku zabrakło taty, Leopold zastąpił mi ojca. Zawsze można było na niego liczyć. Odnoszę wrażenie, że on nadal jest, że zatelefonuje. Był na wszystkich naszych uroczystościach rodzinnych: ślubie, komuniach dzieci i urodzinach. Nie wyobrażam sobie ich bez niego...

**Wspomniałaś miejsce Klezmer Hois na krakowskim Kazimierzu. Ale i ty na Kazimierzu mieszkasz. Stało się tak celowo czy z przypadku?**

Wynajmowałam w Krakowie różne mieszkania, ale maleńkie mieszkanie przy ulicy Józefa dało mi tyle radości i energii, że poczułam się tutaj świetnie. Kamienica żyła dzień i noc, inne mieszkania zamieszkiwali aktorzy z różnych krakowskich teatrów, na parterze działa Galeria Szalom, w ogródku gwar wernisażowych gości, na balkonach wisało pranie. Czułam się tu bezpiecznie, bo wiedziałam, że kiedy zapukam do czyichś drzwi, to mi otworzą i pomogą jak prawdziwa włoska rodzina! Zmieniłam adres na Kazimierzu, ale nie wyobrażam sobie mieszkać gdzieś indziej niż w Krakowie. Pokochałam to miasto... Tu mam rodzinę, przyjaciół i kiedy powracam z podróży, widząc napis „Kraków”, mówię sobie – jestem w domu!

**Grasz i śpiewasz ostatnio w *Krakowskiej lekkości bytu* w reżyserii Łukasza Czujaja, spektaklu Sceny Pod Ratuszem, opowiadającym o miejscowej bohemie, o minionych osobowościach jak Piotr Skrzynecki czy Szajbus... Zostałaś wyróżniona w rankingu najlepszych aktorów krakowskich w ubiegłym roku. Czujesz się aktorką spełnioną?**

Z wyróżnienia się cieszę, wzruszyłam się, kiedy Łukasz Maciejewski napisał: „Marta Bizoń jest nam potrzebna jak słońce”. Ale ja nie potrzebuję wymiernych nagród, statuetek, nie chcę być celebrytką. Mnie jest dobrze na krakowskim podwórku. Miło mi, kiedy obcy ludzie spotykają mnie na ulicy i okazują sympatię, podchodzą i mówią: poznaję panią. Kiedyś odprowadziłam dzieci do szkoły muzycznej i na Kazimierzu idę z siatkami, jak taka matka Polka. Na ulicy widzę panią w futrze, z uśmiechem, która otwiera szeroko ramiona i mówi: „O Boże, jak ja panią Kocham!”. Prawi mi komplementy. Słucham i mówię: „Dziękuję bardzo za dobre słowo!”. Pani na to: „To nie jest dobre słowo. To jest *de facto!*”.

To jest mi potrzebne. Nie potrzebuję bmw, mnie naprawdę cieszą drobne rzeczy.

**Na przykład?**

Kiedy sobie kupię nowe, błyszczące kolczyki. Im bardziej się błyszczą, tym większa radość. Tu nie chodzi o złoto ani o brylanty. Ale o ten błysk!



**Ewa Kozakiewiczowa** – jest krakowską dziennikarką. Związana była etatowo z „Dziennikiem Polskim”, „Gazetą Krakowską” i „Przekrojem”, współpracowała między innymi z „Warsaw Voice”, „Newsweekiem”, „Czasem Krakowskim”,

kilkoma wydawnictwami i portalami internetowymi. Zajmuje się głównie tematyką kulturalną, opublikowała trzytomowe *Opowieści fotografistów* (Muzeum Historii Fotografii), kilka katalogów o fotografii, bywa kuratorką wystaw fotograficznych.



# Czarny Anioł zamilkł

Tekst: Magda Huzarska-Szumiec Zdjęcie: Grzegorz Kozakiewicz

**Magnetyzowała, czarowała, przyciągała do sal koncertowych tłumy. Była jedną z tych artystek, które mogły zrobić światową karierę. Własną decyzją nie skorzystała z takiej szansy. Zamknęła się w domu w Wieliczce i zerwała prawie wszystkie kontakty. Odeszła Ewa Demarczyk (1941–2020).**

## Sfinks

Początek lat 60. ubiegłego wieku. Kraków. Późny, sobotni wieczór. Atmosfera w Piwnicy pod Baranami gęstnieje. Przez opary papierosowego dymu przebija się dźwięk dzwoneczka Piotra Skrzyneckiego i jego dochodzący niczym z zaświatów głos: – Proszę państwa, miałem powiedzieć „Dobry wieczór”, ale nie mogę. Nie mogę, proszę państwa, bo już czekam na to, co się zaraz wydarzy. Proszę państwa, przed wami wspaniała, młoda śpiewaczka, która was zachwyci.

Zapada ciemność, z mroku reflektor wydobywa bladą twarz tajemniczej niczym sfinks kobiety. Oczy podkreślone czarną kreską patrzą w przestrzeń, choć każdy z widzów ma wrażenie, że skierowane są właśnie na niego. Mimo oślepiającego światła powieki, stojącej na scenie artystki są nieruchome, jakby przyklejone do brwi. Publiczność zamiera, gdy słyszy pierwsze frazy *Karuzeli z madonnami*. Tempo muzyki i śpiewanych słów jest zawrotne. – Baliśmy się, co powie na to autor wiersza Miron Białoszewski. Ale on stwierdził tylko, że napisał zabawkę, a my zrobiliśmy z tego furiozum – mówi Zygmunt Konieczny. – Tak naprawdę Ewa nie miała w tym utworze czasu na interpretację. Wystarczyła jej ekspresja. A mroczny efekt uzyskaliśmy dzięki brakowi pieniędzy. Po prostu mieliśmy w Piwnicy tylko jeden reflektor, który czasami był źle ustawiony i oświetlał jedynie połowę twarzy. Ale to na słuchaczy działało – zdradza kompozytor.

– Sprawiał to jej nieprawdopodobny, wręcz zwierzęcy instynkt sceniczny. Nie zapomnę, jak zakładała się ze mną przed koncertem, po której piosence publiczność zacznie klaskać. I zawsze wygrywała. To zależało od tego jak podniosła rękę, jak zmrużyła

oczy – dodaje teatrolog i reżyser Józef „Żuk” Opalski, przypominając sobie występ artystki na Scenie Kameralnej Starego Teatru w 1976 roku. Mówi, że Ewa zadedykowała mu wtedy *Sur le pont d’Avignon*, a on wręczył jej bukiet żółtych frezji.

## Kumpela

Ewa rywalizować lubiła zawsze. Chłopcom, którzy bawili się na podwórku krakowskiej

*Takie utwory, jak Tomaszów, Grande Valse Brillante, Taki pejzaż nie mogły zostać zbyt długo jedynie w ciasnej salce Piwnicy pod Baranami.*

kamienicy, udowadniała, że szybciej od nich potrafi wspiąć się na szczyt drzewa. W zośkę, w którą namiętnie grała, była nie do pokonania. Musiała być we wszystkim najlepsza. Choć do ćwiczenia na fortepianie specjalnie się nie przykładała. Nauczycielka odkryła jednak szybko jej talent i doprowadziła do tego, że dziewczyna skończyła średnią szkołę muzyczną. Gdy jednak przyszło jej wybrać kierunek studiów, nawet nie pomyślała o konserwatorium. Brała pod uwagę medycynę, ale skończyło się na architekturze. Tylko że na Politechnice Krakowskiej zbyt długo miejsca nie zagrzała. Zamiast ślęczeć nad rysunkiem technicznym, wolała spędzać noc w Cyruliku, kabarecie medyków, którzy zachwycili się jej głosem i osobowością sceniczną.

Dostrzegli to członkowie komisji egzaminującej kandydatów do szkoły teatralnej, przyjmując Ewę na studia aktorskie. Jej ta-



lent nie umknął także uwadze dwóch mężczyzn, którzy pewnego wieczoru zjawili się w Klubie pod Jaszczurami, by obejrzyć studenckie występy. Piotr Skrzynecki i Zygmunt Konieczny ulegli osobowości i sile głosu Demarczyk. Gdy tylko zeszła ze sceny, podbiegli, zapraszając na swoją, czyli do Piwnicy. Ta wciągnęła ją bez reszty. Po programie przesiadywała w bufecie, piła wódkę, zwaną tu czule „wódeczką”, flirtowała, a w środku nocy z całą ekipą przenosiła się na plac Na Groblach, do domu Janiny Garyckiej, u której pomieszkiwał Skrzynecki. Znajomi pamiętają, że była to jeszcze zupełnie inna Ewa niż ta, którą miała się stać niebawem. Gdy nad ranem wychodziła na budzący się do życia plac, potrafiła się zatroszczyć o kolegów, którzy zmożeni zbyt dużą ilością procentów nie mieli siły wracać do domu.

Ta swojska kumpela zmieniała się zupełnie, gdy wychodziła na scenę. Stawała się odległą, nieprzystępną, ale przez to fascynującą. Dlatego takie utwory w jej wykonaniu, jak *Tomaszów*, *Grande Valse Brillante*, *Taki pejzaż* nie mogły zostać zbyt długo jedynie w ciasnej salce Piwnicy. Zaczęła się pojawiać to na Festiwalu Piosenki Polskiej w Opolu, to na Międzynarodowym Festiwalu Piosenki w Sopocie, stając się ulubienicą publiczności, choć styl jej pieśni niespecjalnie rymował się z większością wykonywanych tam piosenek. To właśnie w Sopocie wypatrzył ją Bruno Coquatrix, dyrektor paryskiej Olimpii. Oszałał na jej punkcie. Długo w garderobie klęczał przed pieśniarką, aż zgodziła się u niego wystąpić. Postanowił zrobić z niej drugą Edith Piaf. Jeszcze nie wiedział, jaki bicz sam na siebie kręci.

#### **Awanturka**

– Ewa była w Polsce gwiazdą, więc poczuła się zawiedziona już zaraz po wylądowaniu na paryskim lotnisku, z którego nikt nas nie odebrał. Musieliśmy pożyczać pieniądze na taksówkę – wspomina Konieczny. Na miejscu Coquatrix poprosił ją, by najpierw wystąpiła na zamkniętym koncercie dla grona koneserów. Chciał, żeby włożyła sukienkę, którą dla niej przygotowano. Nie spodziewał się, że Polka za żadne skarby nie da sobie zmienić stylu. Nie przewidział też, że odmówi nauczania się francuskich tekstów piosenek. Choć nieraz miał już do czynienia z ka-

pryśniami gwiazdami, to zachowanie Polki go zaskoczyło. Gdyby wcześniej porozmawiał z jej przyjaciółmi z Piwnicy, to pewnie przy kolejnym kieliszku ktoś by mu zdradził, że Ewa nie jest już taka jak kiedyś.

Pierwotną radość, poczucie humoru, skłonność do zabawy zastąpiło ego i poczucie własnej wartości. Do tego dołączył perfekcjonizm, który nie pozwalał jej niczego zaniedbać, szczególnie gdy w grę wchodziły kwestie artystyczne. Coquatrix przekonał się o tym, kiedy dwa dni przed planowanym koncertem, na który została zaproszona śmietanka towarzyska Paryża, Demarczyk oświadczyła nieznoszącym sprzeciwu tonem, że nie wystąpi. Przyczyna? Zapomnia-

**W Sopocie wypatrzył Ewę Demarczyk dyrektor paryskiej Olimpii Bruno Coquatrix. Oszałał na jej punkcie. Długo w garderobie klęczał przed pieśniarką, aż zgodziła się u niego wystąpić. Postanowił zrobić z niej drugą Edith Piaf. Jeszcze nie wiedział, jaki bicz sam na siebie kręci.**

ła z Polski zabrać dzwonów, które były jej niezbędne do wykonania *Czarnych Aniołów*.

– Wymyśliłem te dzwony zaraz, gdy Ewa pojawiła się w Piwnicy. Ponieważ nie było nas stać na dzwony symfoniczne, postanowiłem zdobyć je na złomowisku. Znaleźliśmy tam felgi samochodowe, rury, blachy. Zawiesiliśmy je na sznurku i one w tej piosence dawały naprawdę potężny dźwięk. Teraz Coquatrix nie miał wyjścia i musiał przywieźć je z Polski – opowiada Konieczny.

Zdesperowany szef Olimpii wsiadł do samolotu i w dzień załatwił, że składowane w Krakowie dzwony znalazły się na Okęciu. Ale to był dopiero początek afery. Celnicy, gdy zobaczyli zardzewiałe rury, nie mogli uwierzyć zapewnieniom eleganckiego Francuza, że wiezie ze sobą ten cały złom w celach artystycznych. Zaczęli je przecinać w poszukiwaniu ukrytego złota. W efekcie Coquatrix dowiózł dzwony, które straciły dźwięk. Ewa wpadła w rozpacz. Stała przed dyrektorem i znowu z uporem ma-



niaka powtarzała, że nie wystąpi. Zygmunt Konieczny, żeby ratować sytuację, pojechał na paryskie złomowisko i w ostatniej chwili zbudował nowy instrument.

Od tego pierwszego koncertu Demarczyk czuła się w Olimpii coraz gorzej. Ciągle dochodziło do kolejnych scysji między nią a dyrektorem. Ten mimo wszystko wierzył w talent artystki, czego dał dowód, składając jej propozycję kontraktu. Jednak ona go odrzuciła, bo nie mogła znieść, że nie jest tam gwiazdą.

Po paryskich doświadczeniach rozstała się też z Koniecznym. – Obyło się bez intryg, podchodów. Nie było to potrzebne, bo ona zawsze wszystko mówiła prosto z mostu.

Piwnicę pod Baranami Ewa Demarczyk porzuciła, gdy stwierdziła, że jest na tyle sławną artystką, iż nie może sobie pozwolić na występowanie w miejscu, gdzie nawet pianino ma tylko co drugi klawisz. Współpracę z Zygmuntem Koniecznym przerwała, gdy przestały interesować ją jego kompozycje. Piotrowi Skrzyneckiemu podziękowała za wspólne koncerty, twierdząc, że nie może z nią występować po alkoholu.

Nasze drogi artystyczne zaczęły się po prostu coraz bardziej rozchodzić. Jej nie odpowiadały moje propozycje, więc zakończyliśmy współpracę.

Z niełatwym już wtedy usposobieniem pieśniarki musieli mierzyć się organizatorzy koncertów. Gdy coś nie szło po jej myśli lub, nie daj Boże, nie wszystko było w pełni przygotowane, nie miała oporów, by twarzym głosem powiedzieć, że nie wystąpi. Tak zdarzyło się choćby w Moskwie, kiedy okazało się, że jeden z fortepianów jest niedostrojony. Publiczność siedziała na widowni dwie godziny, aż artystka uznała, że instrument nadaje się do grania. – Podobnie było przed jednym z wieczorów, gdy zorientowała się, że na scenie ustawiono pianino, a nie

fortepian. Trzasnęła drzwiami i tyle ją widziano. Wróciła, gdy scena przygotowana była tak, jak sobie życzyła. U niej wszystko musiało być na najwyższym poziomie – dodaje Krzysztof Oczkowski, gitarzysta, który koncertował z Demarczyk przez ostatnich kilkanaście lat jej kariery.

Był on jednym z członków jej zespołu, gdy została mianowana dyrektorem Teatru Ewy Demarczyk. Szefowa sceny, początkowo niemającej siedziby, spotykała się z władzami miasta, urzędnikami, walcząc jak lwica o lokal, w którym mogłyby się odbywać próby i koncerty. Oczywiście robiła to wtedy, kiedy zjawiała się w Krakowie, bo był to czas wielomiesięcznych zagranicznych tournée. Nie miała już ani czasu, ani ochoty na spotkanie się z dawnymi przyjaciółmi, nie schodziła do Piwnicy, nie siadała przy barze, żeby usłyszeć nową plotkę. Zresztą znajomi czuli, że nie jest to już ich dawna Ewa.

Wtedy jeszcze jej głos był nie do zdarcia, a występy gromadziły tłumy ludzi w Polsce i za granicą.

Jednak niebawem coś dziwnego zaczęło się dziać podczas koncertów. Publiczności zdarzało się usłyszeć fałszywe nuty, które zaczęły wkradać się do śpiewanych przez nią utworów. Problemom z głosem na pewno nie sprzyjały palone w ogromnych ilościach carmeny. Tak jak nie pomagał stres związany ze sporem, jaki artystka toczyła z władzami miasta. Teatr Ewy Demarczyk dostał wreszcie lokal w części kamienicy przy ul. Gazowej na krakowskim Kazimierzu. Ale nic się w nim nie działo, a instytucja nie płaciła właścicielom czynszu. Urzędnicy mieli dość takiego stanu rzeczy. Doszło do eksmisji.

#### **Kobieta, która potrzebowała miłości**

Wtedy była już w związku z Pawłem, młodszy od niej mężczyzną, który początkowo pełnił rolę pracownika technicznego w zespole. Z biegiem czasu awansował, aż w końcu zostali parą. – W trakcie trasy nosił jej walizki, spełniał jej zachcianki, opiekował się nią. Ewa tego bardzo potrzebowała – opowiadają zgodnym chórem znajomi.

Jej wcześniejsze związki raczej do udanych nie należały. Po raz pierwszy wyszła za mąż za polskiego muzyka grającego na skrzypcach w orkiestrze w Brukseli. Trwało to krótko, bo on nie chciał wracać do Pol-

ski, a ona nie zamierzała zostać w Belgii. Piotra, który pojawił się, kiedy Ewa była już gwiazdą, niemal wszyscy od razu polubili. Przystojny, inteligentny, znał się na sztuce, a przynajmniej sprawiał takie wrażenie. Naprawiał antyczne meble, ramy starych obrazów i robił to z wielkim zjawstwem. Ona straciła dla niego głowę i szybko zdecydowała się wyjść za mąż.

Nie podobały się jej tylko jego tatuaże. Kazała mu je usunąć. Pamięta to scenograf Kazimierz Wiśniak, bo mówiło się o tym w Piwnicy. Zresztą Piwnica była miejscem przeróżnych opowieści. Wieczorami spotykali się wszyscy przy wódce i dzielili się najciekawszymi historiami. – Kiedyś opowiedziałem im, jak wczesnym rankiem odwiedził mnie mąż Ewy. Przyniósł ze sobą tobolek, w którym zawinięte były przepiękne, srebrne przedmioty. Wiedział, że kolekcjonując takie rzeczy, dlatego zaproponował mi ich sprzedaż. Powiedział, że potrzebuje pieniędzy, bo chce zrobić Ewie niespodziankę i naprawić jej zepsuty samochód. Wybrałem sobie z tego małą, przeznaczoną na wizytówki tackę ze ściętymi rogami i pieczątką Tiffany’ego, kubeczek z uszkiem i kieliszek z carskiego Petersburga. Zapłaciłem mu część kwoty i ucieszony schowałem te przedmioty do kredensu – przypomina sobie Kazimierz Wiśniak.

Skrzynecki, który musiał już wcześniej coś słyszeć o tym, czym zajmuje się Piotr, wysłuchał jego opowieści w skupieniu. Pogroził mu palcem i powiedział, by scenograf uważał, bo to może się źle skończyć. I miał rację. Po dwóch miesiącach do jego drzwi zapukali milicjanci z nakazem rewizji. Okazało się, że mąż Demarczyk ukradł je z mieszkania starej krakowskiej rodziny. Siedział teraz w areszcie i prokuratura prowadziła przeciwko niemu śledztwo.

– Zobaczyłem go później w sądzie, przed rozprawą, w której uczestniczyłem w charakterze poszkodowanego. Czekaliśmy na korytarzu, aż dowiozą go z aresztu. Ewa też tam była. Ubrana w długie, czarne futro, po którym spływał szal, chodziła nerwowym krokiem tam i z powrotem, wpatrując się w drzwi. W końcu go wprowadzili i odbyła się scena niczym z kiczowatego melodramatu. Rzuciła się na Piotra, zaczęła go całować, choć milicjanci robili wszystko, by ich

rozdzielić – kreśli filmową scenę scenograf, a znajomi dodają, że ona naprawdę musiała go kochać, choć rozwiodła się z nim, gdy siedział już w więzieniu.

\*

Ewa Demarczyk nie miała oporów, by rozstać się z partnerami, współpracownikami, a także z przyjaciółmi, gdy się obraziła, albo uznała, że nie są już jej do niczego potrzebni. Piwnicę pod Baranami porzuciła, gdy stwierdziła, że jest na tyle sławną artystką, iż nie może sobie pozwolić na występowanie w miejscu, gdzie nawet pianino ma tylko co drugi klawisz. Współpracę z Zygmuntem Koniecznym przerwała, gdy przestały interesować ją jego kompozycje. Piotrowi Skrzyneckiemu podziękowała za wspólne koncerty, twierdząc, że nie może z nią występować po alkoholu. Aż finalnie, po odebraniu jej teatru, obraziła się na cały świat i zamknęła w domu w Wieliczce. – Dzwoniłam do niej na święta, żeby złożyć życzenia. Kiedy miała dobry nastrój, rozmawiała godzinami. Przeważnie wspominała dzieciństwo. Ale o śpiewaniu nigdy nie mówiła – zdradza dawna znajoma.

\*

Prof. Opalski mówi dziś: – W teatrze Ewy Demarczyk postaci pojawiały się i nikiły, przychodziły, by zwierzyć się ze swych udręczeń, najtajniejszych sekretów i pożądań. Artystka stawiała je na scenie, zdając się mówić: rozumiem was i kocham. A do nas zwracała się z prośbą: wy także je pokochajcie!

I przecież zwraca się z tą prośbą nadal.

Przy pisaniu tekstu korzystałam z książki Joanny Olczak-Ronikierowej *Piwnica pod Baranami* oraz Angeliki Kuźniak i Eweliny Karpacz-Oboładze *Czarny Anioł*.



**Magda Huzarska-Szumiec** – dziennikarka, teatrolożka, jurorka Mar-ki Radia Kraków. Miłośniczka win o wszystkich kolorach...



## Głowa, ręka, mózg na ścianie

**Tekst:** Magda Huzarska-Szumiec **Zdjęcie:** Michał Chojnacki/Akson Studio

***W lesie dziś nie zaśnie nikt* to specyficzny horror. Będą się dobrze bawić na nim ci, którym nie przeszkadzają hektolitry czerwonej farby i zmasakrowane części ludzkiego ciała.**

Ten film przejdzie do historii kina polskiego. Może nie dlatego, że jest dziełem wybitnym, ale dlatego, że jest pierwszą naszą rodzimą produkcją, która nie weszła na ekrany z powodu epidemii. Tuż przed premierą zamknięto kina, więc nikt nie miał szansy zobaczyć obrazu Bartosza Kowalskiego *W lesie dziś nie zaśnie nikt*. I pewnie przepadłby on gdzieś w archiwach dystrybutorów, gdyby ktoś przytomnie nie dogadał się z Netflixem. Dzięki temu przynajmniej w domu możemy oglądać ów horror.

W przypadku tego filmu to nawet nie jest horror, a jego podgatunek o nazwie *slasher*. Ci, którzy są wielbicielami takich klasyków jak *Teksańska masa-kra piłą mechaniczną* czy *Koszmar z ulicy Wiązów*, już wiedzą, o czym piszę. Mamy tu do czynienia z historiami, w których krew leje się hektolitrami, a ludzkie głowy i inne części ciała fruwią w powietrzu niczym niezidentyfikowane obiekty latające. Z reguły slashery oparte są na ustalonych schematach. Opowiadają o grupie młodych ludzi, którzy zwykle błąkają się po lesie nękani przez psychopatycznego mordercę. Psychopata po kolei rozprawia się z kolejnymi osobami aż do konfrontacji z tak zwaną *final girl*, która samotnie musi stawić czoło monstrum.

W przypadku filmu *W lesie dziś nie zaśnie nikt* są to zmutowani bracia bliźniacy, których obrzydliwe łapska, wyposażone, jak na porządny *slasher* przystało, w maczety i tym podobne narzędzia, wpadają młodzi ludzie. Zostali oni wysłani przez rodziców

na obóz przetrwania, na którym mają przejść tygodniowy odwyk od internetu. Jak się można domyśleć, odebranie im telefonów w lesie, gdzie grasują potwory, raczej nie jest dobrym pomysłem.

Więcej nic nie zdradzę, by nie odbierać przyjemności oglądania filmu, który pewnie nie przypadnie do gustu wszystkim. Raczej polecam go tym, którzy lubią tę nieoczywistą konwencję, sprawia im frajdę szukanie odniesień do innych slasharów, a co za tym idzie traktują ten gatunek z dystansem, potrafiąc bawić się rządzonymi nim regułami. Bartosz Kowalski czasem je przełamuje, co jest dodatkową zaletą obrazu. Bowiem główna bohaterka, owa *final girl*, grana przez Julię Wieniawę, skrywa jeszcze własną tajemnicę, której odkrycie pozwala realizatorom wpleść do filmu wątki psychologiczne.


Gdyby Quentin Tarantino w młodości nie pracował w wypożyczalni filmów VHS, gdzie namiętnie całymi dniami oglądał klasyki kina klasy B, nigdy by nie powstały jego najważniejsze dzieła. Może więc czasem warto wypuścić z płuc odrobinę powietrza i oddać się czystej rozrywce. Nie przeczę, dość specyficznej i wymagającej pewnego rodzaju poczucia humoru, ale bez wątplenia dającej szansę zapomnieć o otaczającym nas coraz dziwniejszym świecie.

Film *W lesie dziś nie zaśnie nikt* można oglądać w serwisie Netflix.





nowa publikacja  
 dr Anny Grochowskiej  
**w sprzedaży!**

 /LiterackiPrzewodnikNowaHuta

**KONTAKT**

Nowohuckie Laboratorium Dziedzictwa  
 Ośrodka Kultury im. C. K. Norwida  
 os. Górali 5, 31-959 Kraków  
 tel. 12 644 27 65 wew. 47  
 nhlab@okn.edu.pl  
 www.nhlab.okn.edu.pl

**WYDAWCA**

Ośrodek Kultury im. C. K. Norwida  
 Instytucja Kultury Miasta Krakowa

# Willa Decjusza – azyl na krańcu Krakowa

Tekst: Marta Gruszecka Zdjęcia: Paweł Mazur/Willa Decjusza

Tutaj schronienie znajdują prześladowani w swoich krajach literaci, tacy jak syryjska pisarka Chulud Szaraf. Przestrzeń twórczą zaś artyści, którzy mimo pandemii chcą nadal dzielić się muzyką. A ukojenie wszyscy ci, którym dobrze z dala od zgiełku miasta. Zespół Willi Decjusza robi wszystko, by koronawirus nie pozbawił krakowian szansy na obcowanie z kulturą.

Wyobraźmy sobie, że Kraków byłby damą. Czy w historii miasta coś by to zmieniło? Może założycielką Krakowa wcale nie był Krak, lecz jego waleczna córka Wanda? Może to jej należy się kopiec, może to ona pokonała Smoka Wawelskiego? W czerwcu 2018 roku Teatr Słowackiego poświęcił Wandzie spektakl *Smok!* (reż. Jakub Roszkowski) i historię odważnej księżniczki wystawił w mekce polskich królów – na Dziedzińcu Arkadowym Wawelu. Publiczność przyjęła Wandę serdecznie, można przypuszczać nawet, że niejeden z widzów dopiero dzięki teatralnej sztuce docenił rolę córki Kraka w powstawaniu miasta.

## O Krakowie, Kobieto Zachodu!

Chulud Szaraf, pochodząca z Syrii rezydentka Willi Decjusza w ramach Programu Rezydencjalnego Artist Protection Fund i stypendystka Międzynarodowej Sieci Miast Schronienia ICORN w Krakowie, też dostrzegła w Krakowie kobietę. Wynika to z zasad języka arabskiego, w którym nazwy miast są rodzaju żeńskiego. Dlatego w wierszu *Kraków* z tomiku *Odwrócone niebo*, który powstał podczas jej pobytu w królewskim mieście, zwraca się do Krakowa tak:

„Kobieto Zachodu! podziel się ze mną pokojem

Przykryj swe chłodne dłonie moim słońcem

Rozwiąż swoje jasne warkocze abym spłótła je z czernią moich włosów (...).”

Kobietą Zachodu można śmiało nazwać też Willę Decjusza, obecną w przestrzeni Krakowa od pięciuset lat. Willa powstała dzięki staraniom Justusa Decjusza, sekretarza króla Zygmunta Starego, w złotej erze polskiego renesansu i wraz z przynależnym jej ogrodem miała służyć jako miejsce spotkań, a z czasem także jako przyjazna przestrzeń na niedzielną wycieczkę oraz oaza do wyciszenia się i zebrania myśli. Jeśli wierzyć legendom, budynek został połączony z Wawelem podziemnym przejściem. Tajemnego tunelu nigdy nie odnaleziono, lecz od czego wyobraźnia...





### Spotkania na styku

Perła polskiego renesansu, bo tak z dumą możemy nazywać Willę Decjusza, była zawsze kuźnią nowych idei, miejscem otwartym na innych, źródłem impulsów do zmian. Tak jest do dziś. Willa Decjusza i działający w niej od niedawna Instytut Kultury to punkt przecinania się różnych nacji, wyznań i poglądów, połączony wartością, która nie zna granic – przyjaźnią. Dzięki niej Willa jest domem dla literatów, muzyków czy artystów sztuk z wielu krajów. – Willa Decjusza to miejsce symboliczne, nie tylko dlatego, że ma za sobą 500-letnią historię.

Tutaj od 25 lat, czyli momentu renowacji budynku, organizujemy spotkania „na styku”: łączymy ludzi z różnych dziedzin i zachęcamy do wymiany myśli dotyczącej nie tylko kultury, ale także nauki i biznesu. Dodatkowym impulsem było powołanie w styczniu 2019 roku Instytutu Kultury Willa Decjusza, którego zadaniem jest zapewnienie krakowianom, a także mieszkającym w Krakowie gościom z zagranicy najlepszej oferty edukacyjnej i artystycznej. Nawet w czasie pandemii – podkreśla prof. UJ Dominika Kasprovicz, dyrektorka Stowarzyszenia i Instytutu Kultury Willa Decjusza.



Koncert Chóru Polskiego Radia w Willi Decjusza, grudzień 2019



### **Gdy wolność słowa to wspomnienie**

Jej słowa potwierdza obecność w Willi Chulud Szarah. Ta pisarka i aktywistka społeczna przyjechała do Krakowa z Syrii, państwa, w którym zamiast życia akademickiego toczy się wojna, a wolność słowa jest już tylko wspomnieniem. – Gdy po raz pierwszy przybyłam do Willi Decjusza, poczułam, że znam to miejsce i że ono mi odpowiada. Odebrałam je jako piękne i czarujące, mimo że bardzo różniło się od tego, z którego przyjechałam – wspomina.

W rodzinnym kraju Chulud pracowała w laboratorium policyjnym, gdzie była świadkiem łamania praw człowieka przez funkcjonariuszy. Jako osoba publiczna pró-

Willa Decjusza jest uczestnikiem programu Horyzont 2020 – So-Close, który ma przyczynić się do spójności społecznej i walki z marginalizacją lub wykluczeniem uchodźców poprzez spotkania z technologią i sztuką.

bowwała reagować, jednak zaczęła otrzymywać pogróżki – i to od samej policji. Dzięki Programowi Międzynarodowej Sieci Miast Schronienia ICORN w Krakowie, a od niedawna także stypendium Fundacji Artist Protection Fund, bezpiecznie przyleciała do Polski. W Willi Decjusza spędziła dwa i pół roku. – Na każdym nowym „przystanku” naszego życia mamy na początku pewne odczucia, które opierają się na naszych wcześniejszych przeżyciach. Jednak te pierwsze emocje szybko ulegają zmianom w zależności od konkretnych okoliczności i osobistych potrzeb. To naturalne. Chwile, które spędziłam w Willi, były nie tylko magiczne, ale też i trudne. Były dni, gdy czułam się bardzo samotna w tym poniekąd odizolowanym miejscu, bo Willa znajduje się daleko od centrum, w dzielnicy Zwierzyniec. Szczególnie zimą. Były też okresy, gdy przez parę dni nie miałam do kogo otworzyć ust, co potęgowało tęsknotę za ojczyzną – wspomina Chulud. Podkreśla jednak, że dwuipółletni pobyt w Krakowie wiele ją nauczył. – To była moja pierwsza próba życia w Europie! Wszystko tutaj różniło się od Syrii: język, przyroda, ludzie, kultura, zwyczaje, a nawet przepisy prawne. Historia Europy jest inna niż historia Orientu – każde miejsce ma zresztą „osobiste CV”. Polska mnie oczarowała, a Willa stała się dla mnie domem i moją małą ojczyzną. Żałuję tylko, że nie nauczyłam się języka polskiego – z tego powodu nie mogłam zbliżyć się do ludzi na tyle, na ile bym chciała. Opanowałam za to podstawy angielskiego, dzięki czemu świat się dla mnie otworzył. Poznałam też nowych przyjaciół, którzy rozmawiają ze mną właśnie po an-

gielsku. Mam nawet swoją polską rodzinę! – uśmiecha się Syryjka.

### **Dziennik z podróży w czasie**

Pisarzy, artystów czy naukowców w sytuacji takiej jak Chulud są tysiące. Kobieta miała szczęście – w Willi Decjusza mogła spokojnie, bez zagrożenia zamachem bombowym czy innym niebezpieczeństwem, tworzyć i prowadzić warsztaty. Oraz pisać, między innymi o Krakowie. – Pierwsze wiersze, które napisałam w Europie, były poświęcone Krakowowi. To miasto ma w moim sercu szczególne miejsce. W Willi dokończyłam książkę, za którą dostałam nagrodę imienia Ibn Battuty i napisałam wiersze, które zostały zebrane w jednym tomiku. Większość z nich przetłumaczono na polski – mówi pisarka.

Tomiki jej autorstwa to między innymi *Resztki motyla* i *Odwrócone niebo*. W lipcu, dzięki serii wydawniczej Instytutu Kultury Willi Decjusza, ukazał się też polski przekład symbolicznej w obliczu pandemii książki Chulud *Powrót do gór. Dziennik w cieniu wojny*.

– Kiedy wróciłam z Damaszku do As-Suwajdy na południu Syrii, zdałam sobie sprawę, że miejsce, które opuściłam wiele lat wcześniej, nie zmieniło się – wszystko wydawało się dokładnie takie samo. Wtedy przypomniałam sobie małą dziewczynkę, którą kiedyś byłam. Obrazy z pamięci zaczęły powoli składać się w spójną całość... Musiałam jednak znaleźć sposób, by odepchnąć przenikającą te wspomnienia atmosferę wojny. Odkryłam, że pomoże mi w tym napisanie książki o moim dzieciństwie. Narracja *Powrotu do gór* biegnie równoległe w dwóch planach czasowych: wspomnień spokojnego dzieciństwa i trwającej teraz w moim kraju wojennej katastrofy. Jest zarówno pamiętnikiem, jak i dziennikiem z podróży w czasie. Wszystko wydarza się w tajemniczym miejscu pełnym mitów, legend i opowieści o reinkarnacji – bo tutaj się w nią wierzy – opowiada pisarka.

Książkę Chulud recenzuje dyrektor Kasprowicz: – To nie tylko świetnie prowadzona, nawiązująca do najlepszych motywów podróżniczych literatury arabskiej, podróż na Bliski Wschód. To podróż w głąb siebie. Obrazowo mówiąc, odbyliśmy ją również jako instytucja kultury i w obliczu wyzwań jakie przyniosła pandemia, zmieniliśmy program i formaty naszej oferty, dostosowując je do nowych czasów.

### **Słysząc tylko skrzypce**

Owoce mentalnej podróży jest między innymi cykl *Villa Artis Online*, w ramach którego przyjaciele Willi mogą wziąć wirtualny udział w koncertach muzyki klasycznej i nowoczesnej czy wystawach młodej sztuki. – Powołując cykl, chcieliśmy w obliczu pandemii dać wyraz solidarności z ludźmi kultury, zwłaszcza wywodzącymi się z krakowskiego środowiska. Naszym gościem był cho-



Chulud Szaraf

ciażby Stanisław Słowiński, jeden z najzdolniejszych polskich skrzypków młodego pokolenia. Specjalnie dla nas skomponował *Balladę* na skrzypce solo. Brzmienie skrzypiec rozbrzmiewające w pustej Willi... Koncerty bez publiczności są niesamowite. Poważnie traktujemy potrzebę współpracy i międzysektorowej solidarności. Wraz z twórcami i innymi instytucjami kultury działamy, szukamy sposobu na rozwiązanie tej trudnej sytuacji – podkreśla dyrektorka. Koncertów oraz rozmów z artystami możemy posłuchać na YouTube.

#### **Tolerancja, integracja, współpraca**

Na żywo, ale bezpiecznie, bo przecież wśród zieleni, z dala od tłumu i miejskiego zgiełku, mogliśmy z kolei oglądać wystawę plenerową poświęconą 500-letniej historii Willi, a w ostatnim tygodniu lata wziąć udział w *Art Pikniku w Willi Decjusza*. – Art Piknik to trwające siedem dni wydarzenie, podczas którego przybliżamy krakowianom różne wymiary kultury, ich wielość jest nieodłącznym elementem codziennego życia. Przemierzając

ulice, często nie jesteśmy świadomi wielokulturowego dziedzictwa wypełniającego najbliższe otoczenie. Realizacja Art Pikniku w jednej z ciekawszych przestrzeni Krakowa, założonej przez przybysza z dalekiej Alzacji, Niemca Justusa Ludwika Decjusza, nawiązuje do charakteru miasta od wieków otwartego na cudzoziemców i opierając się na tym symbolicznym kapitale, budującego swój kulturalny potencjał. Sprowadzając się tutaj z innych stron świata, nowi mieszkańcy zaszczipiają elementy własnych kultur, wzbogacając tym samym lokalne relacje społeczne – tłumaczy dyrektor. Podkreśla, że Kraków wiele zawdzięcza obcokrajowcom, którzy zdecydowali się tutaj tworzyć, pracować czy nauczać. I osiedli tu na stałe. – Z roku na rok liczba obcokrajowców mieszkających i pracujących w Krakowie zwiększa się, przyczyniając się do wzbogacenia jego oferty kulturalnej. Kluczem do wykorzystania możliwości jest twórcza współpraca, czyli integracja mieszkańców, środowisk twórczych i ruchów miejskich oraz budowanie więzi zaufania i solidarności.



Bohaterką tegorocznego Art Pikniku była Ukraina. – Przez wystawy prac ukraińskich artystów, warsztaty literackie, występy, spotkania, wykłady czy nawet pokazy kulinarne realizujemy naszą misję promocji kultury i wspierania międzynarodowej współpracy, tworzymy miejsce przyjazne spotkaniom, które wzbogacają – wspomina Kasprowicz.

### Dukaty Decjusza

W Instytucie Kultury Willi Decjusza są realizowane też inne projekty międzynarodowe. Poza pakietem programów rezydencjalnych Willa jest jedynym środkowoeuropejskim członkiem konsorcjum programu So-Close (Horyzont 2020), który ma przyczynić się do spójności społecznej i walki z marginalizacją lub wykluczeniem uchodźców dzięki wykorzystaniu wspólnego dla Europejczyków doświadczenia przymusowych migracji. – Willa od lat wzmacnia wizerunek Krakowa na arenie międzynarodowej. Ten program

Perła polskiego renesansu, bo tak z dumą możemy nazywać Willę Decjusza, była zawsze ostoją nowej myśli, otwartości na inność, impulsu do zmian. Tak jest do dziś.

ma na celu wyposażenie placówek kulturalnych w nowoczesne narzędzia, które w efekcie mają pomóc w integracji lokalnej społeczności, zwłaszcza jeśli w tych społecznościach żyją imigranci czy reemigranci. Instytut Kultury Willa Decjusza jest jedyną instytucją w Europie Środkowo-Wschodniej, która bierze udział w tak dużym, bo obejmującym siedem państw, przedsięwzięciu – zaznacza dyrektorka.

Przygotowywane są tutaj także studia podyplomowe z zakresu ochrony dziedzictwa. – Zachowanie dziedzictwa kulturowego ma znaczenie dla wszystkich narodów świata. Dlatego rzeczą ważną jest, aby temu wspólnemu dziedzictwu zapewnić skuteczną ochronę, zwłaszcza w rzeczywistości nieprzewidywalnej i dynamicznej – podkreśla Kasprowicz. W projekt zaangażowani zostaną eksperci z bogatym doświadczeniem międzynarodowym w zakresie ochrony dóbr kultury w czasie konfliktów zbrojnych i sytuacji kryzysowych.

Na edukację w Willi mogą liczyć również najmłodsi. Wciąż trwają prace nad nową, dostosowaną do pandemii odsłoną programu *Dukaty Decjusza* adresowanego do krakowskich uczniów, ale także do dzieci z małych miejscowości. – Wszystko zaczęło się od Justusa Decjusza, który był nie tylko prawą ręką króla, ale też odpowiednikiem ministra finansów. To on, wygrywając z Mikołajem Kopernikiem przetarg na reformę monetar-

na, wprowadził do obiegu polski dukat. Stąd współorganizowana ze Stowarzyszeniem Willa Decjusza akcja *Dukat Decjusza* łącząca wiedzę o ekonomii, historii i numizmatyce – wyjaśnia dyrektorka. W ubiegłym roku w ramach programu wykłady i warsztaty odbyły się na terenie Willi. Jak będą wyglądały w czasie pandemii? Wciąż trudno powiedzieć.

### Symboliczne kafle

Sama Dominika Kasprowicz związała się z Willą Decjusza osiemnaście lat temu. Wiele wydarzyło się w tym czasie w Willi i wiele się w jej relacji z nią zmieniło.

– Pracę rozpoczynałam na pierwszym roku studiów. Od czterech lat kieruję zespołem Willi Decjusza. Miałam zatem okazję, by dobrze poznać potencjał tego miejsca. A jest on ogromny – to miejsce dające wiele możliwości, nieustające źródło zaskoczeń – podkreśla.

Najlepiej zapamiętany przez nią moment? Willa Decjusza była planem, na przykład, zdjęciowym *Siłaczki Marty Dzido*, wcześniej jej stypendystki, miejscem akcji gier komputerowych (Szkoła Letnia Scenariuszy Gier Komputerowych) itd. Lecz szczególnie zapadła w pamięć Kasprowicz wizyta przedstawicieli Fundacji Charytatywnej im. Barzaniego, którą Stowarzyszenie Willa Decjusza wyróżniło Nagrodą im. Sérgia Vieira de Mello. Laur jest przyznawany za działania na rzecz praw człowieka, pokojowego współistnienia i współdziałania społeczeństw, religii oraz kultur. – Nagrodę wręczamy od siedemnastu lat w dwóch kategoriach: osoba i organizacja pozarządowa. W 2017 roku jej laureatem była kurdyjska Fundacja Charytatywna im. Barzaniego. Willę odwiedziło wtedy trzech przedstawicieli fundacji – poza oficjalną uroczystością mieli oczywiście możliwość zwiedzenia budynku. Ich twarze, zahipnotyzowane na widok jednej ze ścian Willi, pamiętam do dziś. Loggia na pierwszym piętrze jest ozdobiona ponad stuletnimi kafłami o motywie orientalnym, które przywozła tutaj rodzina Lubomirskich. Okazało się, że wśród kafli Kurdowie odnaleźli symbole, które są głównym motywem ich wyznania. Wszyscy byliśmy tym poruszeni. Wtedy uświadomiłam sobie, że Willa naprawdę jest miejscem spotkań. Skoro przyjeżdżają do nas ludzie z kraju umęczonego konfliktem zbrojnym i przypadkiem odnajdują coś, co jest najważniejszym dla nich symbolem życia i nadziei na pokój... – wspomina Kasprowicz. I dodaje: – Liczymy, że pomimo trwającej pandemii uda nam się stworzyć możliwość doświadczenia jej atmosfery, klimatu i odkrywania tajemnic.



**Marta Gruszecka** – dziennikarka z lekkim piórem i łębskim żartem. Rozmówczyni, która potrafi słuchać. Miłośniczka kotów – czarnych i ciapatych. Maratonka, która nigdy się nie poddaje.





*Miasto wież, fot. Przemek Czaja*



**Przemek Czaja** z zawodu wyuczony jest trenerem koszykówki, co bez wątplenia jest pokłosiem jego sukcesów w reprezentacji Polski juniorów w tej dyscyplinie. Na co dzień pracuje jako akustyk i fotograf.

Prowadzi także warsztaty fotograficzne oraz popularną na Facebooku stronę *Made in Krakow*. Autorska galeria jego zdjęć znajduje się w Hotelu Bogoria przy ulicy Senackiej 6.

# Modelka ze światowej ligi

Tekst: Magda Huzarska-Szumiec Zdjęcie: Ernest Shapiro

**Kraków jest modelką wyjątkową, której nie można się oprzeć. Łączy w sobie klasyczną urodę Cindy Crawford z dziewczęcym wdziękiem Poli Raksy. Tak twierdzi Przemek Czaja, z którego fotografii bije zachwyty nad ponadczasową urodą miasta.**

To była dość ryzykowna decyzja, by wybrać sobie Kraków za modelkę – przecież nader często jest fotografowany. Rzadko zdarza się, by turysta oparł się pokusie wyciągnięcia aparatu albo komórki i nie uwiecznił urody tutejszych zabytków. Większość zrobionych w ten sposób zdjęć jest do siebie podobna, a miasto wygląda jak wdzięcząca się do przybysza paniusia, która odkrywa przed nim jedynie pocztówkowe wdzięki. Żeby dotrzeć do najgłębiej skrywanых, ale i najbardziej ekscytujących tajemnic Krakowa, trzeba patrzeć na niego jak na wciąż niezdożytą kochankę, która droczy się z fotografem, bardzo powoli odkrywając przed nim swoje prawdziwe, niepowtarzalne piękno.

Przemek Czaja zaczął odkrywać swoje miasto już w dzieciństwie, kiedy to babcia Stefania Małkowska, nauczycielka języka polskiego, zabierała go na spacer. To dzięki jej opowieściom w wyobraźni chłopca ożywali królowie, rycerze, smoki i urodziwe królowny. Te historie zostały w nim na zawsze, co widać na nieraz bajkowych kadrach, kiedy uchwycione o zmierzchu kamienice, kopuły kościołów, zakola Wisły czy spowity błękitem nieba Rynek wyglądają jak modelka przebrana za księżniczkę z *Księgi tysiąca i jednej nocy*.

Fotograf znalazł dla swojej modelki kilka wybiegów. Szczególnie dla niego ważny wiedzie przez Drogię Królewską. – Kraków wygląda najładniej, gdy stoi się na podwyższeniu na placu Matejki. Widać wtedy jak kolejne budowle nakładają się na siebie. Bo jest przecież Barbakan, brama Floriańska, ostatnie zachowane baszty, dalej kościół Mariacki, a gdzieś tam w tyle majaczy Wawel. To są gotowe kadry. Podobnie się dzieje, gdy staniemy na początku ul. Grodzkiej i możemy objąć obiektywem wieże kościoła św. Andrzeja i kościół Bernardynów – mówi Przemek, który uwielbia też patrzeć na swoje miasto z Podgórz, a szczególnie ze skałek parku Bednarskiego, kiedy to widać strzelistość kościoła Bożego Ciała, świątynię św. Katarzyny, Skałkę i Wawel. Marzy mu się, by w tym miejscu stworzono platformę widokową dla turystów, których z pewnością zachwyciłaby niebanalna perspektywa.

Przemek zresztą najchętniej ogląda Kraków z wysokości jego zabytkowych wież, zwieńczeń świątyń

i hotelowych tarasów. Nie jest jednak bezkrytycznym obserwatorem. Zauważa czasami niedociągnięcia w urodzie modelki, którymi są na przykład nie zawsze estetyczne dachy. Wtedy kieruje aparat ponad nimi, tak by uwiecznić zabudowania zlewające się z majaczącymi w oddali Tatrami. – Idealnym do fotografowania miejscem były dla mnie rusztowania, jakie swego czasu postawiono przy kościele Piotra i Pawła. Kiedy na nich stanąłem, wyłoniły się przede mną wieże kościoła św. Andrzeja z Wawelem w tle, któremu towarzyszył zachód słońca. Wpadłem w amok, nie wiem, czy zachowałbym się tak nawet na widok Cindy Crawford idącej pod rękę z Polą Raksą – żartuje.

– Z kolei stojąc na wieży kościoła Bożego Ciała, nie zrobiłem chyba najważniejszego zdjęcia w moim życiu, kiedy nad Wawel, który jest świetnie stamtąd widoczny, nadleciało ogromne stado gawronów. Właśnie w tym momencie zmieniałem obiektyw i nie mogłem uchwycić, jak oplatają one zamek niczym szarańcza. Wspiąłem się w to samo miejsce następnego dnia, ale był już inny prąd powietrza, a one leciały znacznie niżej i nie dało się uzyskać takiego efektu – dodaje fotograf, dla którego ptaki są swego rodzaju biżuterią Krakowa, miasto może ją nosić niczym zakochana w błyskotkach kobieta.

Na fotografiach Czaja uwiecznia więc przechadzające się po Rynku gołębie... Na jednym z jego pięknie zamglonych zdjęć wzbijają się do lotu, wypełniając sobą przestrzeń między kościołem Mariackim a Sukiennicami. – Ostatnimi czasy dołączyły do gołębi kawki, jak twierdzą, z zaburzeniami osobowości, bo zaczęły zachowywać się tak samo jak one. Nie chcą tylko jeść pszenicy, którą uśiłowalem karmić je podczas pandemii. Zdecydowanie wolą kawałki hamburgera – śmieje się uwielbiający opowiadać o ptakach Przemek. Na przykład o kormoranach, które zimą płynącą przez Kraków Wisłę traktują niczym stołówkę, wyławiając z niej ryby.

Ptaki możemy spotkać również na wielu zdjęciach zamieszczonych przez Przemka Czaję w wydanym dwa lata temu albumie *Made in Kraków*. Niczym drogocenne diamenty na piersi modelki będą błyszcząć w kolejnym, przygotowywanym właśnie przez fotografa, autorskim wydawnictwie.



**Magda Huzarska-Szumiec** – dziennikarka, teatrolożka, jurorka Marki Radia Kraków. Miłośniczka win o wszystkich kolorach...



## Odpowiada Przemek Czaja

### **Jaką porę dnia najbardziej lubisz?**

Letni świt, dzięki ptasim śpiewom, i niebieską godzinę w upalny dzień, ze względu na światło.

### **Jaką porę roku uważasz za najpiękniejszą?**

Ciepły maj, wtedy wszystko, co piękne, wciąż jest przed nami.

### **Co uważasz za swoje największe osiągnięcie?**

Rodzinę.

### **Jak brzmi twoje motto?**

Mam kilka na potrzeby chwili. Ale najczęściej patronują mi słowa: „Nigdy nie mów nigdy”.

### **Co chciałbyś jeszcze osiągnąć zawodowo?**

Chciałbym, aby to, co robię, zawsze sprawiało mi radość, a nie tylko satysfakcję.

### **Jaki zawód wykonywałbyś, gdybyś teraz mógł wybierać?**

Byłbym kustoszem ogromnego zamku z mnóstwem wysokich wież i zakamarków.

### **Jakiego zawodu nie chciałbyś nigdy wykonywać?**

Są takie dwa – polityk i kontroler biletów.

### **Pejzaż, który przywołujesz, gdy przymykasz oczy?**

Łąka pełna mleczy na tle Tatr.

### **Czy potrafisz już w stu procentach powiedzieć, gdzie jest twoje miejsce na ziemi?**

Gdzieś tutaj, to nie może być daleko.

### **Czy są jakieś miasta, o zobaczeniu których marzysz?**

Praga. Chciałbym ją poznać tak od podszewki, poczuć ją tak, jak czuję Kraków.

### **Czy są dzieła sztuki, bez których nie wyobrażasz sobie życia?**

Jako dziecko fascynowały mnie znaczki pocztowe z całego świata. To tysiące malutkich dzieł, pełnych formy i treści. I muzyka, różna, często diametralnie, ale mająca wspólną cechę: wywołująca gęsią skórę na przedramieniu.

### **Jaką książkę najbardziej lubisz?**

*Mistrza i Małgorzatę*, a tak naprawdę *Niewiarygodne przygody Marka Piegusa*.

### **Twój ulubiony film?**

*Braveheart* oraz *Monty Python i Święty Graal*.

### **Jak określiłbyś swój charakter?**

Niepoprawny marzyciel, jednak wciąż twardo stąpający po ziemi.

### **Gdybyś mógł zmienić w sobie jedną rzecz, co by to było?**

Rozmiar buta na nieco mniejszy.

### **Gdybyś po śmierci miał odrodzić się jako zwierzę, kim byś został?**

Gołębim grzywaczem, uwielbiam podpatrywać życie tych ptaków.

### **Czy są rzeczy, których się naprawdę boisz?**

Samotność, jedynie tego mogę się bać.

### **Kto jest w stanie uspokoić twoje lęki?**

Moje dzieci.



## Z literaturą po Nowej Hucie

Tekst: Krzysztof Jakubowski Zdjęcie: Grzegorz Kozakiewicz

Początki nie były łatwe, bo to w wyniku czysto politycznej decyzji, wymierzonej w „reakcyjny”, niepokorny Kraków, rozpoczęto w jego sąsiedztwie budowę wielkiego kombinatu metalurgicznego wraz z osiedlem dla pracowników. Założenie urbanistyczne i sama architektura były swego rodzaju eksperymentem, próbą stworzenia „idealnego” – także w wymiarze społecznym – miasta. Włączona do Krakowa w 1951 roku Nowa Huta stała się dlań sporym obciążeniem, zwiększając powierzchnię miasta o 65 km<sup>2</sup> i pochłaniając zarazem większość przekazywanych centralnie środków inwestycyjnych. W efekcie przyczyniło się to do znacznego pogorszenia warunków życia w samym Krakowie.

Mimo to integracja obu ośrodków postępowwała, tyle że dość wolno. Kiedy w listopadzie 1952 roku poprowadzono do Huty linię tramwajową, było już wiadomo, że wkrótce będzie to pełnoprawna część Krakowa. Huta przyciągała nowymi mieszkaniami – cóż z tego, że w blokach, skoro z wygodami i wśród zieleni.

Pierwsze wycieczki literatów do Huty – już u progu lat 50. – miały promować tak zwane Czerwone Kącki, rodzaj świetlic, gdzie robotnicy mogli doświadczyć kontaktu z kulturą w dowolnym rozumieniu tego słowa. Dość szybko, bo w roku 1954, udało się otworzyć przy pl. Centralnym tak zwany Empik, czyli Klub Międzynarodowej Książki i Prasy, który stał się – pożądanym! – salonem kulturalnym z księgarnią, serwującym w dodatku kawę i słodkości.

Kiedy w 1955 roku otwarto Teatr Ludowy, przyciągający różnicowanym repertuarem i niezłym zespołem aktorskim, podróże krakowian do Huty stawały się coraz częstsze. Powstawały też pierwsze kina, a siermiężną Stal zastąpiły szybko luksusowe Świt i Światowid.

Dziś nie ma już Empiku, ale z powodzeniem zastępuje go – uruchomione jeszcze w trudnych latach 80. – Nowohuckie Centrum Kultury, interdyscyplinarny ośrodek promujący wszelaką twórczą aktywność.

O tym wszystkim przeczytać można w książce Anny Grochowskiej, bo to nie tylko tytułowy „literacki” przewodnik. To także poprowadzona z nerwem historyka opowieść o trudnych narodzinach niechcianego miasta, które jeszcze długo nie było powszechnie akceptowane. Mamy zatem historyczny rys dawnych wsi, które stworzyły Nową Hutę, jak Bieńczyce czy Mogiła. Odnajdujemy też mnóstwo faktów i fragmentów książek, także najwybitniejszych pisarzy, którzy docenili rolę i nienachalną urodę Huty. Od Adama Ważyka i Natalii Rolleczek, po Wisławę Szymborską i Sławomira Mrożka.

Drobnym mankamentem – do nadrobienia w kolejnym wydaniu – jest jedynie brak indeksu nazwisk...

Anna Grochowska, *Literacki przewodnik po Nowej Hucie*, Ośrodek Kultury im. Cypriana K. Norwida, Kraków 2020.

# Smak życia

Rozmawiała Sylwia Pyzik Zdjęcie: Tycjan Gołubiński

**Agnieszka Kosińska: Kiedy nie wiem, jaką decyzję podjąć, robię sobie test: czy mogłabym żyć dalej, gdybym odmówiła? Tak było także wtedy, kiedy zgodziłam się zostać sekretarką Czesława Miłosza.**

**Sylwia Pyzik: Jak wyobraża sobie Pani swój głos na ostatniej stronie miesięcznika „Kra-ków”? Jeszcze niedawno w tym miejscu pi-sał Jerzy Pilch...**

Agnieszka Kosińska: Byłam niedawno w Je-leniej Górze i wzdłuż malowniczych przełomów rzeki Bóbr doszłam do wioski Siedlęcín. Stoi w niej XIV-wieczna kamienna wieża. Wcho-dzę do wieży, wspinam się na kolejne piętra, na zewnątrz upał afrykański, w środku ten

**Co obecnie zawodowo spędza Pani teraz sen z powiek?**

Jak mi coś spędza sen z powiek, wykonuję sprawnie operację myślową i ruszam do ak-cji. To może zabrzmieć niedobrze, bo wszyscy się teraz czymś martwią, ale ja się właśnie niczym nie martwię. Weźmy, przepraszam za banalne zagranie, tak zwaną pandemię, ten rodzaj zamieszania globalnego, tak to nazwij-my. Mój rozum tego nie ogarnia. Pomyślmy: Ziemia odkąd istnieje, należała i będzie nale-żeć do wirusów i bakterii. One rządzą. Dla-czego akurat ten wirus ma tak wielką pro-mocję? I pytanie ważniejsze: dlaczego teraz? Widzę to, co się dzieje od wiosny w innych kategoriach: odbywa się jakaś wielka próba generalna przed zmianą funkcjonowania całej ludzkości. Jak można zamknąć wiele milionów ludzi w domach? Jak można spowodować, że będą zachowywać się w pewien sposób? No właśnie tak. Już tego doświadczyliśmy. Tu już nie chodzi o kontrolę jednostek czy narodu, o czym na przykład mówiła słynna książka Miłosza *Zniewolony umysł*, ale wielonarodo-wych, wieloreligijnych, wielomilionowych mas. Jesteśmy więc nie u progu, ale już w no-wej epoce, nowej fazie ludzkości.

**Czy wierzy Pani, że pandemia przyniesie lep-sze jutro?**

Już przyniosła. Ludzie zostali drastycznie, często okrutnie zatrzymani w ich automa-tycznym pędzie. Zostały stworzone trochę straszne i sztuczne warunki, żeby usiedli i za- stanowili się – co z moim życiem? Czy mogę żyć inaczej? Bez czego mogę się obyć? Kto jest mi bliski? Co jest dla mnie najważniej-sze? Przewartościowane zostały też całe ob-szary życia ekonomicznego. Nagle się okazało, że na pracy zdalnej może być połowa ludzko-sci i to działa. Czy teraz kryzysy są realne? Nie wiem. Ekonomia zaszła już w taką sfe-rę swobodnej twórczości, że to jest dla mnie strefa *science fiction*. Jestem tą szaloną osobą, która uważa, że zawsze można coś zrobić. Że ma się wpływ na coś małego, w naszej okolicy, ale to małe, wydawałoby się, mizerne, działa potężnie. Wydaje mi się, że musimy się na-

W książce *Miłosz w Krakowie* chciałam Miłosza i jego rodzinę utrwalić na bogatym tle obyczajowym. Chyba się udało, bo kilka osób się obraziło, a większość czytała właśnie ze względu na ten uczciwy portret krnąbrnego miasta i kolorowego środowiska. Utrwaliłam też pewną formę życia, która powoli znika. Czas, kiedy „Tygodnikiem Powszechnym” zarządzał Jerzy Turowicz, a w Krakowie mieszkała dwójka laureatów literackiego Nobla.

jedyny chłód, jaki daje połączenie kamienia i drewna, gonitwy jaskółek pod głębokimi oknami i drewnianymi stropami, i nagle sta-ję przed freskami o... sir Lancelocie z Jeziora, jednym z rycerzy Okrągłego Stołu. Nie dość, że patrzę, jak się miało okazać, na zachowa-ne, i to w miejscu powstania, jedne na świe-cie freski o tej tematyce, to jeszcze znajduję się w największej i najstarszej tak dobrze za-chowanej mieszkalnej wieży rycerskiej w Eu-ropie Środkowej. A wszystko to w krainie wygasłych wulkanów. Czy Pani może sobie to wyobrazić? Bycie w środku, w tym powie-trzu, nasyconym rzeką, drewnem, kamieniem, światłem... Właśnie coś takiego, takie działa-nie sobie wyobrażam, kiedy myślę o tej rubry-ce na ostatniej stronie pisma „Kraków”.





**Agnieszka Kosińska** (ur. 1967 w Dębicy) – absolwentka filologii polskiej Uniwersytetu Jagiellońskiego (oraz podyplomowych studiów *Mediacja i inne metody alternatywnego rozwiązywania sporów* na Wydziale Prawa UJ). W latach 1996–2004 sekretarka i współpracowniczka Czesława Miłosza oraz agent literacki i opiekun praw autorskich do jego utworów w Polsce i na świecie (do 2016). Po śmierci pisarza w 2004 roku kustosz archiwum i mieszkania poety przy ul. Bogusławskiego w Krakowie (do 2016), między innymi zorganizowała tam cykl otwartych wykładów o pisarzu. Autorka informacyjnej strony internetowej o nobliście oraz, przy

współpracy Jacka Błacha i Kamila Kasperka, pierwszego całościowego bibliograficznego opracowania jego twórczości *Czesław Miłosz. Bibliografia druków zwartych* (2009). Wydała także *Rozmowy o Miłoszu* (2010) oraz *Miłosz w Krakowie* (2015).

W październiku 2017 roku wygrała konkurs na kierownika największego oddziału Muzeum Narodowego w Krakowie – Muzeum im. Emeryka Hutten-Czapskiego, w skład którego wchodzi między innymi Pawilon Józefa Czapskiego oraz Pałac Czapskich przy ul. Piłsudskiego. Kuratorka wystaw malarstwa i dzienników Józefa Czapskiego oraz malarzy jego kręgu.

uczyc ponownie czytać znaki, przez widzialne dotrzeć do niewidzialnego. A znakiem może być wszystko. Koło mojego obrzydliwego baraku Tesco w maju każdego roku zakwita nawet nie krzak, ale całe drzewo jaśminu. Zabija wszystkie okropne zapachy, które się potrafią wokół tego miejsca handlowego zgromadzić, przesłania wszystkie obrazki z targowiska próżności. To trwa tylko dwa tygodnie. Ilekroć koło Tesco przechodzę, pamiętam, że w maju będzie tam burza kwiecica i zapachu. Czy ja się powinnam na to Tesco gniewać? Że brzydota sąsiaduje z czystym pięknem?

**Jestem onieśmielona i lekko stremowana...  
Czy Panią da się onieśmielić?**

Śmiałość jest tylko drugą stroną nieśmiałości. Moją gruntowną nieśmiałość, mój strach

Można mnie widzieć przez Czesława Miłosza i Józefa Czapskiego, jeśli są oni przykładem pewnego stylu życia, „luksusownego”, jak by powiedział Czapski. Życia po swoim, który udaje mi się uprawiać: szukania sensu, nowych dróg, w inspiracji światem tu i teraz, ludźmi, ich dziełami, robić, co można, nie zniechęcać się, szukać równowagi między sercem i obowiązkiem.

przed ludźmi, przed wyruszeniem w nowe równowazy ciekawość i zawsze silne uczucie, które nie wiem, skąd się bierze u mnie, że mamy tylko tę chwilę, tylko to jedno spotkanie. To właściwie łakomstwo, łapczywość. Moje zmysły porusza tak wiele rzeczy... Jeśli człowiek odbiera zmysłowo świat, to nie ma czasu na troski, bo wszystko jest go w stanie inspirować. Pochodzę ze wsi i jestem z nią bardzo związana – nie z samą mentalnością, a z przyrodą, której potrzebuję wręcz fizycznie. W moim krakowskim mieszkaniu (półtora pokoju, jak je nazywam) nie mam firanek, nie mam zasłon, chcę, żeby zieloność za oknem jak najszybciej się do mnie dostała. Jak tylko buchnęła wieść o lockdownie, natychmiast kupiłam kilkanaście (sic!) paprotek i ustawiłam je gdzie się dało w moim mieszkanku.

Jeśli ma pani otwarte zmysły, to świat napełnia pani te zmysły. Tak, suchość serca na pewno nie jest moją specjalnością. Na pewno gorącość, a jeśli tak się ma, to więcej się cierpi, ale też więcej doznaje, a gdy się więcej doznaje, to natężenie życia emanuje z człowieka. Ludzie mogą mnie postrzegać jako śmiałą osobę... To

jest, oczywiście, nieprawda. Natura lubi się ukrywać. Komiccy są najsmutniejszymi ludźmi świata. Wracamy do starej przypowieści: „Całe życie bałem się burzy, aż pewnego dnia burza złapała mnie na środku pustyni”. Jeśli czegoś się boimy, na pewno nas to spotka. **W wywiadzie, który udzieliła Pani Donacie Subbotko dla „Książek. Magazynu do czytania”, powiedziała Pani, że znajomi określają Panią mianem psa bernardyna.**

Moi przyjaciele tak mówią: Kosa, znowu komuś pomagasz, nie masz dla nas czasu, a my byliśmy pierwsi. Zapytam: czy kiedy pani idzie ulicą, to podchodzą do pani wszyscy zebracy świata?

**Akurat tak.**

Właśnie, skąd oni to wiedzą? Ludzie wiedzą, że mogą zwrócić się z czymś do nas, bo czują jakąś cząstkę niezamkniętą, niewykorzystaną, i... mają rację. Proszący zawsze przychodzi nie w porę. Więc jeśli myślę sobie: nie teraz, tylko nie to, nie mam czasu, to zaraz pojawia się też kontrmyśl: może to nie jest przeszkoda, ale możliwość? Psa bernardyna najprościej można wyjaśnić właśnie tym wielkim przykładem Czesława Miłosza. Miała to być krótka robótka redakcyjno-administracyjna, a po nagłej i tragicznej śmierci żony Carol, Miłosz zapytał mnie, czy zajmę się wszystkim po jej śmierci. Ja wtedy, z energią psa bernardyna i z małym instynktem samozachowawczym, zgodziłam się. Przeważało poczucie obowiązku i test, jaki zawsze robię, kiedy nie wiem, jaką decyzję podjąć: czy mogłabym żyć dalej, gdybym odmówiła.

**Pani praca po śmierci CM (pozwolę sobie stosować za Panią ten zapis) nosi znamiona heroizmu. 11 lat żałoby wypełnionej potężną dokumentalną i bibliograficzną harową; tyśiące nazwisk, cytatów, dat i detali. Czy z perspektywy czasu ma Pani poczucie, że działanie to zostało docenione? Pytam zwłaszcza o krakowskie środowisko literackie, które tak skrzętnie utrzymała Pani na kartach swej książki, myślę o Miłoszu w Krakowie.**

Docenienie... Wielki temat. Dostałam Nagrodę Miasta Krakowa. Chciałam Miłosza i jego rodzinę utrwalić na bogatym tle obyczajowym, co mi się chyba udało, bo kilka osób się obraziło, a większość czytała właśnie ze względu na ten uczciwy portret krnąbrnego miasta i kolorowego środowiska (indeks liczy sobie ponad 2 tysiące nazwisk). Utrwaliłam też pewną formę życia, która powoli znika. Czas, kiedy „Tygodnikiem Powszechnym” zarządzał Jerzy Turowicz, a w Krakowie mieszkała dwójka laureatów literackiego Nobla.

Światem kultury rządzi marketing, promocja. Trzeba być obiektem marketingu na tak

wielu poziomach, żeby książka taka jak moja dotarła do tak zwanego szerokiego czytelnika. Marketing dotyka wielu sfer życia autora i zaczyna się, zanim autor napisze książkę. Czytamy, że powstało dzieło wybitne, że ten autor jest wielki. Skąd to wiemy? Bo nam powiedziano. Być może książka dziś nie może się obyć bez tej maszyny promocyjnej, ale jaki ma to związek z jej wartością? Wartością dla kogo? Czy ta książka jest dla mnie cenna? Gdybym brała pod uwagę ten reklamowy rollercoaster, nie byłabym w stanie pracować i pisać.

Wiem, że Miłosz obrósł ogromną ilością literatury, i obrośnie. Moja ambicja była skromna (wiedziałam, z czym się mierzę): chciałam dokonać takiej niewielkiej „dyslokacji głazu” (określenie piękne, ale nie moje, a Jakuba Beczka).

**Od opublikowania *Miłosza w Krakowie* minęło przeszło pięć lat. Czy rzeczywiście było to Państwa ostatnie pożegnanie?**

Tak. Wiele osób mówiło mi po wydaniu tej książki, że jestem inną osobą, że zdjęłam z siebie jakiś straszny ciężar. To prawda. Tak to czułam. *Miłosz w Krakowie* wysadził mnie z siodła (wreszcie! mogę teraz rzec): nie zajmuję się już mieszkaniem Miłosza i zarządzaniem prawami do jego utworów w Polsce i za granicą, ale oczywiście nadal o nim myślę i piszę. Chciałam też w *Miłoszu w Krakowie* zostawić wiele „tematów od odstąpienia”. Powiedzieć: tyle ja, zajmijcie się tym, proszę: CM a kobiety; dlaczego CM nie pisał dziennika: temat dobra i diabła; co z tym katolickim wychowaniem. Założyłam stronę internetową jako pierwszą pomoc w kwestii noblisty dla szkół i nauczycieli. Są tam wiadomości niezbędne i zaawansowane, zdjęcia, brzmienie werdyktu noblowskiego, spis jego książek, daty.

**„Jak widzimy, armia (najczęściej kobiet) pracowała z nim i dla niego w charakterze sekretarek, archiwistek, tłumaczek, żon, bliższych i dalszych przyjaciółek, powierniczek” – pisała Pani w *Miłoszu w Krakowie*. Jaki nadałaby Pani samej sobie stopień w tej wojskowej hierarchii?**

Przyjaciele nazywają mnie też generałem (śmiech). Między bernardynem a generałem... nieznośna osoba. Jeśli chodzi o szarżę, która mi odpowiada, to określenie, którego używał Miłosz, czyli sekretarka, bardzo lubię. Ludzie chcą to zmieniać. Mówią sekretarz. Gdyby nie niegdysiejsi „pierwsi sekretarze”, to pewnie chętniej by używano tej rangi, choć kto dziś to pamięta. Sekretarka kojarzy się z takim trochę popychadłem, meblem, to może.... asystentka? Wszystko w języku. Lubię proste słowa i lubię też, kiedy się nie zakłamuje rzeczywistości. Lubię lubić. Jestem entuzjastką z natury, mu-

szą się czymś fascynować, żeby żyć, muszę być zakochana...

**„Czasami wręczał mi kartkę i bez wstępów mówił: »Proszę czytać«. Musiałam znaleźć odpowiedni ton, podział na wersy, oddech oraz, co najtrudniejsze podczas tych kilkadziesiąt sekund głośnej lektury, wyrobić sobie uczciwe zdanie na temat utworu, wartość tej intymnej chwili”. Czy może się komuś przytrafić trudniejsza lekcja interpretacji poezji?**

Nie. To było najtrudniejsze zadanie. Czułam, że jeśli zawiodę, to opadnie zasłona. Cała ta delikatna, a naturalna materia porozumienia, wspólnoty. Coś, co jest właściwie tajemnicą, skończy się. Bycie w aurze sztuki jest dlatego

**Kraków jest mały, mieszczański, lecz z drugiej strony właśnie tu mieszkali, pracowali i rozwijali się wielcy kreatorzy i przedsiębiorcy.**

tak proste i tak trudne zarazem, bo jest właściwie zakochaniem. Tak zwane interpretowanie dzieła sztuki to po prostu próba przekazania tajemnicy przyciągania. Również w sensie dosłownym. Kiedy byłam po raz pierwszy w Prado, stanęłam w amfiladzie sal wypełnionych po brzegi obrazami, jęknęłam. Co robić? Przecież nie dam rady nic tu naprawdę zobaczyć. Postanowiłam po prostu iść przed siebie, co mnie zatrzyma, będę patrzeć. I gdy tak szłam czułam, że ktoś mnie ściąga wzrokiem, jestem krótkowidzem, muszę podejść blisko, idę więc coraz bliżej, aż stanęłam oko w oko z infantką z obrazu Velázqueza *Panny dworskie*, złapana w sieć spojrzeń z tego mrocznego obrazu. **Jak się mówi nobliście, żeby przesunął nogi, bo nie ma się miejsca na własne?**

Powiedziałam to zdanie: „Czy może się pan przesunąć?”. Pan Czesław tak szybko nie zrozumiał, o co mi chodzi, musiałam powiedzieć głośniej: „Nie mam tu miejsca na to pisanie!”. W gruncie rzeczy naprawdę tak jest, że człowiek rozmawia z drugim człowiekiem ponad szarżami, ponad wiekiem, funkcjami, medalami, rozmawia sobą. Ja w to wierzę, bo mi się to w życiu zawsze sprawdza. Miał to w wymiarze absolutnym Józef Czapski, ta jego legendarna popularność, to, że tyle osób go kochało, szanowało, chciało się z nim kontaktować, powierzało mu swoje sekrety, był emisariuszem, kwestorem, angażował się w bardzo trudne sprawy i udawało mu się to właśnie dlatego, że miał tę naturę hermesową: zycz-



liwy dla ludzi i spraw. Nie bał się ludzi, kojarzenia ich, patrzenia na człowieka. Taki sam jest jego sposób mówienia, pisania, malowania, rysowania – niesamowicie naturalny, ze swobodą tajemną. Gdyby tu siedział z nami, to pewnością by panią rysował, to był jego sposób komunikacji ze światem i ze sobą. Do każdego znalazł drogę, a więc i każdy do niego znalazł drogę. Krystyna Zachwatowicz-Wajda, której zawdzięczamy jego muzeum biograficzne, czyli Pawilon Czapskiego, mówi o nim bezpretensjonalnie: był aniołem.

**Pani życie zawodowe w dużej mierze zostało zawłaszczone przez dwóch wybitnych twórców, najpierw przez Czesława Miłosza, później Józefa Czapskiego – czy to naiwne uproszczenie?**

Można mnie widzieć przez Miłosza i Czapskiego, jeśli zgodzimy się, że są oni przykładem pewnego stylu życia, „luksusowego”, jak by powiedział Czapski, życia po swojemu, który udaje mi się uprawiać: szukania sensu, nowych dróg („By iść tam dokąd nie wiesz, idź drogą, której nie znasz” – mówi jeden ze złotych gwoździ Czapskiego, cytata z św. Jana od Krzyża), w inspiracji światem tu i teraz, ludźmi, ich dziełami, robić, co można, nie zniechęcać się, nie poddawać, szukać równowagi między sercem i obowiązkiem. Jaki sens ma życie, w które wkładamy wyłącznie gorę? Jeśli życie, to tylko z radością.

**W jaki sposób ta obecność lub wręcz przeciwnie – nieobecność Mistrza, chyba wolno mi użyć tego słowa? – wpływa na Panią jako na badaczkę jego twórczości?**

Artysta, kiedy chcemy go badać, przeszkadza. I tu Goethe się mylił – stwierdza badacz. W tym była największa trudność, żeby, będąc tak blisko, pisać o Miłoszu obiektywnie. Żeby być w zgodzie ze swoją naturą i napisać książkę tak emocjonalną w sposób tak marmurowy, właściwie prawie obiektywny. Z tak wielu ingrediencji składa się warsztat artysty i warsztat jego badacza również musi być rozległy. Pisałam ostatnio artykuł o warsztacie twórczym Czapskiego, który dostarczył mi wiele rozkoszy: *Przeżycie, oko, ręka*. Sam Czapski dokonał takiego świetnego skrótów, myśląc o swojej twórczości. Dzięki Miłoszowi, dzięki mojemu ojcu, malarzowi, jestem bliżej Czapskiego.

**Właśnie, bez Pani Ojca nie byłoby w Pani życiu ani Miłosza, ani Czapskiego?**

Rodzina twierdzi, że mam jego charakter, pogodę ducha i skłonność do hedonizmu. Ale myślę, że zawdzięczam mu przede wszystkim patrzenie na świat jak na warsztat. Kiedy cały świat jest warsztatem... Zmarł przedwcześnie 21 lat temu. Był malarzem (akwarela, ukocha-

na technika), rzeźbiarzem, autorem wycinanek, zapalonym ogrodnikiem i projektantem ogrodów, stolarzem. Właściwie wszystko potrafił zrobić. Może nie interesowało go naprawianie urządzeń domowych, ale artystyczne działanie – każde. No i kto mieszkał w mieszkaniu, w którym było ponad 200 kwiatów różnych gatunków? I miał nowalijki już w marcu? Z bratem Pawłem dostaliśmy do zabawy najprawdziwszy domek z drewna z antresolą, zbudowany przez tatę w ogrodzie. O tacie jest wiele na mojej stronie autorskiej.

**W czym wieś Zawada na Podkarpaciu jest lepsza od Krakowa? „Ja tu tylko mieszkam” – to Pani słowa.**

Tak, ale mieszkam w Krakowie coraz dłużej (śmiech). Myślę, że chodzi o moje przywiązanie do ziemi, o tęsknotę do przestrzeni. Kraków jest jednak mały, mieszczański, z drugiej strony właśnie tu mieszkali, pracowali i rozwijali się kreatorzy i przedsiębiorcy, tu sprowadził swoją cenną kolekcję numizmatów wybitny kolekcjoner, dziadek Józefa Czapskiego, Emeryk Hutten-Czapski. Tutaj, przy Piłsudskiego 21, mieszkała Olga Boznańska, która nie bała się żyć i tworzyć po swojemu. Z Rzeszowa (okolic mojej Mamy) przyjechał do Krakowa Józef Sperling, projektant mebli i deweloper (pięknie wydana o nim książkę autorstwa Katarzyny Łomnickiej i Zofii Weiss właśnie czytam). Niedaleko Pawilonu Czapskiego, pod dębem, znajduje się, teraz już rudera, Puszetówka, pracownia rzeźbiarza Ludwika Pugeta i jego syna Jacka. Była to energiczna miejscówka, jakbyśmy dziś powiedzieli, a także schronienie dla krakowskich chudych artystów. W Krakowie działa moja ukochana Capella Cracoviensis. Uwielbiam sposób, w jaki łączy ona wszystkie sfery zmysłów, by walczyć z ogólnym zramoleniem, hałasem, populizmem, brakiem smaku, krytycznego myślenia, poczucia humoru i tym podobne. Od wielu lat piszę książkę-odtrutkę, zatytułowałam ją *Synekdocha Kraków* (tytuł wzięty z jednego z moich ulubionych filmów *Synekdocha Nowy Jork*), bo jest o Polsce, widzianej z Krakowa. Ostatnio wyrzuciłam sto stron. Żale do pieca, tylko ruch oporu. Tak, już czas zacząć to powtarzać: sztuka ma największy potencjał wywrotowy, bo jest bezinteresowna.



**Sylwia Pyzik** – dziennikarka i filolożka, absolwentka Uniwersytetu Jagiellońskiego. Chętniej słucha, niż mówi – pisanie uznaje za naturalny kompromis.

# Oto

# jest

## M. Šašek

**Miroslav Šašek (1916–1980)**

Czeski ilustrator, malarz,  
autor książek dla dzieci i architekt.

Międzynarodową sławę przyniosła  
mu tworzona od końca lat 50. seria  
albumów o miastach i państwach świata,  
zapoczątkowana książką „Oto jest Paryż”.

Dwa kolejne tomy – „Oto jest Londyn”  
i „Oto jest Nowy Jork” – zdobyły  
przyznawany przez „New York Times”  
tytuł Najlepszej Książki Ilustrowanej Roku  
(w latach 1959 i 1960). Po roku 2000 książki  
Šaška zostały odkryte na nowo. Na stałe  
weszły do światowego kanonu ilustracji  
książkowej, a ich wznowienia zachwycają  
czytelników na całym świecie. W Polsce  
nakładem Wydawnictwa Dwie Siostry  
ukazało się dotychczas sześć tomów serii  
„Oto jest...” – o Paryżu, Londynie, Nowym  
Jorku, Rzymie, Wenecji i Monachium.

© for text and illustrations by Miroslav Šašek Foundation



**Cofnijmy  
się  
w czasie  
o 60 lat  
i wyruszmy  
w podróż  
z Miroslavem  
Šaškem.**



**dwie  
siostry**



**BIBLIOTEKA KRAKÓW • INSTYTUCJA KULTURY MIASTA KRAKOWA**

 **Kraków**

 **Biblioteka  
Kraków**

 CZESKIE CENTRUM  
ČESKÉ CENTRUM



Ambasada Republiki Czeskiej

[wydawnictwodwiesiostry.pl](http://wydawnictwodwiesiostry.pl)

# Profesor arcykrakowski

Tekst: Anna Grochowska Zdjęcie: Grzegorz Kozakiewicz

**Już jako nowohucka licealistka byłam zachwycona Jego książkami. Nie wiedziałam, jak Profesor wygląda, ale gdy na pierwszym roku zobaczyłam Go przed Gołębnikiem, pomyślałam: „To jest On!”. I rzeczywiście.**

Gdy poszłam na studia magisterskie, już jako ta „od Krupniczej i Bronia Maja”, ogłoszono Jego ostatnie seminarium przed odejściem na emeryturę, zatytułowane *Pokolenie Stanisława Wyspiańskiego*. To było przeznaczenie! Na pierwszym spotkaniu odpowiadałam na Jego krakowskie zagadki. Spojrzał na moje ramię z wytatuowaną sygnaturą autora *Wesela* i powiedział: „Pani nie muszę do niczego przekonywać”. Na drugie spotkanie przyniósł wybrany dla mnie temat pracy magisterskiej. To było to, co w duszy gra i co w swych widziałam snach! W ostatnich miesiącach studiów zapytał: „Gdzie jest

Był arcykrakowski, arcyuniwersytecki, ponadprzeciętnie pracowity, uzdolniony, sprawczy, szlachetny, prawy, pogodny, pełen mocy, poczucia humoru, naprawdę kochał to, co robił, całym sercem. Miał w sobie ogień i blask, przy którym wielu się ogrzewało

praca? Pani przy mnie zostaje. Nie przyjmuję sprzeciwu”. Ze szczęścia rozchorowałam się na miesiąc i byłam całkowicie nieprzytomna. To był szok: „Profesor zaprosił mnie na doktorat!”

On przeszedł wtedy od razu, jak mawiał, „na stypendium ZUS-u”. Powtarzał, że będę Jego ostatnią doktorantką i że mnie wybrał, by moim doktora-tem zamknąć karierę dydaktyczną. Oddał mi temat swojej przyszłej książki. Był to najbardziej przerażający zaszczyt w moim życiu. Chciałabym, by było inaczej, ale ja się tego autentycznie bałam i ten lęk był największą blokadą w pisaniu.

Profesor nie był typem czytającym fragmenty. Jemu się oddawało całą książkę. Miałam całkowitą wolność i absolutne wsparcie. Był niesłychanie zajęty sprawami wielkiej wagi, a mimo to miał czas, żeby wesprzeć moje konferencyjki i festiwaliki doktoranckie. Gdy w 2015 roku przysłałam na Wydział zanieść dwie świeżo wydane książki pod swoją współredakcją, natknęłam się na Niego w korytarzu Gołębnika. Wręczyłam Mu je, a On, bardzo ze mnie dumny, pochylił się i pocałował mnie w dłoń, gratulując. Do umycia dłoni zmusił mnie dopiero koronawirus.

Dzięki Niemu widziałam Kraków od środka. Obserwowałam, jak walczy o krakowskie zabytki, jak jest integralny z przepastnymi przestrzeniami Jagiellonki, jak wydaje kolejne książki, jak odkrywa, że Kochanowski była kobietą, jak tworzy Panteon w kościele śś. Piotra i Pawła, a mówią Mu, że robi to dla siebie. On zawsze protestował, tłumacząc, że ma wy-

brany grób na Salwatorze i że jak trąby anielskie zadzwonią na Zmartwychwstanie, to on, jak wstanie, będzie miał ładny widok. Własną śmierć oswajał od dawna, przynajmniej od czasu śmierci poprzedzającej dramatyczną walką z chorobą ukochanej żony (a może i wcześniej). W okolicach siedemdziesiątki mówił, że będzie żył 100 lat + VAT, a że VAT podnosi, to tym lepiej dla Niego. Potrzebne Mu to było do wykonania planu tutaj, do napisania kolejnych książek. Jak widać, zdążył z tym wcześniej, bo – jak wspominałam – był ponadprzeciętnie oddany pracy.

W tym czasie ocalił mi jeszcze życie. Byłam bardzo chora i powiedziałam, że boję się, że nie zdążę oddać doktoratu, że mam wyrok. Pamiętam, jak zapytał wprost: czy chcę jeszcze żyć? Przeświecił mnie. Nie chciałam. Podzielił się mną swoją historią. Wysłałam odmieniona. Myślę, że wiele istnień tak ocalił.

Parę lat później, walcząc o swoje życie i zdrowie, jednocześnie doprowadził mój przewód do końca. Na samą myśl o Jego cierpieniu pęka mi serce. To był wielki prezent, najbardziej wzruszający i wyciskający łzy, też teraz, gdy to piszę.

Obroniłam się w maju 2019 roku, dwa dni później Profesor miał promocję swoich dwóch opasłych książek, które ukazały się drukiem, kiedy On był tak bardzo chory. Pracował do ostatnich dni życia.

\*

Profesor Franciszek Ziejka. Rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego i Jego profesor honorowy, przewodniczący SKOZK, wybitny cracovianista, historyk literatury polskiej XIX i XX wieku, jej propagator za granicą. Nie sposób wyliczyć Jego zasług dla polskiej kultury, podobnie jak nie sposób policzyć Jego publikacji *ad hoc* (jest ich około tysiąca!), a nawet odznaczeń. Był arcykrakowski, arcyuniwersytecki, ponadprzeciętnie pracowity, uzdolniony, sprawczy, szlachetny, prawy, pogodny, pełen mocy, poczucia humoru, naprawdę kochał to, co robił, całym sercem. Miał w sobie ogień i blask, przy którym wielu się ogrzewało, w tym ja.

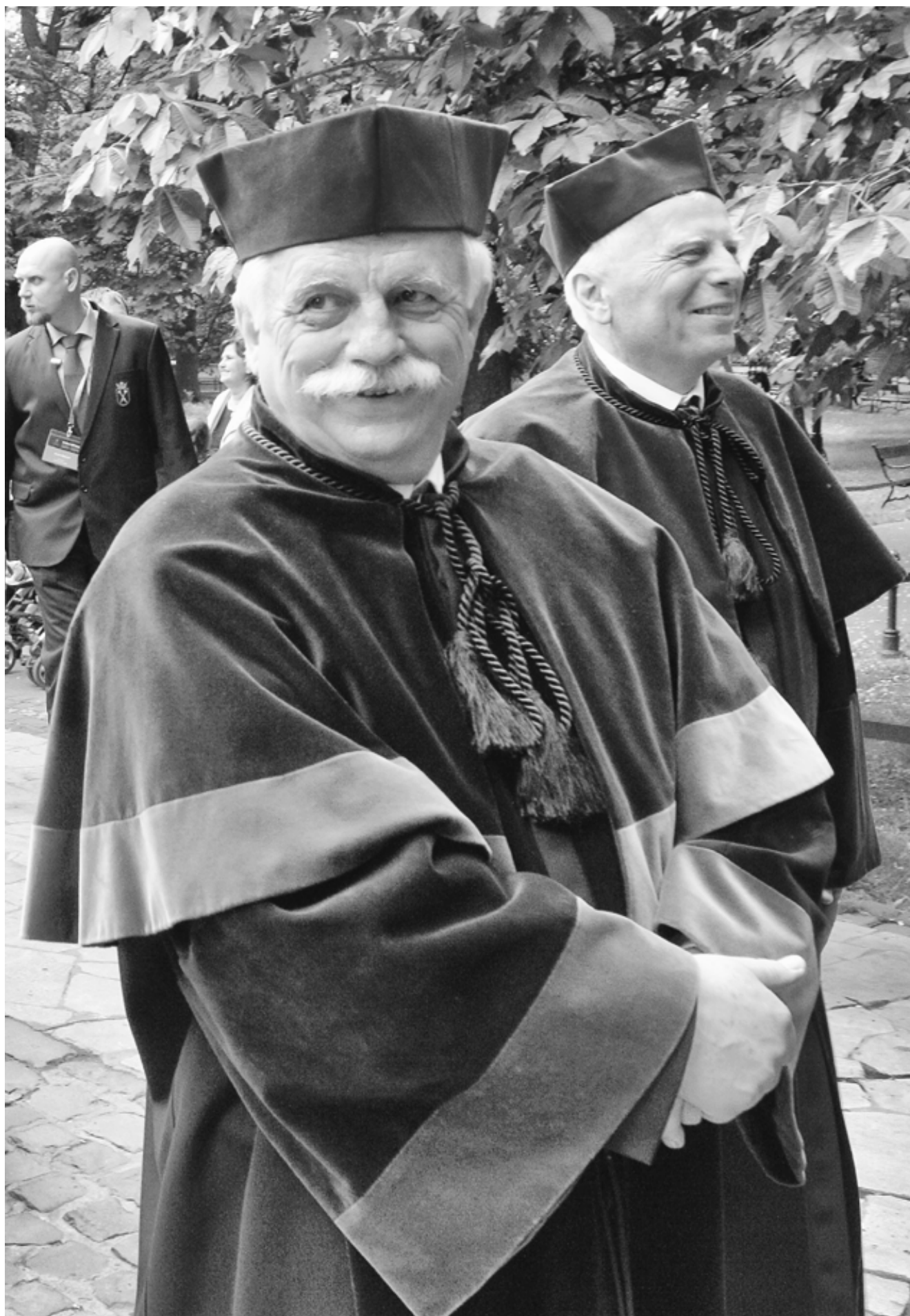
Był dla mnie jak Ojciec. To była jedyna Osoba w moim życiu, która mówiła do mnie „dziecko” z czułością.

Profesorze, dziękuję za to piękne, czternastoletnie spotkanie!



**Anna Grochowska** – nowohucianka urodzona w Szpitalu im. Stefana Żeromskiego, badaczka życia literackiego Krakowa i Nowej Huty, autorka m.in. książki o Domu Literatów *Wszystkie drogi prowadzą na Krupniczą*, zapewne nie bez powodu została doktorantką Katedry Historii Literatury Pozytywizmu i Młodej Polski Wydziału Polonistyki UJ.





Na pierwszym planie prof. Franciszek Ziejka (1940–2020)





# Podróże, buty i książki. Olga Tokarczuk 15 lat później

Tekst: Jakub Wydrzyński Zdjęcie: Danuta Węgiel

Fotografie Danuty Węgiel kryją w sobie historie. Tak jest i w przypadku sesji odbytej z Olgą Tokarczuk w 2005 roku w Krakowie. Z perspektywy lat widać, jak portrety tworzą ślady obecności. Przechowują w sobie przeszłość oraz zapowiedź jutra niczym przystanki w czyjejs podróży. Czternaście westchnień jesieni później pisarka odbierze telefon ze Sztokholmu, który zmieni historię polskiej literatury. Na zdjęciu z początku wieku spogląda w dal, jeszcze nie wiedząc, dokąd poprowadzą ją kolejne opowieści.

Była słoneczna jesień, koniec października, a wrocławska pisarka szykowała kolejną książkę dla Wydawnictwa Literackiego. Danuta i Olga w poszukiwaniu planu do zdjęć przemierzyły upstrzone złotym listowiem Planty i trotuary Starego Miasta. Danuta tak opisuje tamten dzień: – Cieszyłam się, że będziemy znów współpracować, bo znałyśmy się wcześniej. Bardzo lubię czytać jej książki. Przebywać z Olgą to przyjemność w wymiarze zawodowym i prywatnym. Poznałam ją jako osobę dialogiczną, ciekawą rozmówcy, wnoszącą siebie do spotkania. To cechy, które sprzyjają pracy artysty z pisarzem. Pozwalają nawiązać więź, dzięki której uwiecznia się coś wyjątkowego dla medium, jakim jest fotografia. Wykonałyśmy wówczas wiele portretów, lecz ten szczególnie przykuwa uwagę widzów. Może pewną swobodą i tajemnicą.

A sama noblistka wracając do wspomnień, dodaje: – Na tym zdjęciu patrzę z zadumą w przyszłość, ale wygląda na to, że nic nie widzę – stąd ten zadumany wyraz twarzy. Zdjęcie zostało zrobione w dość trudnym dla mnie czasie – byłam na rozdrożu, prywatnie i zawodowo. Właśnie napisałam *Annę In* w *grobowcach świata* i już chodzą mi po głowie *Bieguni*. Mam czterdzieści kilka lat, wtedy wydaje mi się, że to dużo. Patrząc na siebie teraz, czuję się zdumiona, jak mało wiemy o sobie i jakim strasznym więzieniem jest to, że nie znamy przyszłości. Butów, które mam na tym zdjęciu, używam do dziś.

Niebagatelne obuwie, dredy, stylizowane suknie i biżuteria w ciągu lat będą znaczyły przełomowe momenty w życiu autorki *Prawieku...* Powieść konstelacyjna *Bieguni* w roku 2008 przyniesie jej Nagrodę Literacką Nike, a jej tłumaczenie na angielski (*Flights*) dekadę później zapewni rozgłos dzięki Man Booker International Prize. Odbierając nagrodę, pisarka będzie miała na sobie prawie stuletnie buty, jakie nosiły kobiety przed I wojną światową, oraz kolczyki kupione w Londynie w roku 1987.

Rok 2009 rozpocznie sześć lat pracy nad powieścią historyczną, wyprawy na dawne kresy wschodnie i studia nad dziejami chasydyzmu. Zanim ukończy ten projekt, swoją ekologiczną wrażliwość wyrazi w thrillerze *Prowadź swój pług przez kości umarłych* (2009) oraz eseju *Moment niedźwiedzia* (2012). *Prowadź...* zostanie zekranizowana przez

Niebagatelne obuwie, rozmiar 36, a czasami też dredy, stylizowane suknie i biżuteria będą w ciągu lat znaczyły przełomowe momenty w życiu autorki *Prawieku i Biegunów*.

Agnieszka Holland jako *Pokot* (2017) i zaprezentowana na festiwalu Berlinale.

Rok 2015 przyniesie dzieło uznane jak dotąd za *opus magnum* Tokarczuk – *Księgi Jakubowe*. Dostanie za nie drugą Nike oraz ostre cięgi od polskiej prawicy, która prawdopodobnie nie sprostą lekturze 900 stronic poświęconych żydowskiemu mistycyzmowi i ruchowi Jakuba Franka. Książka będąca rewersem *Trylogii* Sienkiewicza, narracją o przedrozbiorowej Polsce – multietnicznej, wielowyznaniowej i wielojęzycznej, przepracuje przeszłość w sposób do tej pory nieprezentowany w rodzimej literaturze. Wielu kulturowych purystów nie podoła temu czytelniczemu wyzwaniu. Przed telefonem od Akademii pisarka zdąży jeszcze powrócić do współczesności oraz małej prozy w tomie *Opowiadania bizardne* (2018).

Nobel prawie wyrzuci życie do góry nogami, ale przyczyni się do inicjatyw twórczych. Powołana zostanie Fundacja Olgi Tokarczuk z siedzibą we Wrocławiu. Autorka szukać będzie wyciszenia i powrotu do pisania, lecz w roku zarazy złodzieje okradną jej dom. Pokrzepienie przyniesie literatura. Mimo pandemii latem uda się zorganizować szóstą edycję Festiwalu Góry Literatury, zaś idea „czułego narratora”, zaprezentowana w wykładzie noblowskim, zostanie uznana artystycznym osiągnięciem roku 2019 przez ekspertów platformy Emerging Europe.

Taką oto drogę przemierzyły buty Olgi Tokarczuk od czasu pamiętnej sesji z Danutą Węgiel. Jak dowodzi fotografia, czasami pisarstwo to podróż kobiety księgi w glanach rozmiar 36.



Jakub Wydrzyński – człowiek wielu zawodów i pasji, kulturoznawca, wieczny doktorant, naturalizowany krakowianin, właściciel psa kawiarnianego Stolika.



# Górnik rapuje za wolnością

Tekst: Witold Beres    Zdjęcie: archiwum artysty

**Dominik Kearney – w którego żyłach płynie irlandzka krew, tworzy rap będący głosem za wolnością i w obronie słabszych – a przeciwko chamstwu i łajdactwu.**

Czterdziestoletni artysta jest rzeczywiście niezwykłym przypadkiem: mieszka i pracuje w miedziowym Zagłębiu (dokładniej w małym Przemkowie), na samym przodku pod ziemią prowadzi wielki kombajn wgrzający się w pokłady rudy miedzi. Ale w wolnych chwilach rapuje. Choć pozornie jego rap jest bardzo polityczny i antypisowski, to tak naprawdę Kearney (to irlandzkie nazwisko po dziadku jeszcze, który przybył z Eire na Dolny Śląsk) nie rapuje przeciwko ludziom – on rapuje przeciwko złym ideom.

Na szczęście nie jest to ten rap, który mi się kojarzy z polską produkcją – agresywny, białołopolacki, szowinistyczny.

(Na marginesie: amerykański rap czarnych, prawdziwy rap, w jakimś sensie jest głosem zbuntowanych i silnych, ale jednak krzywdzonych mniejszości społecznych. Dlaczego polski jest zaprzeczeniem tego, czemu idzie na łatwiznę? Nie mam pojęcia...).

Dominik, a raczej DOMINIKzZDS, już w zeszłym roku wybił się klipem *My wolni ludzie* (muz. Luke), w którym pojawiają się jako pozytywne twarze Eliza Michalik, Renata Kim, Władysław Frasyniuk, Zbigniew Hołdys, Piotr Schramm, Krzysztof Skiba i Adam Bodnar.

My z miasta ze wsi nie gorsi nie lepsi  
ludzi się nie dzieli na gorszych i lepszych,  
zewnątrz tacy sami a wewnątrz inni  
my z zarzutami winni, nie winni.  
Ci, którzy są z nami i naprzeciw nas  
my przegrani skreśleni natychmiast,  
walczący z systemem, z którym nie wygrasz  
nie warto kopać się z koniem, bo wygra.  
To my pracujący z mega podatkami.  
To my emeryci z miniwpływami.  
To my i konta, nasz podpis i kontrakt,  
kontakt z zerem na kontach.  
To my hetero, bi no i homo,  
kim kto się urodzi, nigdy nie wiadomo.  
To ci, którzy dzielą, łącząc rzekomo  
To my chcący łączyć, dzieląc się sobą.  
To my karmieni manipulacjami,  
to ci, co fejkują informacjami  
ci mający spokój, ci niespokojni,  
ci z lokum, tamci bezdomni.  
Dość dyktowania tego, jak mam żyć  
jak mam się modlić, do czego dążyć.  
Codziennie na kacu przez was się budzę,  
chora władzo – to my wolni ludzie.

Tamten utwór błyskawicznie zdobył popularność (i pół miliona odsłon.) A są jeszcze równie zaangażowane: *Patrioci*, *Dobra zmiana* czy *Pamiętam*. Szczególnie ten pierwszy ma znakomity tekst, mówiąc o czymś, co nam obrzydzono, a do czego warto jakoś spróbować wrócić i odebrać sfaszyczowanym idiotom („... Nie mam ślubu kościelnego, pomimo tego patriotą jestem na całego”). W czasie wybuchu pandemii koronawirusa promował nowy kawałek z przesłaniem: „To władza jest wirusem, Nie daj się nabrać na Polskę z plusem”

I do tego w klipach ma zawsze znakomite zdjęcia.

W ostatnim czasie wszystko potoczyło się jak kula śnieżna. Ale *My wolni ludzie* nie jest pierwszym utworem Dominika. Nie pierwszy raz porusza temat polityki. Od sierpnia 2018 roku nagrał siedem klipów, w których krytykuje rządzących między innymi za „dobrą zmianę”. Dlaczego? „Mam liberalne poglądy, w tym, o czym śpiewam, jestem szczery. Nie przeklinam, nie obrażam. Moje teksty to argumenty przeciwko władzy. Jeżeli coś mi się nie podoba, to o tym rapuję” – mówi Dominik w jednym z wywiadów.

Ale jest nie tylko o polityce, to niejedyny temat. Jest też o choćby *Golf trójka* o drodze do pracy czy *Górnik*, w którym opisuje pracę pod ziemią.

Tego nie da się opowiedzieć – tylko trzeba posłuchać.

Wystarczy wejść na kanał Dominika na Facebooku lub innych mediach internetowych.

Słuchajcie. Naprawdę warto.



**Witold Beres** – producent filmowy, scena-rzysta, publicysta, pisarz. Redaktor naczelny miesięcznika „Kra-ków”.





## Służba muzyce

Tekst: Anna Woźniakowska Zdjęcie: Maria Wiktoria Hübner

**Zwierała się matce: „Dlatego, że pracuję SAMA, a nie w biurze, dzień w dzień z ludźmi – jestem skazana na całe życie – na SAMOŚĆ – i często na tak strasznie o b n a ż o n ą SAMOTNOŚĆ – gdy stoję na estradzie... Tak to kocham... Wiesz? Tak to kocham!!!”.**

Trudno pisać biografie sławnych ludzi za ich życia, nie sposób nie ulec swoistej cenzurze lub autocenzurze wygładzającej ostrości i rozjaśniającej cienie, jakie niesie życie. A jednak Katarzynie Marczałce udało się uniknąć tych raf. Klarncistka, teoretyczka muzyki, dziennikarka jest autorką wydanej przez Universitas biografii Kai Danczowskiej, skrzypaczki o światowej sławie, laureatki najważniejszych konkursów muzycznych, krakowianki przemierzającej od lat trasy pomiędzy ulicami Czystą, przy której mieszka, Basztową, przy której poznawała świat muzyki i po raz pierwszy stanęła na estradzie, Starowiślną i św. Tomasza – to adresy Akademii Muzycznej, w której od lat naucza (jest jej doktorem *honoris causa*) oraz Zwierzyniecką, na rogu której mieści się Filharmonia zawsze pełna, gdy w niej koncertuje.

Towarzyszę Kai Danczowskiej niemal od jej debiutu, ale dopiero po przeczytaniu jej biografii powiedzieć mogę, że ją znam. Jak mało kto strzegła bowiem zawsze swej prywatności, więc w mojej z nią znajomości więcej było domysłów niż wiedzy. Tymczasem Katarzyna Marczałka, której *Kaja* jest pierwszą tego rodzaju pracą, potrafiła swą bohaterkę otworzyć. Ta książka jest do bólu szczerą, nie ma w niej jednak ekshibicjonizmu. Opowieść o ciężkiej

codzienności, o tytanicznej pracy, o dramatach i sukcesach, o wzlotach i katastrofach, którymi można obdzielić co najmniej tuzin osób, ściska chwilami za gardło. Wręcz nie chce się wierzyć, że to tylko jedno życie. Ale wszystko dokumentują obficie cytowane recenzje i listy. Kaja Danczowska należy bowiem do pokolenia ludzi „piszących”, a wspomniana na wstępie samotność (z listu do matki) przez lata leczona była właśnie korespondencją zawierającą to, czego na co dzień nie dało się powiedzieć.

Ta biografia jest też zbiorem świetnie nakreślonych portretów wybitnych muzyków, z którymi stykała się Danczowska. Udanie wprowadza czytelników w trudny świat, w którym za tak zwanym sukcesem stoi praca, praca, praca... „To jest pewien rodzaj służby, i to nawet nie wiem, czy służby muzyce, czy nie jakiemuś słuchaczowi absolutnemu, którym jest Pan Bóg, i który dopiero może ostatecznie ocenić to, co my tutaj robimy” – mówi współpracujący przez lata z bohaterką książki Waldemar Malicki. Kaja Danczowska tej służbie była i jest oddana bez reszty.

Katarzyna Marczałka, *Kaja. Biografia Kai Danczowskiej*, Universitas, Kraków 2020.



# Włosi w Krakowie

Tekst: Ewa Danowska

**W dawnych wiekach w Krakowie osiedlali się nie tylko Polacy z różnych stron kraju, ale i ludzie z zagranicy, jako że miasto było włączone w sieć gospodarczą, kulturalną i naukową Europy. Pod Wawelem szybko można było dojść do możliwości, a dwór królewski dostarczał pracy zgodnej z aspiracjami przybyszy.**

Niemal od chwili lokacji miasta z misjami dyplomatycznymi, a także w sprawach handlowych pod Wawel zaczęli przyjeżdżać Włosi. Spośród obcokrajowców przybywający i osiedlających się w Krakowie to oni wycisnęli najmocniejsze piętno. Widać je w architekturze zamku wawelskiego i licznych kościołów, attyce Sukiennic, arkadowych dziedzińcach wielu kamienic i mnogości włoskich nagrobków w kościołach.

Szczególnie w XVI wieku dał się zauważyć napływ włoskich uczonych, artystów i budowniczych – głównie z Mediolanu i Florencji. Wynikało to z zainteresowania nad Wisłą kulturą doby Renesansu. Nie bez znaczenia było też małżeństwo króla Zygmunta I Starego z Boną Sforzą, wraz z którą licznie przybyli dworzanie. Zajęli wyższe urzędy dworskie, byli medykami, kaznodziejami, rzemieślnikami, pokojowcami i kucharzami. Przybyły też dwórki, które chętnie wychodziły za mąż za polskich panów. Życie na Wawelu toczyło się na modłę renesansowych Włoch.

Czy to prawda, że królowa Bona nauczyła Polaków jeść włoszczyznę? Wszak z rachunków dworu królewskiego wynika, że już za czasów Władysława Jagiełły sałatę, kalafior i kapustę znano i spożywano. Faktem jednak jest, że Bona z zażenowaniem patrzyła na polski sposób ucztowania, sprowadzający się często do nieposkromionego obżarstwa i opilstwa. Przywiązywała wagę do wykwintnej kuchni, co w zamkowych kręgach stanowiło małą rewolucję. Polacy żartowali sobie z „Włoszków, co cienko jadają”, a Jan Kochanowski i Mikołaj Rej krytykowali italskie przysmaki.

Włosi przybywali z Wenecji, Toskanii, Lombardii i Emilii, wchodząc w szeregi krakowskiego mieszczaństwa. Z północnych Włoch w poszukiwaniu pracy przybywali zwłaszcza murarze i kamieniarze – tu żyli, a umierając, pozostawiali dzieciom swe warsztaty.

Za przykładem dworu zarówno wielcy panowie, jak i bogaci mieszczanie zamawiali renesansowe nagrobki w stylu włoskim, kupowali obrazy i włoskie stroje oraz włoskie wina i przysmaki. Włoski słyhać było nie tylko na Wawelu, ale i w mieście, a do dziś zachowało się wiele pisanych w tym języku testamentów, listów i ksiąg handlowych.

Według obliczeń prof. Zdzisława Nogi na początku XVI wieku w Krakowie mieszkało około 900 Włochów, z których prawie 40 procent było związanych z królewskim dworem, a reszta uprawiała rzemiosła artystyczne, związana była z uniwersytetem, czy zajmowała się działalnością handlową. Natomiast w XVII wieku w Krakowie żyła zdecydowanie największa grupa Włochów osiadłych w Polsce. Właśnie wtedy zaznaczyli swoją obecność w krakowskiej radzie miejskiej – co szósty rajca był Włochem w pierwszym pokoleniu, pochodzącym z Wenecji, Lukki, Florencji czy innych miast.

Wywodzący się z Włoch styl artystyczny odbił się nie tylko w kręgach sztuki dworskiej

**Spośród obcokrajowców przybywający i osiedlających się w Krakowie, najmocniejsze piętno wycisnęli Włosi. Widać je w architekturze zamku wawelskiego i licznych kościołów, attyce Sukiennic, arkadowych dziedzińcach wielu kamienic i mnogości włoskich nagrobków w kościołach.**

czy kościelnej. Znalazł wyraz w wyglądzie samego miasta, a nie bez znaczenia był mieszczanski mecenat. W drugiej połowie XVI wieku przebudowane zostały Sukiennice – Jan Maria Padovano zaprojektował piękną attykę i boczne loggie ze schodami, a Fiorentino Santi Gucci był autorem maszkaronów.

Pod koniec XV wieku słynny był w Krakowie Filip Kallimach (a właściwie Filippo Buonaccorsi) – włoski humanista, poeta i prozaik rodem z Toskanii. Był sekretarzem króla Kazimierza Jagiellończyka, potem doradcą Jana Olbrachta, wykładał również na Akademii Krakowskiej. Pochowany został w kościele Dominikanów.

Nagły napływ w XVI wieku Włochów do Krakowa i powierzenie im często intratnych czy zaszczytnych stanowisk nie spotkało się z przychylnością Polaków. Czasem dochodziło nawet do bójek, jako że i Włosi odznaczałi się zapalczywością. Polacy uważali, że każdy



Monogrammist PF, *Bona Sforza* (około 1557), olej na płótnie, 210,5 x 111 cm, Kolekcja Zamku Królewskiego w Warszawie

Włoch to zabijaka, a mordują się także między sobą. Przykładem słynny Barolommeo (Bartłomiej) Berrecci, który zginął od noża zazdrosnego konkurenta – również Włocha.

Wspomniany Berecci, rodem z Florencji zasługuje na więcej uwagi. Był bowiem znakomitym architektem i rzeźbiarzem, działającym na dworze Zygmunta Starego. Jego najważniejszym dziełem jest Kaplica Zygmuntowska w katedrze wawelskiej. Ponadto wykonał kilka pomników nagrobnych, rozbudował pałac w Niepołomicach i prawdopodobnie wystawił Willę Decjusza na Woli Justowskiej. Dorobił się znacznego majątku, był właścicielem sześciu krakowskich kamienic, dwóch kramów sukiennych i cegielni. Osiadł na Kazimierzu, gdzie pełnił funkcję ławnika i dwukrotnie żenił się z mieszczkańskimi córkami. Zgodnie z prośbą został pochowany w podziemiach kościoła Bożego Ciała.

Do znacznej zamożności doszli królewscy bankierzy Bernard i Karol Solderini. W drugiej połowie XVI wieku znane były w Krakowie rodziny złotników de Serinis oraz Cezarich, właścicieli drukarni i literatów. Zasłynął również Hieronim Canavesi z Mediolanu, jeden z najwybitniejszych rzeźbiarzy i kamieniarzy, trudniący się również kupiectwem.

Jeszcze pod koniec XVII wieku Rynek można było nazwać na wpół włoskim, bowiem właścicielami znaczących kamienic były rodziny Amadei, Alantse, Cortini, Delpace, Fiorintini, Facchinetti, Gianotti, Lupi, Mariani, Priami, Pestalozzi czy Soldadini. Trudniły się one handlem, często na wielką skalę. Do wielkich domów kupieckich zaliczali się też Celarowie (rodem z Padwy), a osiągnęli w mieście znaczenie pozwalające na wystaranie się o wystawienie rodzinnego grobowca w kościele Mariackim. Rozległą sferą interesów zajmowała się rodzina Montelupich wywodząca się z toskańskiej szlachty.

Protoplasta rodu, Sebastian, założył dom handlowy i bankowy. Począwszy od 1569 roku, kolejni członkowie rodziny obejmowali zarząd poczty, która była odprawiana spod ich kamienicy przy Rynku Głównym (obecnie pod numerem 7).

Włosi szybko wrastali w polskie środowisko, chociaż mieli własne bractwo przy kościele Franciszkanów. W większości trzymali się wiary katolickiej, nie zapominając w swych testamentach o obdarowaniu krakowskich kościołów, klasztorów i szpitali.

Ze swoją ojczyzną utrzymywali jednak kontakt, a niejednokrotnie sprowadzali stamtąd także dalsze rodziny. Zamiana słonecznej Italii na Polskę nie przychodziła im jednak z łatwością. Nie byli przyzwyczajeni zwłaszcza do srogich zim. Przybyszom brakowało lekkich win, a piwa czy miody uważali za nędzne i niesmaczne. Z czasem jednak, gdy mieli szansę nad Wisłą zdobyć znaczniejszy majątek, nawiązywali osobiste stosunki i kontakty z Polakami, a zarzuty co do klimatu topniały.

Kraków zaś stopniowo zaczął przybierać „włoską szatę”, zwłaszcza w kościelnych kaplicach i grobowcach. Przebudowywano też domy prywatne, które przybierały cech włoskiego renesansu. Włochy – kraj i ludzie – stały się modne. Upowszechniała się, choć z oporami, zdrowa śródziemnomorska kuchnia: potrawy urozmaicone sałatą i innymi warzywami, elegancko podawane.

Nie bez powodu Paweł Mucante, sekretarz kard. Henryka Gaetano, zanotował w 1596 roku w swoim diariuszu: „Se Roma non fusse Roma, Cracovia saria Roma” (Jeśliby Rzym nie był Rzymem, to Kraków stałby się Rzymem).

\*

Generalnie Włochów uważano za naród nader światły, choć bywało, że poważny kupiec, majster czy mistrz nie umiał pisać. Wykształconych Polaków zdumiewało też, że znajomość łaciny wśród Włochów nie jest tak powszechna jak w Polsce.

Zdarzały się wszelako i głosy nieprzychylnie. W połowie XVII wieku w dziele *Taniec Rzeczypospolitej* kasztelan płocki Gabriel Krański dał wyraz swej niechęci do Włochów, pisząc, że jest to naród zły, niemoralny, zepsuty, czuły na piękne twarzyczki, a do kościoła Włosi chodzą tylko po to, by patrzeć na ładne kobiety i „strzelać oczami jak małpy”. Twierdził nadto, że jako kupcy potrafią znakomicie oszukiwać, a niejeden włoski bankrut, przybywając do Polski, rychło „się utuczy”.

\*

Znamienne i symboliczne jest, że najwięcej cudzoziemskich relacji o szesnastowiecznym Krakowie posiadamy właśnie dzięki Włochom. Jednym z zaproszonych na wesele królowej Bony był Caelius Calcagnini, oprowadzany po mieście, czy Suavio Prarenopoe, zachwycony pięknem zamku i jego bogactwem.

Z kolei przebywający w Krakowie w XVII wieku Romano Morlupino, zostawił dokładny opis Rynku i obchodów święta Bożego Ciała. Za czasów panowania Michała Korybuta Wiśniowieckiego przyjechał do Krakowa ksiądz-podróżnik Aleksander Pacichelli. Opisał miasto oraz wawelskie wzgórze i zamek, ale nie omieszkał odnotować, że w Rynku wypełnionym kramami jest błoto i zły zapach.

\*

Włoscy przybysze wnieśli do Krakowa ożywczy ferment, wysoką technikę produkcji rzemieślniczej, propagowali zdobycze nauki i sztuki, przyczyniając się do blasku Rzeczypospolitej doby Złotego Wieku.



Ewa Danowska – dr hab. historii, PAU. Kraków w przeszłości... jest o czym pisać!



# Teatr Jerzego Pilcha

Tekst: Paweł Głowacki Zdjęcie: Grzegorz Kozakiewicz

## Wtorek

Głowa starego mężczyzny na czarnej poduszce, niknącej w mroku. To jedyna jasna gruda, wycięta światłem reflektora z ogromu lepkich ciemności. Na wznak, oczy zamknięte, siwe włosy rozrzucone na czerni. Gdziekolwiek teraz jest – starzec jest jak zawsze sam. Nikogo w pobliżu. W pobliżu i w oddali. Nigdzie nikogo. „Żywego ducha”, jak rzekłby Jerzy Pilch, przywołując pożegnalną swą opowieść o człowieku snującym sobie bajkę na Ziemi naraz zupełnie pustej. U Pilcha słyhać jedynie mrug narratora, który ocalał. Na scenie – tylko pełen piasku oddech grudy przesypany się nad czarną poduszką albo nad miękkim, wygodnym mrokiem. Cokolwiek tkwi pod głową starca, pozwala mu czekać łagodnie, lżej. Z widowni patrząc – jasną grudę widać trzy metry nad sceną. Jest tak, jakby niewidzialne łoże ktoś ustawił na sztorc, wezgiłowiem w górę. Albo jakbyś cimą był, co z zimnej lampy przygląda się ogromowi samotności siwej grudy na dnie mroku... I tyle. Nic więcej na początek. Samuel Beckett chciał, aby takim obrazem zaczynało się *Wtedy gdy* – jego teatralna sztuka na jedną postać i głos. Głos nie każdy, a głos postaci, który opuścił jej głowę i krąży wokół niej nocą, kiedy wokół – żywego ducha. Równie dobrze, dotkliwie, sztuka mogłaby nosić tytuł *Towarzystwo*, jak chwilę po *Wtedy gdy* ulepiona przez Becketta proza, której prolog brzmi niczym nowa wersja didaskaliów *Wtedy gdy*. „Jakiś głos dochodzi do kogoś w ciemności. Wyobrazić sobie... Do kogoś leżącego na wznak w ciemności... Do kogoś leżącego na wznak w ciemności jakiś głos

Każda proza, której poziom nieprzezroczystości języka skrajnie jest wysoki, nieuchronnie traci na obcych planetach. Marquez, Proust, Schulz, Sebald, Sterne, Browne, inni nietykalni, niemało ich...

mówi o przeszłości. Nawijając niekiedy do chwili bieżącej i o wiele rzadziej do przyszłości, na przykład, Kończąc będziesz taki jak teraz. A wszystko to dla towarzystwa... Poza głosem i słabym oddechem nic nie słyhać. W każdym razie nic nie słyszy. Mówi mu o tym słaby oddech... Towarzystwem jest sam głos...”. Zatem – jasna gruda starej twa-

rzy wysoko w ciemności. A po siedmiu sekundach, wraz z brzdękami pierwszej litery, „w” – rozwierają się powieki i opowieść zaczyna słowo po słowie krążyć wokół siwej grudy. „Wtedy gdy wróciłeś tam wtedy ostatni raz zobaczyć czy ruiny gdzie chowałeś się jako dziecko wciąż jeszcze tam są...”. I tak do końca. Do ostatniej ciszy – żywego ducha przy zasłuchanej grudzie. Nikogo, tylko krążące czule w mroku żywe duchy słów... To wszystko. Tak kończę długi wtorek. Lecz dorzucę drobniaczek. W pierwszej, angielskiej wersji *Wtedy gdy*, starzec jest Słuchającym. W wersji francuskiej Beckett był dotkliwszy. Starego mężczyznę nazwał – Wspominającym.

## Czwartek

Od śmierci Pilcha szukam teatru, co by z Pilcha ocalał więcej, niż stracił, i wciąż trafiam na ten portret słuchania siebie. Patrząc na czarno-białą fotografię z roku 1976, na siwą głowę Patricka Magee, grającego na londyńskiej scenie we *Wtedy gdy*, sztuce napisanej z myślą o nim, o jego głosie nie z tej planety. Wspaniały kamień! A teraz wyobrazić sobie, że to głowa późnego Pilcha, biała, nieruchoma, z szeroko otwartymi oczami wsłuchana w łagodnie krążące wokół niej w ciemnościach żywe duchy słów pożegnalnej Pilcha powieści. „Przez otoczone kredowymi wzgórzami miasto, w którym w zupełnej samotności, niedołączony i schorowany spędzam końcówkę życia, przeszedł anioł śmierci i mało, że wszystkich szlag trafił, to wszyscy zniknęli...”. Tak, wsłuchana w to bądź w brzęczenie którejkolwiek z napisanych Pilcha planet. Wyobrazić to sobie i pojąć, że to jedyna forma teatru, która z prozy Pilcha ocala więcej, niż gubi.

## Piątek

Każda proza, której poziom nieprzezroczystości języka skrajnie jest wysoki, nieuchronnie traci na obcych planetach. Marquez, Proust, Schulz, Sebald, Sterne, Browne, inni nietykalni, niemało ich... U nich wszystko, co istotne, trwa na tafli kartki, głębia zaś nie otwiera się pod słowami, lecz rozkłada się wzdłuż zdań. Jeśli losem, snującym się w opowieści, jest tyleż los sportretowanych w niej istnień fikcyjnych, ile realny los języka, z którego istnienia ulepiono – niewiele już da się z tym zrobić. Jeśli rzeczywiście ważkimi przygodami są przygody słów, jeśli punkt kulminacyjny bajki to kulminacyjny punkt płasających przymiotników, jeśli fabułą naprawdę hipnotyczną okazuje się fabuła intonacji – trzeba

planetę taką zostawić w spokoju. Niech sobie trwa wedle własnych reguł, nieprzekładalnych na reguły planet obcych. Obok szalonego *Finneganów trenu* Joyce'a, Beckett zanotował pamiętne frazy: „Tutaj forma jest treścią, a treść – formą... Pisarstwo Joyce'a nie jest o czymś, ono samo jest tym czymś... Kiedy

gów wielkich, językowej formy samotności? Teatr, film, telewizja – to jest zaludnianie przestrzeni konkretnymi ciałami, grupą gości, z których każdy ma twarz samoistną, niezależną od innych twarzy. Co każe artystom teatru, filmu, telewizji zaludniać rozmruczaną samotność Pilcha figurami samoistnymi,



chodzi o sen, słowa idą spać. Kiedy szaleje sens, szaleją i słowa”...

Cóż robić z czymś podobnym? Na obecnym etapie rozkwitu cudactw można by przełożyć, dajmy na to, wino na kiełbasę choćby. Owszem. Nie do wygumkowania jest jednak pytanie: Właściwie – po co?

#### Niedziela

Piękne zdjęcie Magee w roli Słuchającego/ Pamiętającego. Twarz późnego Pilcha na wielu fotograficznych portretach. A w pamięci – ślady po Pilchu telewizyjnym, filmowym, teatralnym. Sporo było tych przemian. *Monolog z lisiej jamy*, *Spis cudzołożnic*, *Żółty szalik*, *Pod Mocnym Aniołem*, *Inne rozkosze*, *Tysiąc spokojnych miast*... Starczy. Co też ciągnie artystów obcych planet do tych w istocie monolo-

Jeśli ważkimi przygodami są przygody słów, jeśli punkt kulminacyjny bajki to kulminacyjny punkt płasających przymiotników, jeśli fabułą naprawdę hipnotyczną okazuje się fabuła intonacji – trzeba planetę taką zostawić w spokoju.

Niech sobie trwa wedle własnych reguł, nieprzekładalnych na reguły planet obcych.

konkretnymi bohaterami, skoro w rozmruczanej samotności Pilcha każdy bohater – jego mowa, jego gesty, jego milczenie – jest tylko i aż malowniczą ingrediencją wciąż jednej

Janusz Gajos i Robert Więckiewicz, choćby przed kamerą rzygali z rozmachem babilońskim i najwyższą fachowością – w porównaniu z portretującym mordęgę trzewi ciemnym językiem Pilcha pawie te pozostaną igraszką.

i tej samej intonacji, niepodrabialnej mowy narratora, bazarza, pojedynczego jak odcięty palec, snującego sobie bajkę o sobie samym? Sobie, bo komuż innemu, jeśli wokół – żywego ducha? Czy zwodzi ich na pokuszenie ta malowniczość? Może Pilcha legendarne szyderstwo? Albo spokój jego myśli o tym i tamtym świecie? Pilcha ironia? Brak złudzeń? Jak wiele i jakich powodów skłania artystów teatru i filmu do gubienia Pilcha?

#### Poniedziałek

We wstępie do swej intymnej wersji *Kubusia fatalisty i jego pana* Diderota, mocno się Milan Kundera znęca nad ideą adaptacji wielkich powieści. „Im bardziej adaptator chce dyskretnie się schować za powieścią – powiada – tym bardziej ją zdradza. Redukując ją, odziera ją nie tylko z wdzięku, lecz także z sensu”. I dalej: „Jeśli powieść przeżyje przepisanie, jest to pośrednio dowodem na słabą wartość powieści”. Tak, adaptacje zawsze wtedy się udają, gdy chodzi o dzieła, dla których język jest nieistotny, to znaczy przezroczysty, a istotne jest, kto zabił, kto zaś nie. Jeśli nie adaptacja to co? Wariacja, powiada Kundera. I bywa, że wariacja skrajnie swobodna – najbliższa jest źródłu. Bracia Quay animowaną odpowiedź na cud prozy Bruno Schulza stworzyli ze szpilek, szmatek, drutów, szpulek, krwistej wątroby, kruszących lalek, jednej jedynej kropli śliny i tylko jednego zdania opowieści *Ulica Krokodyli*. I jest to świat Schulza – doskonały. Podobnie mają się sprawy z bliskością spektaklu Andrzeja Wajdy *Nastazja Filipowna* i potężnej powieści Fiodora Dostojewskiego *Idiota*.

#### Wtorek

W liście do Warwary Oboleńskiej, która zapragnęła przerobić na dramat jedno z jego prozatorskich dzieł, Dostojewski nie ma złudzeń. Powiada, że zwykle nie udaje się przeobrażenie jednego sposobu istnienia na sposób dokumentnie inny. „Jest jakaś tajemnica sztuki – tłumaczy – która sprawia, że forma epicka nigdy nie znajdzie odpowiednika w formie dramatycznej. Jestem nawet przekonany, że dla różnych form sztuki istnieją odpowiadające im szeregi myśli poetyckich i niekiedy myśli takiej nie można wyrazić w formie, która jej zupełnie nie odpowiada”. Istnieje jednak drobne, dobre „ale”: „Inna sprawa, jeśli Pani poważnie przerobi i zmieni powieść, zach-

wując z niej tylko jakiś jeden epizod i opracuje go dramatycznie albo też weźmie zasadniczą myśl, zupełnie zmieniając fabułę”... Posłuchał Wajda. *Nastazja Filipowna* była jedną, ostatnią sceną *Idioty*, godziną nocnego czuwania Myszkina (Jerzy Radziwiłowicz) i Rogożyna (Jan Nowicki) przy trupie zadżganej przez Rogożyna Nastazji. Kto kilka razy widział, ten wie: przepaści dzieliły seans od seansu. Bo Nowicki i Radziwiłowicz nie rządzą językiem Dostojewskiego, oni byli jakby na jego usługach, czekali pokornie, aż on, w strzępach oczywiście, we fragmentach, do nich przyjdzie ze wszystkich scen powieści, aby mogli podać smak całości, smak intonacji całości. Nie recytowali fraz Dostojewskiego, oni cierpliwie czekali na łaskawość jego języka.

#### Czwartek

Nieuchronne w adaptacjach gubienie świata Pilcha... To brzmi grubo, zbyt grubo. W końcu nie dzieje się kolosalna tragedia, nie wyłażą na światło dnia jakieś wyjątkowe skandale estetyczne, zaludnianie zupełnie samotnej intonacji Pilcha samodzielny gośćmi z krwi i kości nie obraca się w jakąś nie do zniesienia groteskę odpustową. Jak dotąd nikt nie zrobił z Pilcha idioty godnego komiksu dla wyrostków, lubujących się w prostych pocieszeniach: dobro jest dobre i ocala, zło jest złe i gubi, czyli więc dobro i gardz złem, a teraz idźcie, ofiara spełniona, amen. Adaptacje planety Pilcha nie stawiają świata na głowie. Nie. Dzieje się jednak, że z tych zabiegów Pilch wychodzi – pomniejszony, na powrót chłopięcy, niegroźnie pastelowy. Janusz Gajos i Robert Więckiewicz, choćby przed kamerą rzygali z rozmachem babilońskim i najwyższą fachowością – w porównaniu z portretującym mordęgę trzewi ciemnym językiem Pilcha pawie te pozostaną igraszką. Dlatego uciekam w zdjęcie Magee. Widzę Pilcha. Ma siwą brodę, otwarte oczy, a wokół jego głowy krąży sennie jego głos układający się w epilog *Towarzystwa*.

#### Sobota

„Teraz na wznak w ciemności nie podniesiesz się już, by objąć nogi rękami i pochylić głowę do granic możliwości. Ale nad swoją bajką będziesz się trudził daremnie z twarzą zadartą na zawsze. Aż słyszysz wreszcie, jak słowa dobiegają końca. Z każdym pustym słowem bliżej ostatniego. A wraz z nim ta bajka. Bajka o kimś z tobą w ciemności. Bajka o tobie snującym bajkę o kimś z tobą w ciemności. A zwłaszcza ten próżny w końcu trud, i cisza. I jesteś taki jak zawsze.

Sam”.



Paweł Głowacki – krytyk teatralny i recenzent kultury, postać barwna.





Wąska Szeroka, fot. Przemek Czaja

# Miłość do samej miłości

Rozmawiała Elżbieta Wojnarowska Zdjęcie: Grzegorz Kozakiewicz

**Gaja Hajdarowicz: Nic nie miałoby znaczenia bez ludzi, w których znajduję najwięcej szczęścia i miłości, którzy są najważniejszą częścią mojego życia i przez których jestem szczęśliwa. Pisząc, próbuję stworzyć swój fragment tego świata.**

**Elżbieta Wojnarowska: Porozmawiamy więc o miłości. O różnych jej aspektach. Od czego zaczniemy? Może: za co kochasz Kraków?**

Gaja Hajdarowicz: Urodziłam się i wychowałam w Krakowie, a raczej pod Krakowem, w okolicy pól i lasów. Miasto to kocham całym sercem, przez

Zajmuję się pisaniem, ale nie jestem w stanie wyrazić świata, jest go za dużo, jest poza słowami, zbyt skomplikowany, wielowymiarowy, nie do ogarnięcia.

jego wyjątkową atmosferę, piękno miejsca, pięknych ludzi. „Każda sekunda wydawała się być własną, zamkniętą nieskończonością”. Od tego zaczął się strumień świadomości, który napisałam parę lat temu, podczas nocy, która wydawała się nigdy nie kończyć. W tym momencie zaczęłam pisać i był to dla mnie sposób, żeby zachować chociażby fragment rzeczywistości w czymś więcej niż pamięć. Pozwoliło mi to wylać swoje emocje: po tej nocy, zaczęłam pisać więcej i więcej o różnych doświadczeniach i przeżyciach. To był mój sposób na skondensowanie i zachowanie tego, co wyjątkowe, zmieniając to w zestaw kresek, szukając świata w świecie pomiędzy słowami. Pogłębiłam swój podziw do literatury po przeniesieniu się do brytyjskiego liceum w Warszawie.

**Dużo pisałaś, ale samo pisanie nie wystarczyło?**

Od tamtego czasu wypełniłam około dziesięciu zeszytów, opowiadających moją historię przeżywania świata. I w końcu wydałam poezjo-powieść *Mów do Mnie Marzeniami*. Ale uwielbiam muzykę i od zawsze ciągnęły mnie do siebie kultura punkowa i hipisowska – z jednej strony wolność i bunt, z drugiej pokój, miłość i beztroska.

**Twoje emocje w wierszach sięgają zenitu...**

Pisanie było dla mnie terapeutycznym poszukiwaniem swojej drogi, kiedy próbowałam odpowiedzieć na nurtujące mnie pytania podczas poszukiwania swojego szczęścia. Często moje teksty nie są dosłowne, fascynuje mnie w sztuce psychodeliczna abstrakcja. Pokazuje moją miłość do natury i miłość do samej miłości.

**Jesteś bardzo wyczulona na sprawy swoich rówieśników, tych wyrzuconych na margines społeczny.**

W tym czasie napisałam fragmenty do kolejnej książki, która jeszcze nie wie, kiedy i czy ujrzy światło dzienne, ale taki jest plan. Ta poezjo-powieść nosi tytuł *Włóczęgi* i chce opiewać życie młodych ludzi – tych delikatnych, ignorowanych przez społeczeństwo, uzależnionych czy z patologicznych domów.

W Polsce wśród młodych ludzi jest dużo samobójstw, narkomanii, alkoholizmu i chorób psychicznych, ale zamiast to oceniać, chciałam pokazać piękne strony wrażliwych młodych ludzi, lepsze wyjścia.

**Oprócz pisania pasjonujesz się teatrem.**

Całe życie kochałam teatr. Chciałam iść na studia teatralne, a prawdopodobnie pójść na University of York, na kierunek Theatre, writing, directing and performance, co idealnie łączy te dziedziny. Teraz robię rok przerwy i zajmuję się nowym przedsięwzięciem, jakim jest spektakl z wydanej przeze mnie książki. Tekst przepisałam na scenariusz, reżyseruję spektakl, gram jedną z ról. Na szczęście mam dookoła cudownych i niesamowicie utalentowanych ludzi, którzy z pasji do sztuki realizują ze mną ten projekt *non-profit* w kwestiach muzycznych, aktorskich, logistycznych oraz wizualnych.

**Miłość do sztuki, natury, ale i do ludzi.**

Właśnie, ludzie; kocham sztukę, kocham tworzyć, ale nic z tego nie miałoby znaczenia bez moich ludzi, w których znajduję najwięcej szczęścia i najwięcej miłości. I którzy równocześnie są zdecydowanie najważniejszą częścią mojego życia. To dzięki nim jestem szczęśliwa.

**Co jeszcze jest ważne dla Ciebie?**

Środowisko, zwierzęta, Ziemia – jestem wegangą od siedmiu lat i byłam zaangażowana w różne protesty lub ruchy aktywistyczne, chociażby Otwartej Klatek czy Extinction Rebellion. Kocham podróżować, poznawać ludzi na ulicach. Kocham jeździć w góry, chodzić boszo po lesie, tańczyć, przytulać drzewa. Chodzę od czasu do czasu na jogę, medytuję, chodzę do teatru, próbuję nauczyć się grać na gitarze. Chcę w przyszłości mieszkać w czymś w stylu ekowioski, zasadzić swoje warzywka i założyć azyl dla zwierząt uratowanych z ferm czy rzeźni, żeby dać im szansę na spokojne, dobre i długie życie.

**A co w literaturze i sztuce porusza Cię najbardziej?**

Wolność i prawda. Próba wyrażenia czegoś pięknego, uwalniająca możliwość ekspresji siebie, stworzenia więcej niż było chwilę temu. Porusza mnie sztuka, która wzbogaca świat, uzupełnia go, zmienia. Wiem, czuję, że jest coś więcej niż zwykłe, szare życie. Zajmuję się pisaniem, ale nie jestem w stanie wyrazić świata, jest go za dużo, jest poza słowami, zbyt skomplikowany, wielowymiarowy, nie do ogarnięcia. Pisząc, próbuję stworzyć swój fragment tego świata.



Elżbieta Wojnarowska – z wykształcenia jest przyrodnikiem i... scenarzystką. Ale również piosenkarką i aktorką (m.in. należała do zespołu Teatru STU), autorką powieści, baśni dla dzieci, sztuk teatralnych i scenariuszy. W końcu – a może przede wszystkim – poetką.





**Gaja Hajdarowicz** (rocznik 2001) – poetka, scenarzystka, reżyserka, aktorka. Debiutowała poezjo-powieścią *Mów do Mnie Marzeniami*

(Austeria, Kraków – Budapeszt – Syrakuzy 2020). W przygotowaniu ma kolejną – *Włóczęgi*. Zaangażowana w działalność proekologiczną.



# Gaja Hajdarowicz

\*\*\*

kiedys będziemy to wspominać; z jaką łatwością wybaczyliśmy dla miłości. ile mieliśmy nadziei na lepszy świat, jakie pragnienie wolności, jaki przepiękny, niewinny bunt nosiliśmy w sobie. mówili, że chcieliśmy pieniędzy, ale nie mogli bardziej się mylić; my chcieliśmy tylko przepełniającego szczęścia. chcieliśmy wiedzieć, dlaczego warto żyć, i przekonać się że to, co pisaliśmy pod tym pytaniem, może być prawdziwe. zapętlały się we mnie pytania, wydają się nieskończone, ciągle szepczą, przesuwały się po niepewnym i porwanym cieple, chwytając kości, przeslizgując pomiędzy żebrami, wkradając się do płuc. przechodzą przez ramiona i zawijają się na palcu jak pierścionek, przysięgając wierność. strach nie jest mój. należy do tego miejsca, osiedlił się w miastach i w oczach, rozgościł się w domach i zapanował na ulicach. zamieszkał w zaciskających się rękach i w brzydkich słowach, rozlał się po pustych kartkach i w zdartych od krzyku gardłach. siadam na ławce, patrzę w przestrzeń, gubiąc wzrok w płynących chwilach. dochodzi ósma czterdzieści, chcę pożegnać się z pieskiem, który znikł gdzieś nagle, jakby się rozplynął w coraz to gęstszej, cięższej przestrzeni. wstaję, obserwuję, jak pociąg z krzykiem wyhamowuje na stacji, i wsiadam. znajduję wolne miejsce przy szkle okna, przez które będę mogła oglądać ruchome widoki biegnące wzdłuż szyn przecinających jednostajnie różne światy. pociąg rusza. przymykam oczy. nagle znikam. tam, gdzie byłam przed chwilą, już mnie nie ma. wyjeżdżam.

\*\*\*

– kawa, woda czy herbata?  
 – proszę?  
 – jaki napój?  
 – wódka.  
 – nie mamy.  
 wzdycham.  
 – to wodę poproszę.  
 rzucam oczami raz na kartki, a raz na widoki za oknem. prawd jest wiele. podróż mija dennie, oprócz tego, że siedzenie przede mną zajmuje czarny kot, miauczący chwilami. pociąg nie koi zmysłów tak, jakbym chciała, może kołysz je nimi lekko, może szumem szepcze mi do ucha dobre słowa, ale ich jeszcze nie rozumiem. słyszę dwie starsze kobiety w czarnych welonach zajmujące siedzenia za mną.  
 – świat? czym jest?  
 – odbiciem stanu twojej duszy.  
 dlatego mój taki pusty, myślę sobie.  
 – czyli może być wszystkim. paradoksem w jednym słowie.  
 – paradoksem samym w sobie.  
 a może to tylko głosy w głowie?  
 prawd jest wiele.

**papieros pod niebieskimi drzwiami mieszkania  
na szarej ulicy**

odpalony i powoli wypalany. wciągany do płuc żar pożera suszony tytoń i trawi biały owijający go papier. dym wiję się na wietrze, mokry od deszczu, pulsuje gorącem. z materii przeradza się w szerniąłą przejrzystość. proces wzmaga się kiedy się nim zaciąga, dym drapie go w przeżarte gardło. niebieskimi oczami wpatruje się w żar, w jego rozpaloną czerwień. jest spokojniejszy. w końcu przybija jednym szybkim ruchem wypalonego, lecz wciąż jeszcze żarzącego się papierosa do dłoni, czując i widząc przez moment, jak atakuje i wypala ślad na skórze. słycać cichy syk. żar zgasł. niebo rozblęzło. chciał coś poczuć. teraz zaciąga się wilgotnym powietrzem, które wpada do jego płuc, napełniając je. zamyka oczy i wydycha, wystawiając twarz do nieba spadających kropel.

\*\*\*

czułam się źle. on nie chciał. więc później on czuł się źle. ja nie chciałam. więc znowu źle zabrałam do siebie. i tak się wymienialiśmy tym źle, wte i wewte, tam i z powrotem, i źle skakało z jednego ciała na drugie, wyrwane i oddawane sobie bez przerwy, źle przekazywane z rąk do rąk; od jednego człowieka do drugiego, i potem znowu do tego pierwszego, bo żadne z nas nie chciało, żeby to drugie je miało, a potem rozłożony przez źle oddawał je z powrotem. i co zrobić z tym źle, nie wiedzieliśmy. gdzie je włożyć, gdzie je zabrać, żeby ani w tobie ani we mnie się nie zasiedliło, żeby przestało skakać z rąk do rąk, i żebyśmy przestali je wyrzywać sobie nawzajem z serc. bo jak już je wyrwaliśmy, to gdzie indziej mielibyśmy włożyć takie źle, jak nie do siebie? źle też potrzebuje serca... źle też potrzebuje domu... gdzie schować źle? co z nim zrobić?

**góra**

na górze, drzewo na drzewie, śpiewy krów na krowach, pola na polach. istniejące Wszystko. zbiegam ze schodków. moim celem jest wyprawa w góry, walizka jest więc obciążeniem. wyjmuję z niej kłódkę i łańcuch, oplątuję drzewo łańcuchem, przyczepiam walizkę, przypominając sobie włóczykija. jeśli ktoś zechce ją otworzyć, będzie się musiał postarać, więc pewnie będzie potrzebował jej bardziej niż ja. zostawiam skupisko bytów w niejeżdżącym chwilowo kontenerze i idę przed siebie, oczy patrzą prosto, nogi patrzą prosto, nic nie patrzy już za siebie, dłonie ewentualnie na boki. czubek głowy zerka na niebo, które nagle ze skrzekiem zachmurzyło się skrzydlatą chmurą czarnych ptaków. lecą tysiącami, zapierają w płucach dech, rozszerzają oczy w oszołomieniu, wirują na tle szarego nieba. bezwiednie wodzę za nimi wzrokiem, próbując uchwycić ich ogrom i melodię. może właśnie o to chodzi z drugim człowiekiem; trzeba wczuć się we wzajemny rytm, jak w tańcu. zamykać oczy i wiedzieć, jak tańczy druga dusza, świadomość rozlać tak, by przeniknęła inne, nie zmieniając ich, tylko wyczuwając, jak płyną. zamykać oczy jak w medytacji, ale dalej widzieć, wiedzieć, lecieć wspólnie. teraz zamykam oczy; szlak jest prosty; próbuję słycać drzew i kamieni, dotknąć żuków i trawy, wyciągnąć się do czarnych ptaków i chmur nade mną. rozplwam się pod ziemią, mijając na swojej drodze gąsienice, żuki i kamienie.

# Portrety, czyli gniazdo Kraków

Tekst: Maria Malatyńska Zdjęcie: za zgodą Krakow Klaster Film

**Niedawny Krakowski Festiwal Filmowy przedstawił pozakonkursowo dwa obrazy, które właśnie teraz wchodzi do normalnego repertuaru kinowego. Oba są portretami ludzi, którzy mieli szczęście nasiąknąć Krakowem.**

Pierwszy film to *Dom Literatów, czyli kartoteka zebrana* – i jako reżyser podpisany jest pod nim Marek Gajczak, młody twórca, bardziej znany w polskim kinie jako operator. Film drugi *xABo, ksiądz Boniecki* – tu o narysowanie portretu tego mocno związanego z Krakowem księdza-redaktora, pisarza i filozofa, pokusiła się niemal reżyserska debiutantka (drugi film!) Aleksandra Potoczek.

Oba te obrazy, choć całkowicie nieporównywalne, mają wspólną cechę: pokazują ludzi, którzy mieli okazję spotkać na swojej drodze... Kraków. I to ten Kraków, który ma rzadko przypominaną, ale specjalną cechę: potrafi być gniazdem dla wszelkich, zwłaszcza artystycznych i myślowych, wartości. Każdy, kto żył tu choć przez chwilę, na pewno to potwierdzi. Bo jest to miejsce, w którym łatwiej rozwijają się talenty, kumulują wartości, rozkwitają najlepsze artystyczne pomysły.

Zacznijmy po kolei.

Najpierw to, co najbardziej zaskakuje: Kraków, który się pojawia w portrecie księdza Adama Bonieckiego. Jest w tym filmie swoistym punktem wyjścia, oparciem, miejscem stałym, pewnikiem, do którego powraca się w sposób naturalny. Ale przecież trudno sądzić, że charakterystyczna, lekko pochylona sylwetka człowieka o dobrym uśmiechu, dobrym słowie i dobrych oczach jest tylko krakowska, choć spotykamy go często, gdy przechodzi przez Rynek, zmierzając w stronę ulicy Wiślniej 12, gdzie znajduje się redakcja „Tygodnika Powszechnego”. Tak by się wydawało, że jest tu zawsze i stąd lubi patrzeć na ludzi, z którymi spotyka się w różnych miejscach. Urodzony w Warszawie 86 lat temu – pewnie, jak powiedział w filmie, też tam umrze, bo tam jest jego dom zakonny, czyli klasztor Marianów, więc trzeba będzie tam wrócić...

Ale na razie w Krakowie jest już bardzo długo. Jest tu, bo tu jest „Tygodnik Powszechny”, z którym od lat 60. ubiegłego

wieku współpracował, potem był jego „asystentem kościelnym”, a w końcu po śmierci legendarnego redaktora Jerzego Turowicza – został naczelnym redaktorem. Jest u nas także i dlatego, bo tu był duszpasterzem w kolegiacie św. Anny i w kościele św. Florianiana. Jest u nas zawsze, bo można go właśnie tu spotkać.

Film nie pokazuje jednak swojego bohatera osiadłego w Krakowie, lecz pokazuje go wiecznie w drodze. „Film drogi” powiedzielibyśmy, sięgając do lubianej przez widzów formy. I rzeczywiście, trudno nie zauważyć, że głównym bohaterem tego obrazu jest komunikacja: pociąg, Intercity lub inny, autobus, samolot... Każdy środek lokomocji jest dobry, bo w nim też można spotkać się z ludźmi. Młoda reżyserka przez trzy lata jeździła z księdzem i za księdzem, z kamerą na dodatek. Nie uciekał przed nią, ale „moldził się, żeby jej się to już znudziło” – jak żartuje w filmie. Nie znudziło się i dzięki temu mamy portret człowieka, który rozmawia z ludźmi. Jeśli życie jest wędrówką, jeśli życie jest rozmową, to tu jest samo życie. Ale można też powiedzieć, że takiego księdza Bonieckiego stworzyli jego zakonni szefowie, bo zakazali mu wypowiadać się w mediach innych niż „Tygodnik Powszechny” (tacy to okazali się miłośnikami). Bo niepokorny i samodzielnie myślący. Pierwszy raz w roku 2011, a drugi raz zaledwie kilka miesięcy po zakończeniu „pokuty milczenia”, czyli w 2017 roku. Ksiądz poddał się, bo jest posłusznym zakonnikiem, ale wyrok określił w filmie jako żenujący. Jeździ więc i jeżdżą z nim jego książki (dotychczas wydal ich 16), bo ludzie wciąż zapraszają go na spotkania autorskie. Jego rozmowy, jego rady życiowe, poważne lub przekorne, jego wyznania (na przykład w rozmowie o celibacie z siostrą Małgorzatą Chmielewską), jego anegdoty... to wszystko jest dobre, serdeczne i bliskie. A gdzie tu Kraków? Pewnie w środku człowieka. I w jego wiecznych powrotach.



A teraz drugi film: *Dom Literatów*. Ten akurat, o który chodzi, jeden jedyne, mieszczący się w Krakowie przy ul. Krupniczej 22, dawno stał się legendą. Ba, zawsze był legendą! Mieszkała tu cała „powojenna literatura”. Giganci pióra, atrakcyjni autorzy, barwni, podglądani przez całe miasto byli tu, w jednym miejscu. Całymi dniami towarzyszył temu miejscu miarowy stukot maszyn do pisania, całe noce trwały zabawy we wspianiałej, mocno ekskluzywnej restauracji na parterze. Tajemnica, atrakcja, życiowy bal wybrańców... To miejsce musiało więc inspirować wielu autorów. I tych, co wspominali – i tych, którzy to miejsce i czas badali. Z jednej strony byłaby tu choćby Joanna Olczak-Roniker, która wprost po nagrodzonej nagrodą Nike książce *W ogrodzie pamięci*

relację ze swoich fascynacji, czyli książkę *Wszystkie drogi prowadzą na Krupniczą*.

Podobnych przykładów byłoby więcej.

Dziś i od zawsze mówiliśmy o magii miejsca, ale przecież wtedy, gdy to miejsce powstawało – była to także magia czasu, osobliwa energia tamtej radości, że wszystko można zacząć od początku. Wszak to był rok 1945. Gdy jeszcze wszystko było możliwe. Nawet punkt wyjścia był niekonwencjonalny. Trzypiętrowa kamienica z oficyną była w czasie wojny hotelem dla pracowników niemieckich firm – napisał Jerzy Kisielewski w książce *Pierwsza woda po Kisielu*. Syn Stefana Kisielewskiego, który urodził się tam właśnie w 1951 roku i mieszkał jako dziecko z ojcem i rodzeństwem (brat Wacław był, słynnym potem pianistą z duetu Ma-



Jan Polewka i Jerzy Kisielewski na planie filmu *Dom Literatów*, czyli kartoteka zebrana / dzięki uprzejmości producenta

– napisała specjalny tom poświęcony Krupniczej 22: *Wtedy. O powojennym Krakowie*. Tam mieszkała jako dziecko wraz z mamą, słynną poetką, autorką książek dla dzieci i wydawczynią Hanną Mortkowicz-Olcza-kową. A z drugiej strony byłaby młodzieńka polonistka Anna Grochowska, która niczego nie widziała na własne oczy, ale wszystko przebadła i zebrała, a w końcu trzy lata temu wydała pracę doktorską, a w istocie

rek i Wacek), słyszał, że po 1945 roku przez chwilę stacjonowali w tym domu oficerowie Armii Czerwonej. A gdy wyjechali, miasto postanowiło zakwaterować tam bezdomnych pisarzy. I wszyscy okazali się bezdomni. Przez 50 lat istnienia Domu przewinęła się ich setka! Od Czesława Miłosza i Wisławy Szymborskiej, wielkiego Tadeusza Różewicza, Jerzego Andrzejewskiego, który tu napisał *Popiół i diament*, Konstantego Ildefonsa

Gałczyńskiego, który przyjechał tu wprost z oflagu, po Wilhelma Macha, Sławomira Mrożka, Tadeusza Śliwiaka, Stefana Otwinowskiego i innych.

Od tego zaczęła się magia. Niewyobrażalna magia pomysłu, by w jednym miejscu zgromadzić wszystkich naszych geniuszy literatury. Przeszłych, teraźniejszych i przyszłych. Rozbitków historii i nosiciele nadziei na przyszłość.

Tak oto powstała, jak ktoś napisał później z podziwem i zachwytem, ta „stajnia pegazów”. O tym jest film. A jak to życie wtedy wyglądało naprawdę, pokazał już nawet scenariusz, napisany przez drugie „dziecko”, które tam wówczas mieszkało, a było

Trzypiętrowa kamienica z oficyną przy Krupniczej była w czasie wojny hotelem dla pracowników niemieckich firm, po 1945 roku przez chwilę stacjonowali w niej oficerowie Armii Czerwonej, a gdy wyjechali, miasto postanowiło zakwaterować tam bezdomnych pisarzy. Przez 50 lat istnienia Domu przewinęła się ich setka! Od Czesława Miłosza i Wisławy Szymborskiej, wielkiego Tadeusza Różewicza, Jerzego Andrzejewskiego, który tu napisał *Popiół i diament*, Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego, który przyjechał tu wprost z oflagu, po Sławomira Mrożka, Tadeusza Śliwiaka i innych.

nico starsze od Kisielewskiego, więc słusznie się zakłada, że więcej pamiętało. Zresztą to drugie „dziecko” mieszka tam do dziś i choć dawno przestało być dzieckiem, a sam Dom Literatów przy Krupniczej przeszedł wszystkie możliwe stadia rozkwitu i upadku, to ono bada tamten dom. To Jan Polewka, krakowski scenograf, pracujący od lat w teatrach całej Polski z różnymi reżyserami, a w Krakowie najbardziej znany jako długoletni dyrektor Teatru Lalki i Maski „Groteska”. To właśnie Jan Polewka, syn pisarza i twórcy teatralnego Adama Polewki, jest autorem scenariusza tego filmu i jednym z dwóch narratorów oraz przewodników po tajemnicach Domu (drugim jest Jerzy Kisielewski).

Już sam początek filmu działa jak miód na nasze wiecznie skłócone między sobą polskie serca. Bo pada takie sformułowanie: Adam Polewka – lewica i Stefan Kisie-

lewski – wprost przeciwnie, dyskutowali ze sobą nieraz ostro, ale także zawsze potrafili ze sobą rozmawiać. A ich synowie przyjaźnią się od lat. I rzeczywiście, można zobaczyć, jak czule przedstawiają te swoje wspomnienia z dzieciństwa, oprowadzając nas w filmie po tamtym czasie, sięgając do wspomnień tamtych ludzi. Różnych ludzi, nieraz już dawno nieżyjących (choćby Tadeusza Kwiatkowskiego).

Tu niespodziewanie dochodzimy do pochwały profesjonalnego działania reżysera Marka Gajczaka. Bo przecież to, że pojawia się przed nami Tadeusz Kwiatkowski, to zasługa reżysera, który znalazł w archiwum fragment dawnego dokumentu, który można było wkleić, by pokazać obok siebie wspomnienia całej rodziny: na dawnym dokumencie wspaniała aktorka, blisko stuletnia Halina Kwiatkowska, a obok nich mieszkająca na Krupniczej jako dziecko ich córka Monika. Pracowite „żarty” filmowe znajdował reżyser jeszcze wielokrotnie. I wtedy, gdy w starym filmie, a dokładnie mówiąc w etiudzie studenckiej zasłużonego reżysera Janusza Majewskiego, odnalazł sylwetkę młodzieńczego, chudziutkiego Sławomira Mrożka, jednego z najpopularniejszych mieszkańców Domu. A odnalazł go tylko po to, aby rację miał Jerzy Kisielewski, wspominając, że Mrozek wyglądał jak ptak, miał sylwetkę rajskiego ptaka. Wiele jest jeszcze przykładów czujnego warsztatu reżysera. Bo, na przykład, jeśli już w tytule filmu pada słowo „kartoteka”, to dla wszystkich znawców polskiej literatury zaczyna się czekanie, kiedy zjawi się genialny poeta Tadeusz Różewicz, twórca pojęcia Kartoteki: zamkniętej, otwartej, rozsypanej... A Różewicz mieszkał tu długo, nim pojechał na stałe do Wrocławia. Tu znowu zadziałał Gajczak: znalazł fragment telewizyjnej adaptacji *Kartoteki*, wyreżyserowanej przez samego Krzysztofa Kieślowskiego.

I tak plecie się przed nami ten świat rajszych pegazów...



**Maria Malatyńska** – miłośniczka kina, pasjonatka filmu, recenzentka kulturalna.

**TEATR**  
**bagatela****WRZESIEŃ**

Dzień	DUŻA SCENA	Godz.
12 SO	SZALONE NOŻYCZKI	15.30, 19.15
18 PT	SZALONE NOŻYCZKI	19.15
19 SO	SZALONE NOŻYCZKI	15.30, 19.15
20 ND	SZALONE NOŻYCZKI	17.00
22 WT	DIALOGI POLSKIE	19.15
23 ŚR	DIALOGI POLSKIE	19.15
24 CZ	RYZYKOWNA FORSA	19.15
25 PT	RYZYKOWNA FORSA	19.15
26 SO	WIECZÓR KAWALERSKI	16.00, 19.15
27 ND	WIECZÓR KAWALERSKI	17.00
29 WT	MAYDAY	19.15
30 ŚR	MAYDAY	19.15

Godz.	SCENA NA SAREGO 7	Godz.
19 SO	ZA ROK O TEJ SAMEJ PORZE	19.15
20 ND	ZA ROK O TEJ SAMEJ PORZE	17.00



rezerwacja  
tel. 12 422 66 77  
[www.bagatela.pl](http://www.bagatela.pl)

**R  
E  
P  
E  
R  
T  
U  
A  
R**



# Szarlatan

Tekst: Łukasz Maciejewski Zdjęcie: materiały prasowe dystrybutora

**Chłodne oko, gorące spojrzenie. Agnieszka Holland nie chce być sentymentalna, nie jest, nie była nigdy. Metafizyka w kinie Holland to jednak zgoda na funkcjonowanie światów równoległych. Zrozumienie dla sfery, która dla wielu nie jest dostępna.**

Całościowo przyglądając się twórczości reżyserki, widać wyraźnie do jakiego stopnia Holland fascynuje problem cudu, uzdrowienia, przesądzenia o cudzym losie, cudzym życiu za pośrednictwem nie tyle nauki, ile przecucia, kumulowania energii lub zwracania jej.

W *Olivierze, Olivierze*, chyba moim ulubionym filmie Agnieszki Holland, tajemnica zaprzecza pewnikom, znieważa je. Tajemnica generuje właściwą trajektorię wydarzeń, sama

Butelecarka z uryną, w wyrafinowanych zdjęciach Martina Štrby wyglądająca niczym cenny bursztyn, staje się ekwiwalentem ludzkiego losu. Płynnego i często niewydarzonego.

w sobie pozostając enigmą. W *Szarlatanie*, podobnie jak w *Trzecim cudzie* z Edem Harrisem czy niedocenianej *Julii wracającej do domu* z Lothairem Bluteau, Agnieszka Holland nie polemizuje z „cudotwórstwem”, w przypadku najnowszego filmu również nie staje po stronie szyderców. Jan Mikolášek, grany przez największą bodaj gwiazdę kina czeskiego Ivana Trojana, jest postacią autentyczną. Zdumiewającą i problematyczną jak cały wiek XX. Mikolášek jest kwintesencją wieku XX.

Uzdrowiciel, zielarz, z wielkimi sukcesami w uzdrawianiu ludzi, wchodzący w relacje z władzą, w paradoksy i bólczki wielkiej i małej polityki. Mówi w filmie o sobie: „Jestem ekspertem w zakresie roślin leczniczych”, podkreślając jednocześnie wiele razy: „Nie, nie jestem lekarzem”. W tradycyjnie, klasycznie poprowadzonej narracji, współczesna rama – aresztowanie, uwięzienie i proces Jana Mikoláška organizują filmowe spojrzenie wstecz jego biografii.

Młody Jan – gra go Josef, syn Ivana Trojana – czuje, że jest w stanie przewidzieć przyszłość, wie jak gdyby więcej. Nie rozumie tego, wie tyle tylko, że stać go na wiele. Zaczyna się od uchronienia siostry przed amputacją nogi, potem idzie dalej. Janek asystuje zielarce, do której ustawiają się długie kolejki. Ludzie stoją po zdrowie i po brutalny werdykt choroby. Jan czuje podobną moc. Mühlbacherová (w tej roli wspaniała Jaroslava Pokorná, wybit-

na aktorka czeska, która w 1969 roku debiutowała w jednej z pierwszych etiud aktorskich Agnieszki Holland *Hřích boha – Grzech Boga*, według powieści Izaaka Bala) czyta choroby z analizy moczu. Uważa, że w urynie zapisane są wszystkie kłopoty i niedomagania. Testuje chłopca, potem się z nim zaprzyjaźnia, przekazując mu swoją wiedzę i doświadczenie, używając mu także schronienia. Mühlbacherová jest jednak inna od Jana. Nie bierze od pacjentów pieniędzy, żyje skromnie, w Janie natomiast od początku widać dychotomię postaw. Z jednej strony uważnie uczy się od mentorki, z drugiej – w dramaturgicznie arcyważnej scenie z udziałem małych kociąt, manifestuje charakter. Stać go także na okrucieństwo.

W pewnym momencie filmu mówi: „Możliwość wyboru to najcięższa kara”. Wie, co mówi. Całe życie szedł z przekonaniem, że skoro ma dar, dar sprawdzony, dar poza wątpliwościami, to w życiu musi się mu udać. Można przejść przez życie, można przez nie przepłynąć z lekko podniesioną głową, w półkroku, jak gdyby w półśnie. Tymczasem wielka historia pokazuje swoje małe, mierne oblicze, wyłupiaste oczy, wybite zęby.

Zabito by go wiele razy, a jeżeli nawet nie zabito, to zbito. Gdyby nie dar. Dar uzdrawiania, dar czytania historii zdrowia i choroby z zapisu na urynie, co samo w sobie jest czymś budzącym co najmniej zadziwienie. Tajemnice zapisane – pisząc kolokwialnie – w sikach. Mikolášek widzi tam wszystko: wyrok, prolongatę wyroku, szansę na zdrowie, szansę na życie.

Butelecarka z uryną, w wyrafinowanych zdjęciach Martina Štrby wyglądająca niczym cenny bursztyn, staje się ekwiwalentem ludzkiego losu. Płynnego i często niewydarzonego.

Jan jest panem królestwa swojej władzy. W gabinecie czuje się pewnie. I, co ważne, nie nadużywa władzy. Stara się żyć przyzwoicie. Tak właśnie żyje. Leczy dygnitarzy hitlerowskich, bo wie, że nie może im odmówić. Leczy komunistów, bo wie, że nie może im odmówić. Przepisuje zioła prostym babom spod Koszyc, odwiedzających mu się cielęcina i kalarepą, bo nikogo nie wyróżnia. Leczy świat może dlatego, że nic innego nie potrafi. Ma tylko ten dar. Jeden wielki dar i mnóstwo słabości.

Nie jest typem opozycjonisty, nie walczy o zmianę świata, ale nie zakłamuje rzeczywistości. Holland zresztą nie podkpiwa z metod leczenia bohatera, przygląda mu się uczciwie:



bez wielkiej sympatii, bez oceny. Trybik historii, trybik z darem.

Tyle tylko że trybik wkręca się w rzeczywistość, która sama w sobie wydaje się zadumiona, nieszczerze ciekawa, obsikana z każdej strony.

Wnętrza w *Szarlatanie* utrzymane zostały w jednolitej paletce kolorystycznej. Ochry, beże, brązy. Więzienie to także szarości, biele, grafit. Jeżeli w filmie pojawia się słońce, to może jedynie w scenach retrospektywnych, w sekwencjach z młodzińskich lat Janaka, z kilku spotkań z zielarką, a wreszcie z jasnego okresu miłosnego spełnienia.

Tak właśnie, spełnienie. To drugi, może tak ważny dar. Dar współistnienia, chociaż nic na to nie wskazywało. Dar dzielenia się losem i dar odpowiedzialności za los. Dzielonej na pół.

Jan, wycofany, zakompleksiony, ze śladami dawnej urody, spotyka asystenta Františka (w tej roli słowacki aktor Juraj Loj). I będzie to spotkanie, które okaże się definiujące. Z czasem nie tyle może zastąpi, co zrównoważy dar pierwszy.

Asystent najpierw polubi, potem pokocha szefa. Sam rozdarty w relacji z kobietą – mąż i ojciec – będzie musiał wciąż na nowo definiować swoje miejsce w społeczeństwie. I zdecyduje się na bezwzględną lojalność. Aż do końca.

Nie jestem pewien, ale mam wrażenie, że właśnie ta relacja zadecydowała o realizacji filmu. Że dla Agnieszki Holland to właśnie było najważniejsze. W opowieści o Janie i Františku znalazła kolejny uniwersalny temat. Jej temat.

Człowiek w potrzasku, dla którego wyzwoleniem może być namiętność, ale namiętność zderzona z rodzącą się świadomością. Namiętność, a w końcu także uczucie, które nie jest występne, nie jest zakazane, a jednak okazuje się równie niebezpieczne jak dar uzdrawiania. Dwa dary Jana spotkały złe czasy. Nie mogło być tak pięknie.

**Szarlatan** – reż. Agnieszka Holland,

**Scenografia:** Marek Epstein.

**Produkcja:** Czechy/Irlandia/Polska/Słowacja;

**Premiera:** 25 września 2020 (Polska) / 20 lutego 2020 (świat).

**W rolach głównych:** Ivan Trojan (Jan Mikolášek), Juraj Loj (František Palko), Josef Trojan (młody Jan Mikolášek), Jaroslava Pokorná (Mühlbacherová), Joachim Paul Assböck (Fritz Kiesewetter).

**Dystrybucja:** Gutek Film



**Łukasz Maciejewski** - wykładowca na Wydziale Aktorskim Państwowej Wyższej Szkoły Filmowej, Telewizyjnej i Teatralnej im. Leona Schillera w Łodzi. Dyrektor artystyczny festiwalu Kino na Granicy w Cieszynie, ambasador projektu „Kultura Dostępna w Kinach”, kurator filmowy Małopolskiego Ogrodu Sztuki w Krakowie, członek kapituły Paszporty Polityki w kategorii „Film”, członek Europejskiej Akademii Filmowej i Międzynarodowej Federacji Krytyków Filmowych FIPRESCI.





Polski kształt dialogu, rys. Andrzej Zaręba



# Zapraszam do raju

Tekst: Mieczysław Czuma

**A wszystko przez Adama i Ewę. Od kiedy nasi prarodzice wygnani zostali z raju, na całe ich potomstwo spadły najpaskudniejsze choroby. Do ataku ruszyły legiony bakterii i wirusów, co pewien czas ludzkość zalewana jest przez niepohamowane epidemie i pandemie.**

Aby ratować wyniesiony na szczyty przez ewolucję ludzki gatunek, nauka powołała pod broń przemożny przemysł farmaceutyczny. Ładujemy więc w siebie całe tony przeróżnych pastylek, drażetek, tabletek i to we wszystkich smakach, kształtach i kolorach. Te arcydzieła sztuki chemicznej wcale nie są obojętne dla naszego organizmu, z tymi syntetycznymi dobrodziejstwami pracowicie zmagać się musi nasza wątroba. I jak tu nie żałować utraconego raju?

Ale – uwaga, uwaga – można i dziś taki osobisty, przyjazny raj sobie zafundować. Podpowiadam oto, można zawrzeć przyjaźń z rodzimymi kwiatami i ziołami, którymi właśnie latem otacza nas przyroda. Odwołuję się przy tym do najwyższych autorytetów naukowych. Tajemnica dobroczynności ziół tkwi w tym, że zawarty w nich chlorofil i będąca fundamentalnym składnikiem ludzkiej krwi hemoglobina mają taką samą budowę atomową, łatwo się ze sobą łączą, szybko nawzajem wchłaniają. Pionierskie badania w tej dziedzinie prowadził Leon Marchlewski, nasz człowiek, światowej sławy uczony, rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego w latach 1926–1928. Wsławił się poszukiwaniem dowodów na chemiczną jedność świata zwierząt i roślin. Ten ojciec polskiej szkoły biochemicznej, młodszy brat znanego rewolucjonisty Juliana Marchlewskiego, dwukrotnie nominowany był do Nagrody Nobla. Za jego wskazaniem namawiam więc do zawarcia przymierza z ziołami, które leczą, krzepią i nie rujną wątroby.

A więc zapraszam do raju, tego naszego, pobliskiego. Pachną lasy, kwitną łąki, owocują pola. Przyroda oddaje nam to, co utracili Adam i Ewa. Zawrzyjmy przyjaźń z kwiatami, które naznaczone zostały jakże wymowną symboliką. Róża uchodzi więc tradycyjnie za znak miłości, dalia (georgia) jest wyrazem bogactwa, słonecznik przedstawia obfitość i boską aureolę, chabry to skromność, astry to przyjaźń. Tę listę można wydłużać w nieskończoność...

Nie inaczej jest z wymową, jaką obdarzane bywały i nadal obdarzane są rozmaite zioła. Bylica, przydrożny chwast, to w lecznictwie ziele życia, a w czarnej magii to trucizna przyprawiająca o szaleństwo i przynosząca śmierć. Uważano ją za roślinę księżycową, której spalanie pomagało odganiać zły los. Mirt symbolizował dziewictwo i młodość, płodność i szczęście, ale też wyrażał dwa przeciwieństwa, zarówno życie, jak i śmierć. Wrotycz (zwany także piżmem lub piżmowym ziołem) miał wzmacniać siły i pomagać zachowywać zdrowie. Ruta cieszyła się sławą uniwersalnego leku, była amuletem chroniącym od złej mocy czarów. To także znak niewinności i dziewictwa. Dziurawiec był powszechnie uważa-

ny za ziele święte, wierzono, że wypędza złe duchy. Kwiat dziewanny zawsze przypisywany był właśnie Dziewannie, starosłowiańskiej bogini dziewic, będącej uosobieniem władzy ducha nad ciałem. Wyjątkowe cechy przypisywano makowi, który uchodził za symbol nocy, zapomnienia, snu i ciszy, wyraźnie odnosił się do zaświatów. I tę listę można jeszcze wydłużać o wiele przykładów...

W naszym klimacie jesienią najczęściej dokuczają nam przeziębienia. Na to schorzenie dobrze działa

**Tajemnica dobroczynności ziół tkwi w tym, że zawarty w nich chlorofil i będąca fundamentalnym składnikiem ludzkiej krwi hemoglobina mają taką samą budowę atomową, łatwo się ze sobą łączą, szybko nawzajem wchłaniają.**

kora wierzby, która zawiera salicylany i zastępuje aspirynę. Kaszel leczy biały bez i prawoślaz. Malina obniża temperaturę, lipa działa napotnie. Na dolegliwości dróg oddechowych dobry jest syrop z młodych pędów sosny. Melisa i waleriana uspakajają, dziurawiec wspomaga wątrobę, mięta ułatwia trawienie, mniszek lekarski oczyszcza krew i osłania wątrobę. Wspomniana kora wierzby leczy także bóle stawów, a szaflwia odkaża i działa przeciwzapalnie. Na bóle menstruacyjne najlepszy jest wyciąg z pnączy ogórecznika lub olej z wiesiołka, na zapalenie pęcherza moczowego doskonałe są soki z żurawiny. Sercu pomaga głóg i waleriana. Itd., itd.

Wszystkim, którzy znajdą drogę do raju – życzę nieustającego zdrowia.



**Mieczysław Czuma** – profesor krakauerologii, redaktor niehabilitowany.

# Na nowo

Tekst: Magda Miśka-Jackowska

**Wspaniałe kobiety tworzą w Warszawie teatr mimo wszystko. Mimo fatalnych dla kultury wirusowych okoliczności, braku logiki w odmrażaniu i planowaniu wydarzeń, stęsknionej, ale pełnej obaw publiczności.**

Obie znam osobiście i obie podziwiam za upór, pomysły oraz energię. Dodam od razu, że te kobiety, które same są aktywnymi artystkami, nie działają na rzecz jednego przedsięwzięcia. To są dwa różne miejsca, więc tym większy podziw. Okazuje się, że i na pustyni może się coś urodzić.

Pierwsza z nich, stosując kolejność wyłącznie przypadkową, to Paulina Janczak, wspaniała aktorka i wokalistka teatru musicalowego w Polsce. Znana doskonale widzom warszawskiej Romy, gdzie śpiewała między innymi w słynnym *Upiorze w operze* jako najmłodsza na świecie Christine. Zna ją i uwiel-

Dziś liczą się nie tylko ciekawe plany repertuarowe, aktorzy, piękna sala, ale także to, w jaki sposób widz będzie mógł czuć się komfortowo pod względem zdrowotnym. Mają pomoc sprowadzane specjalnie z zagranicy „mgły” oczyszczające wnętrze, osiadające na każdym skrawku powierzchni. Przeróżające, ale poważne są dziś zmartwienia ludzi, którzy chcą proponować kulturę innym.

bia publiczność Syreny, Opery i Filharmonii Podlaskiej, Teatru Polskiego w Warszawie, Teatru Muzycznego w Lublinie i wielu innych scen. Całe jej bogate doświadczenie artystyczne mieści się w zaledwie 30 latach życia. I gdy świat stanął, ona zaczęła jeden z najbardziej kreatywnych okresów. Dzwoniła, wymyślała, przecierała nieznane sobie dotąd szlaki w nowoczesnej technologii i szybko zaprosiła publiczność na koncerty w swoim Wirtualnym Teatrze. Tak, wszystko się tam dzieje online, ale jest w tym taka intymność i staranność, że nie przypomina to tworzonych w sieci koncertów, które nas w pewnym momencie zalały. Ten teatr – poza tym, że oferuje premiery – jest też swojego rodzaju biblioteką wydarzeń, do których można wracać. Nie ma co liczyć na pompę, spotkanie oko w oko z artystą jest tutaj największą wartością. Na razie są to koncerty, takie osobiste śpiewanie między innymi Zbigniewa Zamachowskiego, Edyty Krzemień, Basi Gąsienicy Giewont i samej Pauliny. Artystów przybywa z każdym tygodniem.

Kiedy się spotykam z Pauliną, najpierw widzę zawsze jej uśmiech, a z bliska widać też zachwycające samozaparcie. W nadzwyczajnej sytuacji, jaką była i nadal jest pandemia, ona chyba nigdy nie rozłożyła bezradnie rąk.

Druga moja bohaterka też nie. Jej ręce są zresztą cały czas czymś zajęte, więc nawet sobie tego nie wyobrażam. Beata Kawka, wspaniała aktorka i od lat również pełen pasji menager licznych wydarzeń kulturalnych, została dyrektorką artystyczną Sceny Relax i odradzającego się Teatru Małego, który stworzył Adam Hanuszkiewicz jako scenę kameralną Teatru Narodowego.

Szczęśliwie dla sztuki i nas wszystkich, głodnych jej okropnie, w podziemiach Domów Towarowych Centrum nie powstały delikatesy. Latem trudnego 2020 roku to miejsce Beata Kawka zaczyna wypełniać próbami, aktorami, śpiewem, aby jesienią mogła ruszyć z pełną parą Scena Relax, a zaraz potem na nowo Mały. Również pół wieku temu otwarto tam kultowe kino Relax, kiedyś najpopularniejsze i największe w całej Warszawie. Nowe miejsce ma być hybrydą i prezentować muzykę, stand-up, teatr, a nawet rewię. Wszystko, co atrakcyjne w nowych warunkach, spełniających wszelkie wymogi bezpieczeństwa. Bo dziś dla takiej sceny liczą się nie tylko ciekawe plany repertuarowe, aktorzy, piękna sala, ale także to, w jaki sposób widz będzie mógł czuć się komfortowo pod względem zdrowotnym. Mają pomoc sprowadzane specjalnie z zagranicy „mgły” oczyszczające wnętrze, osiadające na każdym skrawku powierzchni. Przeróżające, ale poważne są dziś zmartwienia ludzi, którzy chcą proponować kulturę innym.

Beata Kawka się nie poddaje, bo Scena Relax miała wystartować wiosną, potem latem, wreszcie wczesną jesienią. Nie analizuje tego, na co nie ma wpływu, działa tam, gdzie może. Do udziału w pierwszych premierach zaprosiła wielu młodych, zdolnych artystów – jak mówi „spod gabinetów dyrektorów teatrów”. Na pierwszy ogień idą *Jaskółeczka* Tadeusza Słobodzianka, *Małe zbrodnie małżeńskie* Erica-Emmanuela Schmitta (w których gra z Mirosławem Zbrojewiczem), *Tajemnica Tomka Sawyera* i *Abonament na szczęście* oparty na tekstach Agnieszki Osieckiej. Na koniec roku szykują sceniczną adaptację *Seksmisji*.

O tym wszystkim Beata Kawka opowiada mi w siedzibie swojej fundacji, która działa na rzecz edukacji artystycznej. A ja piszę ten felieton dokładnie 76 lat od 4 sierpnia, gdy zostawiono tam dwie ranne dziewczyny i podpalono budynek. Dziewczyny z fundacji, też dwie, palą im świeczki w oknie. I na innych gruzach, niewidocznych gołym okiem, budują kulturalną Warszawę na nowo.



**Magdalena Miśka-Jackowska** – autorka wielu programów poświęconych sztuce filmowej, jako konferansjerka związana z licznymi wydarzeniami kulturalnymi w całym kraju, fanka muzyki filmowej i Krakowa.

# Dziennik pandemiczny: 1 sierpnia 2020 roku

Tekst: Iga Dzieciuchowicz

– Nic mi się nie stało. Udało mi się uciec. Wejdz na mojego fejsa. Wrzuciłem tam filmik. Będziesz wiedziała, co z nim zrobić – słyszy Nina w telefonie.

Z e słuchawki dolatuje jeszcze jakiś chrobot, po czym sygnał wygasa na dobre. Widelec Niny zawisa w powietrzu nad małżą w gorgonzoli. W Krakowie jest miejsce, gdzie codziennie podają świeże owoce morza prosto z Toskanii. Są nawet owiane złą sławą ośmiorniczki, które Nina zamawia za każdym razem na przystawkę. Pyta wtedy kelnera, czy wszystkie podsłuchy w lokalu są już włączone i konfidencjonalnym szeptem pozdrawia prezydenta oraz cały obóz partii rządzącej. Kelner, który zwykle zaśmiewa się z tych żartów, tego popołudnia nie jest w najlepszym humorze.

– To moja ostatnia zmiana, pojutrze mam samolot do Berlina – mówi, zamaszycie rozkładając przed Niną kartę win.

Na profilu przyjaciela znajduje filmik. Mateusz Mazzini jest reporterem i właśnie idzie w marszu nacjonalistów z okazji rocznicy powstania warszawskiego. Nina puszcza „play”. Na filmiku ulice Warszawy, tłum i wrzaski. Ktoś nożem rozdziera tęczową flagę z symbolem Polski Walczącej. Mazzini pisze pod filmikiem:

„Flagę zrzuciono, podarto i chciano podpalić, ale w jej obronie stanęła jedna kobieta. Na kobietę rzuciło się kilkanaście osób – mężczyzn i kobiet – wyzywających ją między innymi od kurew jebanych. Policja, obecna na marszu w setkach, długo nie interweniowała. Potem kobietę przed tłumem chronił jeden policjant”. Wideo w ciągu paru godzin ogląda ponad 200 tys. osób. Pod postem komentarze: „Nie chcę takiej Polski...”.

Nina długo zastanawia się nad tym zdaniem. Polska? Tak, był kiedyś taki kraj. Ninie wydawało się przez lata, że zna go całkiem dobrze, ale to przekonanie okazało się jedną z wielu jej życiowych pomyłek. Czasem jeszcze spotyka ludzi, którzy też tę starą Polskę pamiętają i mówią w pradawnym dialekcie, polskim języku izolowanym. Przynależy on do określonej rodziny, ale wewnątrz niej nie jest spokrewniony z żadnym innym istniejącym językiem. Parę lat temu wpisano go do rejestru języków zagrożonych wymarciem. W tym starym języku, którym mówią już tylko szaleńcy, jak plemienne zaklęcia brzmią słowa: Mazowiecki, Bartoszewski, Geremek. Są też inne słowa, których znaczenie trudno dziś rozszyfrować. W zakurzonych słownikach błędą: wolność, równość, demokra-

cja. Dziś nikt ich już nie używa, nie wiadomo nawet, jak je wymówić. Mimo to Nina codziennie wkuwa trzydzieści, a może nawet czterdzieści najważniejszych słówek, byle nie zapomnieć. Uczy syna tego dawnego dialektu, może mu się kiedyś przyda? To przecież język uniwersalny. Nina wciąż wierzy, że jak będzie znał go biegle, to się na całym świecie z ludźmi dogada. Może jest naiwna?

W starym języku, którym mówią już tylko szaleńcy, jak plemienne zaklęcia brzmią słowa: Mazowiecki, Bartoszewski, Geremek. Są też inne słowa, których znaczenie trudno dziś rozszyfrować. W zakurzonych słownikach błędą: wolność, równość, demokracja. Dziś nikt ich już nie używa, nie wiadomo nawet, jak je wymówić.

– Dlaczego pan wyjeżdża? – pyta Nina kelnera, wycierając bułką sos z dna talerza.

– Bo tu też jestem turystą – odpowiada.

Nina po raz pierwszy czuje, że znalazła słowo klucz określający jej stan, który powoli zamienia się w tożsamość. Jest Turystką. Żyje niby w swoim, ale przecież w obcym kraju. Niby to Polska i to Polska, ale tych nowych zwyczajów, języka i tradycji zupełnie nie rozumie i chyba nawet nie chce już pojąć. Ma nowy paszport, ale traktuje go jak wizę turystyczną. Są w nim wizerunki samych mężczyzn i hasło „Bóg, Honor, Ojczyzna”. Brakuje tylko książeczki z ostrzeżeniem, czego absolutnie nie wolno w tym obcym kraju: rozwodzić się, nie chcieć mieć dziecka, ubierać się na kolorowo, nie wierzyć w Boga, kochać, kogo się chce.

Nina rano znów wkuwa kolejne słowa z zapomnianego dialektu: miłość, praworządność, przyszłość. Najtrudniej wymówić „ojczyzna”.



Iga Dzieciuchowicz – teatrolożka i feministka. Publikuje w „Dużym Formacie”, „Tygodniku Powszechnym”, portalu Onet.pl i „Codzienniku Feministycznym”. Współautorka książki *Bartoszewski. Droga*.





Zośka Papużanka powiedziała w wywiadzie, że jest trudnym człowiekiem. Niektórzy twierdzą też, że jest trudnym autorem, czyli że jej książki trudno się czyta. Ostatnia powieść (podobnie jak poprzednie) przeczy takim twierdzeniu. Papużanka ma specyficzny sposób wypowiedzi, ale pod względem kompozycji perfekcyjnie dopracowany. Każde słowo ma u niej wagę i przeciwagę. Punkt i kontrapunkt. Akcja rozwija się niespiesznie. Ta proza to ustawiczne oscylowanie między dosłownością a ironią, żartem a wzruszeniem, a w tej powieści szczególnie między precyzją obserwacji szczegółu a wizją zamotanych intencji u bohatera. A może antybohatera. Bo z bohaterem *Przez* trudno się utożsamić, choć jednocześnie czujemy, jakby został stworzony z części nas samych, z naszych lęków, kompleksów, fobii. Wchodzimy w jego subiektywny świat, zaczynamy podążać za jego myślami, oczekiwaniami i nagle sami stajemy się podglądaczami cudzego życia. Bezwiednie stajemy się uczestnikami nielegalnego procederu fotografowania osoby – bez jej wiedzy i zgody. Cóż z tego, że własnej żony? Kto wydał jemu, nam, takie przyzwolenie? Pogwałcenia norm etycznych czy moralnych zawłości bohater jednak nie roztrząsa. Stawia się ponad lub raczej poza nimi. Ale te pytania pozostają. Nadal drążą, domagają się odpowiedzi. Dlaczego ludzie gotują sobie nawzajem taki los?

Elżbieta Wojnarowska

Zośka Papużanka, *Przez*, Marginesy, Warszawa 2020.

Jest o tym, jak wyglądały uroczystości żałobne studenta praskiego uniwersytetu Jana Palacha, który spalił się po sowieckiej inwazji na swój kraj w 1968 roku. I o tym, jak rodziła się w Czechosłowacji Karta 77, czyli jawna demokratyczna opozycja. O tym, jak nielegalnie wyświęceni duchowni odprawiali msze w kotłowniach i mieszkaniach – i o napięciach między podziemnym Kościołem a duchownymi aprobowanymi przez władze. Jest o policyjnej inwigilacji i o tym, jak trudno było intelektualistom z komunistycznego państwa utrzymać kontakt z kulturą wolnego świata.

Jest też o odzyskaniu wolności Jesienią Ludów 1989 roku. I o tym, jak autor – katolicki ksiądz! – mógł w 1998 roku zostać prezydentem Republiki Czeskiej z namaszczenia Václava Havla. Jest o ludziach, z którymi się zetknął, a niekiedy przyjaźnił: Havlu, Janie Pawle II, Dałajlamie i innych wielkich polityki, filozofii i myśli religijnej przełomu XX i XXI wieku.

Są i wątki krakowskie. Choćby o potajemnym wyświęcaniu właśnie tu czeskich księży. I o morawskim calvadosie, który w darze od nich miał trafić na ul. Franciszkańską na stół kardynała Wojtyły, lecz został wypity na wieść o wyborze Polaka na papieża. Jest o fascynacji ówczesnym „Tygodnikiem Powszechnym” i późniejszych już dyskusjach z ks. Józefem Tischnerem.

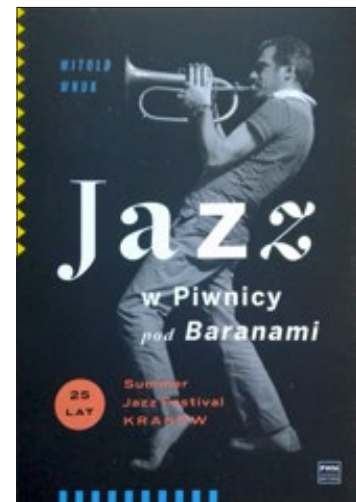
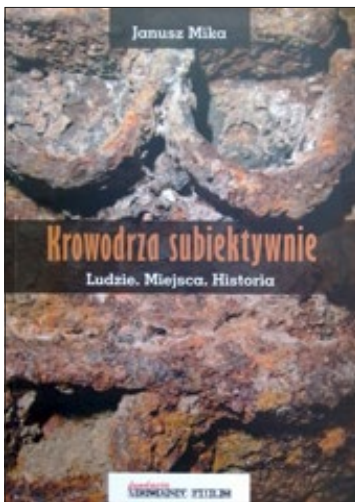
Są wreszcie rozważania o ateizmie, dialogu między religiami, wolności myślenia. I o wizji chrześcijaństwa. Jakże innej niż ta dominująca dziś w Polsce. Tu Tomáš Halík raczej nie mógłby być księdzem. (kb)

Tomáš Halík, *Od podziemnego Kościoła” do labiryntu wolności. Autobiografia*, Znak, Kraków 2020.

15 sierpnia 1864 roku podczas przeprawy przez Wisłę pod Czernichowem przeładowana pielgrzymami wracającymi z Kalwarii Zebrzydowskiej krypa przelamała się i utonęło ponad 100 osób. Był wśród nich Feliks Boroń, chłop z podkrakowskiego Kaszowa, który przemierzył Europę, docierając do Rzymu, Paryża, Wiednia, a w końcu do Ziemi Świętej. Dwukrotnie przyjmował go papież Pius IX. Po drodze spotykał Polaków: żołnierzy stacjonujących w jednostkach wojskowych w granicach c.k. Austrii, zakonników, pielgrzymów, w końcu emigrantów powstańczych. Gdy wracał z Ziemi Świętej, w Rzymie gościli go ojcowie zmartwychwstańcy, będąc w Warszawie pomieszkiwał w kapucynów, a na Jasnej Górze u paulinów. Przyjmowali go książęta Władysław Czartoryski, Adam Zamoyski, Władysław Zamoyski, Aleksander Przeździecki, gen. Józef Szymanowski czy ks. Hieronim Kajsewicz. Stał się znany do tego stopnia, że ziemianin z Królestwa Polskiego Władysław Małachowski ofiarował mu gospodarstwo. Relacje Boronia z podróży spisał i opublikował dziennikarz krakowski Walery Wielogłowski. Musiały być dość popularne, bo doczekały się trzech edycji. Współczesnym sylwetkę Boronia i historie jego pielgrzymowania przypominał wybitny historyk prawa i Galicji prof. Stanisław Grodziski (1929–2020). Niedawno ukazało się kolejne wydanie jego opowieści wzbogacone tym razem o piękne ryciny i fotografie Zbigniewa Kosa.

Janusz M. Paluch

Stanisław Grodziski, *Feliksa Boronia pielgrzymka do historii*, Kraków 2020.



Krowodrza to dzielnica Krakowa, której mieszkańcami byli Helena Modrzejewska, Władysław Reyman, Wisława Szymborska, Jerzy Binczycki, prof. Wiktor Zin. To w tutejszym Szpitalu Wojskowym w 1914 roku zmarł na wywołaną wojną depresję jeden z najciekawszych w XX wieku poetów języka niemieckiego Georg Trakl (wtedy porucznik c.k.).

Najstarszy budynek pochodzi z XIV wieku, ważnym punktem jest Akademia Górniczo-Hutnicza, ale też Park Krakowski. A w czasie okupacji na Krowodrzy powstało około 100 przedniej jakości bloków mieszkalnych dla urzędników Generalnego Gubernatorstwa i mieściła się siedziba (oraz katownia) gestapo.

Janusz Mika sportretował swoją „dzielnię” przez reportażowe portrety bądź rozmowy z jej mieszkańcami – bardziej i mniej znanymi, lecz zawsze tworzącymi koloryt miejsca. Opowiadają o sobie i swojej dzielnicy chociażby artyści – Anna Dymna, Beata Rybotycka, Łukasz Orbitowski, Jorgos Skolias i Tomasz Schimscheiner. Jest też o lokalnych klubach sportowych (i to nie tylko o Wiśle), rzemieślnikach, tradycjach muzycznych.

Dobór bohaterów, tez i wątków jest mocno subiektywny, siłą rzeczy więc nie jest to wyczerpujący obraz Krowodrzy. Lecz na pewno zróżnicowany. Czasem wciąż trudny – tak jest, gdy czyta się wywody, jakoby skala polskiego antysemityzmu była wymysłem komunistów, a książki Jana Grossa to „skandal podsycany przez środowiska niemieckie”. Taka jest Polska, taka jest i Krowodrza. (kb)

Janusz Mika, *Krowodrza subiektywnie. Ludzie. Miejsca. Historia*, Fundacja Promocji Kultury „Urwany Film”, Kraków 2020.

„Pani Marzena Drejer z Chorzowa na diagnozę czekała dość długo. Kiedy wreszcie ją usłyszała, postanowiła nie poddawać się i działać. – Przechywałam, że wyniki nie będą dobre. Kiedy przeczytałam, że możliwe są przerzuty, pomyślałam sobie: »Powinnam chyba płakać?«. Wydusiłam na siłę kilka łez, ale zaraz mój mąż powiedział, że nie ma co płakać, trzeba walczyć. (...) Dzisiaj bardziej cieszę się z drobnostek – mówi”.

Podtytuł tej zaskakującej książki to 100 historii chorych na szpiczaka plazmocytozy na 100-lecie odzyskania przez Polskę niepodległości. Ale raczej należy pochwalić pomysłodawcę, doktora Artura Jurczyszyna z hematologii Szpitala Uniwersyteckiego w Krakowie: tak, nauczmy się mówić o chorobach nie tylko ckliwie, ale i bojowo, łącząc je nie tylko z czymś smutnym, ale i chwilami, które pozwalają nam pomyśleć o zwycięskiej walce. Tym bardziej że – jak pisze dr Jurczyszyn – dziś średnia długość życia ze szpiczakiem to 7–10 lat, a jeszcze kilkanaście lat temu były to zaledwie 3–4 lata.

Cieszyć się też należy, że projekt został przeprowadzony ponadśrodotkowo – teraz pozostaje tylko mieć nadzieję, że ktoś z nowo rozpoznaną chorobą po przeczytaniu tej książki nabierze sił do walki z nowotworem.

Dodatkową satysfakcją jest to, że wśród autorek książki jest nasza współpracowniczka Karolina Gawlik. (wb)

*Wszystkie twarze szpiczaka* – wywiady przeprowadzili: Katarzyna Kojzar, Marcel Wandas, Karolina Gawlik i Nicole Makarewicz, Fundacja Centrum Leczenia Szpiczaka, Kraków 2018.

Kraków to miasto jazzu. Kiedy w 1956 roku w piwnicy na węgłach Pałacu pod Baranami zaczęli spotykać się wolni artyści i twórcy, pojawili się w niej także „pierwsi apostołowie i egzegeci” jazzu: Tyrmand, Skarżyński, Eile czy Kisielewski. Za nimi ścignęli muzycy. Najpierw grali do tańca swing. Potem zaczęli proponować nowocześniejsze brzmienia. W Piwnicy występowali ówczesni najwięksi: Komeda, Trzaskowski, Kurylewicz, a Wanda Warska udzielała się zarówno w kabarecie, jak i jako wokalistka jazzowa właśnie. W następnych dekadach grywali między innymi Seifert i Stańko, a w końcu jazz-rockowcy z Laboratorium i wyznawcy world music z Osjan. Już taka historia może być pasjonująca, zwłaszcza jeśli ze swadą (bywa, że plotkarsko) relacjonuje ją jeden z uczestników piwnicznego życia jazzowego.

Książka Witolda Wnuka jest także opowieścią o współczesnej kontynuacji tej tradycji w postaci Letniego Festiwalu Jazzowego. Prócz wspomnień czysto muzycznych można dowiedzieć się chociażby, co sprawia, że do Krakowa udało się (a w zasadzie udaje Wnukowi jako organizatorowi Summer Jazz Festival) ścignąć największe dziś sławy klasy Charlesa Lloyda, Pharoaha Sandersa i Branforda Marsalisa. Jak się okazuje, decydują nie tylko honoraria, ale także urok miasta – i jego coraz większa jazzowa sława. Wszak Kraków to miasto jazzu. (kb)

Witold Wnuk, *Jazz w Piwnicy pod Baranami. 25 lat Summer Jazz Festival*, Polskie Wydawnictwo Muzyczne, Kraków 2020.





# Lokomotywą przez świat Jana Marcina Szancera

Tekst: Magda Huzarska-Szumiec Zdjęcia: Piotr Banasik

**Wystawa Szancer, wyobraź sobie! w Żydowskim Muzeum Galicja spowoduje, że ubędzie wam lat. Sprawi to już sam widok lokomotywy przejeżdżającej przez ekspozycję.**

Jeżeli pamiętacie błogi czas, kiedy z trudem syla-  
bizując, czytaliście *Lokomotywę* Juliana Tuwima,  
nie mogąc oderwać oczu od czarnej jak smoła ma-  
szyny na okładce, to ta wystawa jest dla was. Jeżeli  
pamiętacie ekscytację na twarzach waszych dzieci,  
które razem z wami przeżywały przygody odzia-  
nego w prążkowane spodnie profesora Ambrożego  
z *Akademii Pana Kleksa* Jana Brzechwy, to ta wysta-  
wa także jest dla was. Jeżeli waszym wnukom trudno  
sobie wyobrazić *Pinokia* z książki Carla Collodiego  
inaczej niż w białej, sterczącej na głowie czapeczce,  
to biegnijcie do Żydowskiego Muzeum Galicja na wy-  
stawę *Szancer, wyobraź sobie!* I zabierzcie ze sobą  
wszystkie znane wam nieletnie istoty. Inaczej wam  
nie wybaczą.

A to dlatego, że w Muzeum Galicja mają szansę  
znaleźć się w świecie Jana Szancera wyjętym pro-  
sto z jego ilustracji. Będą tu mogły odgrywać swo-  
ich bohaterów w teatrzyku cieni, ale też przebierać  
się w kostiumy nawiązujące do strojów ulubionych  
postaci. Takich niespodzianek jest na wystawie mnó-  
stwo i są one adekwatne do poszczególnych jej czę-  
ści. A wszystko zaczyna się przed wojną pod Wa-  
welem, w żydowskiej rodzinie, w której przyszedł  
na świat mały Janek. „Urodziłem się w Krakowie.  
Kiedy bocian niosąc koszyk z dzieckiem, przelaty-  
wał nad wieżami miasta, wychyliłem się i zawo-

łałem z zachwytem: »Ach, jak tu pięknie!«. Wtedy  
bocian upuścił mnie akurat nad domem przy ulicy  
Szlak 53” – pisał w autobiografii twórca.

Dzieciństwo Jasia dzieciaki poznają dzięki wrę-  
czanej im przy wejściu kasecie magnetofonowej.  
W posługiwaniu się analogowym, nieznanym im  
sprzętem będą musieli, przynajmniej na pierwszej  
stacji, pomóc im rodzice albo ktoś z muzeum. Ale już  
na następnej z pewnością poradzą sobie same. A tam  
poznają wojenne przeżycia Janka. Mają szansę je tro-  
chę rozpoznać, kolorując czarne kleksy, które spa-  
dły na ziemię ze zwisających z sufitu bomb. Gdy do-  
trą do kolejnej stacji, dowiedzą się, jakie bajki pan Jan  
ilustrował po zakończeniu okupacji i czym zajmował  
się w telewizji, w teatrze i na planach filmowych.  
Prawdopodobnie jak on zechcą na kartkach opisać  
swoje pragnienia i zawiesić je na drzewku marzeń.

Ja także to zrobiłam i radzę to samo wszystkim  
dorosłym, gdy już oderwą się od przeznaczonej dla  
nich biografii Szancera, umieszczonej w zwisających  
z sufitu prostokątach. Daję słowo, że każdy w tym  
bajecznie kolorowym świecie wyobraźni ilustratora  
znajdzie swoje miejsce i poczuje w sobie choć przez  
chwilę zwykłą, dziecięcą radość.

Wystawa *Szancer, wyobraź sobie!* w Żydowskim Mu-  
zeum Galicja potrwa do 15 lipca 2021 r.



# Dama Krakowa

**Tekst:** Magda Huzarska-Szumiec **Zdjęcie:** Grzegorz Kozakiewicz

**Zmarła Marta Stebnicka (1925–2020), aktorka, która była pomostem między *fin de siècle* a naszymi czasami.**

Kto miał szczęście widzieć ją na scenie, nie zapomni tego błysku w oku, który sprawiał, że trudno było oderwać od niej wzrok. Te igrające w źrenicach iskry rozświeślały się, gdy zaczynała śpiewać ukochane francuskie piosenki. Bo choć Marta Stebnicka na co dzień wyglądała i zachowywała się jak dama, to na scenie wstępował w nią „diabeł”, opanowywało ją aktorskie szaleństwo, które udzielało się widzom.

Ale trzeba było mieć to „coś”, żeby wpaść w oko Tadeuszowi Kantorowi, który już w czasie wojny zaangażował ją do swojego konspiracyjnego teatru, dając zadebiutować w *Balladynie*, a potem zapraszając do udziału w *Powrocie Odysa*. Nie było chyba lepszego miejsca, by połączyć bakcyła sceny. Nic więc dziwnego, że zaraz po okupacji Stebnicka wstąpiła do Studia Aktorskiego przy Starym Teatrze. W latach 60. ubiegłego wieku wróciła na scenę przy Jagiellońskiej, gdzie publiczność oklaskiwała ją jako Marcelinę w *Psie ogrodnika* czy Margot w *Heloizie i Abelardzie*.

Aktorka z prawdziwą pasją zbierała i opracowała dziesiątki starych piosenek, z których powstawały jej recitale. Ich tytuły mówią same za siebie: *Dama z Montmartre’u* czy *Evi-val’arte*. Niektóre sama reżyserowała, także ze studentami szkoły teatralnej, gdzie prowadziła zajęcia. Przychodząca na dyplomy publiczność po takich spektaklach jak *Titina* czy *Księżycowe pierrotty i nocne kolombiny* nie chciała opuszczać widowni.

- Marta była pomostem między *fin de siècle* a naszymi czasami - mówi Józef Opalski. Dodaje, że aktorka żyła w dwóch światach - teatru i literatury, z którego wywodził się jej mąż Ludwik Jerzy Kern. Sama też zresztą sięgnęła po pióro, wydając swego rodzaju sztambuch *Polowanie na wachlarze*. Których skądinąd, jak na damę przystało, posiadała imponującą kolekcję. Swoje pierwsze spotkanie z wachlarzem tak opisała: „Dostał się w moje ręce biały, ze strusich piór, drżący jak motyl, schowany w szkielecie z ażurowych pałeczek masy perłowej. Było to w roku 1949, na scenie Teatru im. Juliusza Słowackiego w czasie próby sztuki Jarosława Iwaszkiewicza *Maskarada*”. Od tego zaczęło się jej ponad 40-letnie wachlarzowe szaleństwo. Dzielnie znosił je mąż, który z właściwym obydwójgu humorem tak pisał o żonie w *Imionach nadwiślańskich*:



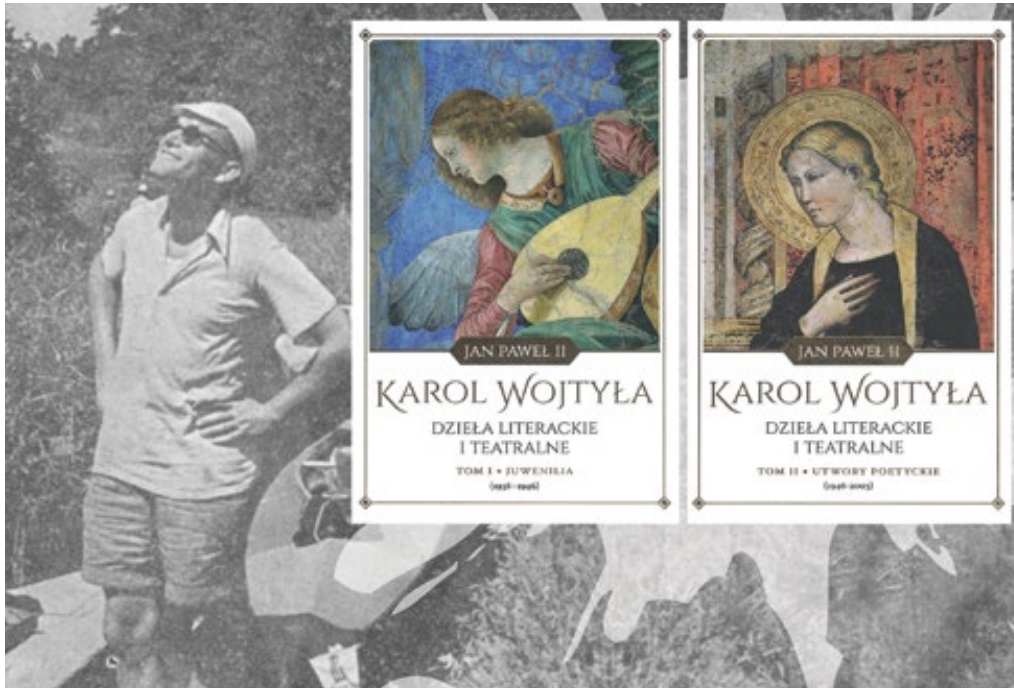
## Marta

Co byłby ten świat wart,  
Gdyby nie było Marty?  
Niewiele,  
Mimo że Marty  
Bywają jak miód,  
Jak chrzan tarty,  
Jak piołun,  
Lub szampanskoje  
A to zależy od tego,  
Jakie też dnia konkretnego  
Miewają Marty nastroje.  
W dodatku niektóre Marty  
Charakter mają uparty,  
Ale z tym można sobie dać radę  
W przeciągu kilku tygodni,  
Jeśli się tylko postarasz,  
Być bardziej upartym od nich.

# 2020 – rok Jana Pawła II

Tekst: Janusz M. Paluch

**Pisał po to, by pełniej zrozumieć własne życie i dokonane wybory.**



Karol Wojtyła na spływie kajakowym (autor nieznany, za: Wikimedia Commons)

W maju 2015 roku kardynał Stanisław Dziwisz powołał Komitet Naukowy Wydania Krytycznego Dzieł Literackich Karola Wojtyły – Jana Pawła II. Przewodniczącym został prof. dr hab. Jacek Popiel, a w skład zespołu weszli: dr Marta Burghardt, dr Stanisław Dziedzic, dr Anna Karoń-Ostrowska, ks. prof. dr hab. Jan Machniak i prof. dr hab. Zofia Zarębianka.

Tom I objął literackie dzieła młodego Karola Wojtyły (między innymi *Psalterz Dawidów*, dramaty *Hiob*, *Jeremiasz*, *Przyjaciel naszego Boga*), który w 1938 roku przybył do Krakowa. Jako student filologii polskiej UJ, poeta i dobrze zapowiadający się aktor aktywnie uczestniczył w życiu kulturalnym uczelni i miasta. Wybuch II wojny światowej i okupacja niemiecka bez wątpienia miały wpływ na wybór, jakiego dokonał – poświęcenie życia pracy duszpasterskiej. Choć praca twórcza musiała wtedy zejść na boczny tor, nadal powstawały poezje i utwory dramatyczne, jeśli publikowane, to pod pseudonimami. Sztuka była bowiem „towarzyszką religii i przewodniczką na drodze ku Bogu” – jak pisał w jednym z młodzieńczych listów do Mieczysława Kotlarczyka. Jak zauważa prof. Jacek Popiel, młody Karol Wojtyła poprzez odniesienie się w dramatach do postaci Dawida, Hioba, Jeremiasza usiłował zrozumieć dramaty współczesności – wojny i okupacji niemieckiej. A będąc już kapłanem, pisał po to, by pełniej zrozumieć własne życie i dokonane wybory.

Znamienne przy tym, że – jak dowodzi we wstępie do II tomu (znalazły się tam między innymi utwory *Pieśń o blasku wody*, *Matka*, *Wigilia Wielkanocna 1966*, *Stanisław* i ostatnie dzieło, czyli *Tryptyk rzymski*) prof. Zofia Zarębianka – „granica pomiędzy juveniliami a poezjami późniejszymi zdecydowanie się zaciera, co prowadzi do przekonania o integralnym charakterze i wewnętrznej spójności jego pisarstwa”.

Prof. Zarębianka zauważa też, że odbiór twórczości Wojtyły przebiegał „w specyficzny, niepozbawiony paradoksów sposób – od deprecjonowania po apoteozę”. Przykładem nieprzyjęcie do publikacji w „Znaku” utworu *Promieniowanie ojcostwa*.

Trzeba podkreślić, że redaktorzy edycji dzieł literackich i teatralnych Karola Wojtyły pracowali na oryginalnych papieskich tekstach – rękopisach, maszynopisach i w końcu istniejących publikacjach, by poprzez dogłębną analizę przywrócić utworom autorskie brzmienie. Nie było to łatwe. Śledząc historię publikacji papieskich utworów, dostrzeżemy pełnię tajemnic i dramaturgii.

Jan Paweł II – Karol Wojtyła, *Dzieła literackie i teatralne. Tom I. Juwenilia (1938–1946)*, red. Jacek Popiel, Znak, Kraków 2019.

Jan Paweł II – Karol Wojtyła, *Dzieła literackie i teatralne. Tom II. Utwory poetyckie (1946–2003)*, red. Zofia Zarębianka, Znak, Kraków 2020.

### ■ Widma na strychu pamięci Kantora

Najpierw jest mrok słabo rozświetlany nielicznymi reflektorami, padającymi na biedne obiekty. Idę w ich stronę po drewnianym podeście, który niepokojąco trzeszczy. Te dźwięki nakładają się na kaplącą z zepsutego kranu wodę i skrzywienie starych przedmiotów. Na wystawie *Tadeusz Kantor. Widma*, którą możemy oglądać w Cricotece, czuję się jakbym chodziła po strychu pamięci artysty, który staje się także moim strychem.

Po raz pierwszy w tak przejmujący sposób aranżowano stałą ekspozycję prezentującą dorobek twórcy. Do tej pory w Cricotece podążano za zaleceniami samego Kantora, który pod koniec życia precyzyjnie zaplanował swoje muzeum. Teraz zrezygnowano z chronologii, trzymając się konkretnych motywów, a postawiono na zmysłowy odbiór pochodzących z przedstawiń obiektów, kostiumów, przedmiotów najniższej rangi, które odnoszą się do traumatycznych doświadczeń twórcy związanych z obydwoma światowymi wojnami.

Oś owego teatru śmierci stanowi wspomniany podest. – Ma on wytrącić widza z dobrej kondycji. Stojąc na nim, jesteśmy obserwowani przez obiekty, które wyłaniają się z ciemności – tłumaczy kuratorka Małgorzata Paluch-Cybulska. A są to maszyny pułapki, maszyny tortur, kulomioty, armaty i wszelkiego rodzaju narzędzia opresji. Niektóre z nich nałożono na prześwietlające siatki. Dzięki wyświetlanych na nich rozmazanym obrazom odnośmy wrażenie, iż po wystawie snują się tytułowe widma. Uruchamiają w nas skrywane głęboko lęki, związane z całkiem współczesnymi zagrożeniami, choć przecież wstawa zaczęła powstawać, kiedy nie mieliśmy pojęcia, że nadejdzie pandemia. Ale to, że ta ekspozycja tak bardzo rezonuje z naszym życiem, świadczy o wielkości i uniwersalności sztuki Tadeusza Kantora.

### ■ Zamaskowany teatr

Krakowskie teatry, podobnie jak muzea i galerie, nie poddają się koronawirusowi. W awangardzie najodważniejszych stanął Teatr Ludowy, który dał pierwszą po odmrożeniu instytucji kultury premierę. Nie ukrywam, że na nowohucką scenę szłam z pewnymi obawami, zastanawiając się, jak w reżimie sanitarnym będzie się oglądało przedstawienia. Okazało się, że nie taki diabeł straszny, a rozsądzeni w pewnej odległości od siebie widzowie, w maseczkach na twarzach, w skupieniu oglądali spektakl oparty na *Solaris* Stanisława Lema.

Dla reżysera przedstawienia Marcina Wierchowskiego powieść stała się jedynie inspiracją do luźno z nią powiązanych rozważań dotyczących

tego, jak zamknięcie i związana z nim samotność wpływa na ludzi. Nikt nie dąży tu do poznania tajemnicy cytoplazmatycznego Oceanu, gdyż bohaterowie skupiają się na całkiem realistycznych, prywatnych historiach, rozgrywanych w scenerii nowohuckich mieszkań z czasów PRL-u. Miłośnicy twórczości autora *Solaris* mogą mieć o to pretensje, ale choć Lema tu dość mocno zamaskowano, to spod tej zasłony wyłoniło się ciekawe przedstawienie, zyskujące dodatkowe znaczenia w kontekście izolacji, która nas dotknęła.

### ■ Wybitny kontratenor i Capella Cracoviensis

Pan Bóg nierówno podzielił talenty. Jakub Józef Orliński musiał znaleźć się na początku kolejki, bo dostał znacznie więcej niż wszyscy inni. Nie dość, że jest przystojny, nie dość, że doskonale tańczy break-dance, to na dodatek otrzymał w darze głos, który magnetyzuje najbardziej wymagających słuchaczy. Nie bez powodu ten znakomity kontratenor zapraszany jest więc na takie sceny jak Carnegie Hall czy na imprezy rangi Festival d'Aix-en-Provence. Ostatnio odwiedził także Kraków, a konkretnie Łaźnię Nową, gdzie razem z muzykami Capelli Cracoviensis nagrał płytę dla prestiżowej wytwórni Warner Classics. Znajdą się na niej trzy arie Haendla – z opery *Partenope*, *Tolomeo re d'Egitto* i *Riccardo Primo* oraz *Stabat Mater* Vivaldiego. Efekt pracy krakowskiego zespołu i kontratenora poznamy w przyszłym roku.

### ■ Czeska kreska w Bibliotece Kraków

Dla tych, którzy nie mieli szansy w tym roku wybrać się na zagraniczne wakacje, Biblioteka Kraków przygotowała wyjątkową wystawę. Składają się na nią powiększone okładki i ilustracje książek z serii przewodników, zatytułowanych *Oto jest...* autorstwa czeskiego artysty Miroslava Šaška. Dzięki nim przynajmniej w wyobraźni możemy udać się do tak pięknych miast jak Paryż, Londyn, Nowy Jork, Rzym, Wenecja i Monachium. Ich ekspozycja dostępna będzie do połowy września w kilku filiach Biblioteki Kraków: nr 3 (pl. J. Nowaka Jeziorańskiego 3), nr 21 (ul. Królewska 59), nr 46 (ul. Limanowskiego 4), nr 53 (os. Stalowe 12) oraz nr 56 (os. Zgody 7).

Pochodzący z Pragi Miroslav Šašek z wykształcenia był architektem, ale zajmował się też malarstwem i ilustrowaniem książek. Po wojnie wyemigrował do Niemiec i przez kilka lat pracował w Radiu Wolna Europa. Międzynarodową sławę przyniosła mu seria albumów-przewodników, którą obecnie oglądamy w Krakowie dzięki współpracy Biblioteki Kraków z Ambasadą Republiki Czeskiej, Czeskim Centrum w Warszawie oraz z Wydawnictwem Dwie Siostry.

Opracowała Magda Huzarska-Szumiec





## W następnym numerze:

Chopin ma sens

Szymon Nehring mówi  
o swojej grze

Szlakiem street artu  
w Krakowie

MuFo: kilka zdjęć  
z historiami w tle

Prof. Marta Wyka: wielka  
córka wielkiego ojca

Teatr migowego aktora

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY  
**KRAKÓW**

ISSN 1733-0459 Indeks 388726

Miesięcznik społeczno-kulturalny „Kraków”

**Wybierz Kraków!**

**Nic, co krakowskie, nie jest nam obce**

**Wydawca:** Biblioteka Kraków – dyr. Stanisław Dziedzic. Adres Redakcji i Wydawcy: pl. Jana Nowaka-Jeziorańskiego 3, 31-154 Kraków.

**Kontakt:** tel. 12/61 89 120, 661 22 82 82,

e-mail: redakcja@biblioteka.krakow.pl

[www.miesiecznik.krakow.pl](http://www.miesiecznik.krakow.pl)

**Pismo tworzą:** Jacek Balcewicz, Witold Bereś (redaktor naczelny – witold.beres@biblioteka.krakow.pl), Krzysztof Burnetko (sekretarz redakcji – krzysztof.burnetko@biblioteka.krakow.pl), Piotr Błachut, Mieczysław Czuma, Ewa Danowska, Iga Dzieciuchowicz, Zofia Gołubiew, Paweł Głowacki, Krzysztof Jakubowski, Paweł Kopeć, Ewa Kozakiewiczowa, Ewa Lipska, Majka Lisińska-Kozioł, Wojciech Machnicki, Maria Malatyńska, Magdalena Miśka-Jackowska, Magdalena Oberc, Janusz M. Paluch, Jan Pieszczechowicz (redaktor senior), Sylwia Pyzik, Andrzej Romanowski, Anna Stafiej, Katarzyna Siwiec, Magda Huzarska-Szumiec, Elżbieta Wojnarowska, Anna Woźniakowska, Jakub Wydrzyński

**Fotografowie:** Grzegorz Kozakiewicz, Alicja Rzepa, Piotr Uss Wąsowicz, Danuta Węgiel, Jan Zych.

**Layout:** Igor Banaszewski

**Strona internetowa:** Piotr Rachwaniec

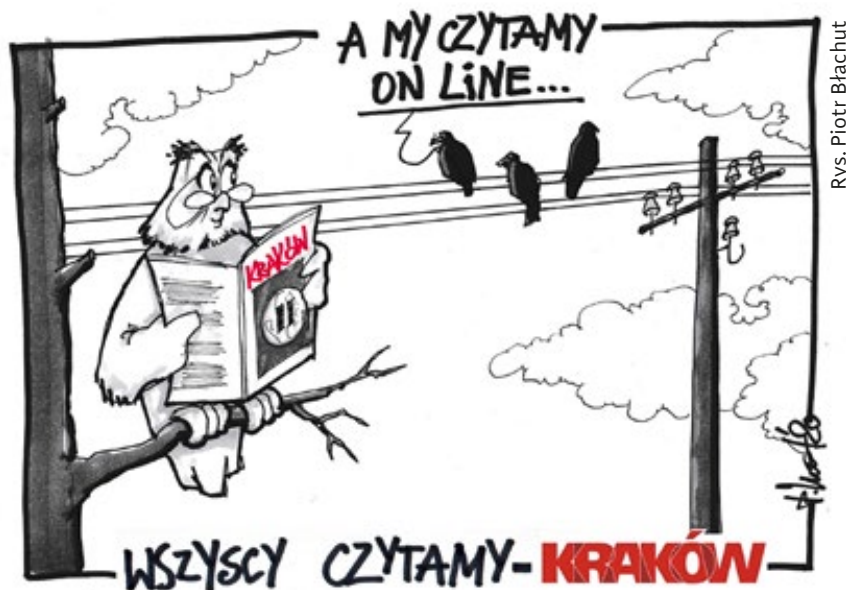
**Wizerunek pisma i współpraca reklamowa:** Edyta Wiśniowska, tel. 12/61 89 120, 661 22 82 82, e-mail: edyta.wisniowska@biblioteka.krakow.pl

**Adiustacja i korekta:** Anna Szczepańska-Krasoń, Janusz Krasoń

**Druk:** Drukarnia KOLUMB

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzega sobie prawo skracania, adiustacji i opracowania redakcyjnego tekstów oraz zmiany ich tytułów. Przedruki tylko po uzyskaniu zgody wydawcy i z zamieszczeniem adresu źródłowego.

Za treść ogłoszeń i reklam redakcja nie ponosi odpowiedzialności.



Rys. Piotr Błachut

## Polecamy prenumeratę bezpośrednio u wydawcy!

**Prenumerata redakcyjna** gwarantuje stały i bezpośredni kontakt z naszym czasopismem, które nie jest dostępne w każdym kiosku.

**Kontakt:** Aneta Mastela-Książek  
aneta.mastela@biblioteka.krakow.pl,  
tel.12/61 89 120

**Numer konta na wpłaty na rzecz miesięcznika, w tym na prenumeratę:** Biblioteka Kraków,  
pl. Jana Nowaka-Jeziorańskiego 3, 31-154 Kraków  
**Numer konta: 24 1020 2892 0000 5102 0677 8528**

Opis: prenumerata miesięcznika Kraków (tu adres wysyłki)

**Prenumerata roczna – taniej, pewniej, do domu!**  
(11 numerów, w tym wakacyjny)

– dla odbiorców mieszkających w kraju: **70 zł**

– dla mieszkających za granicą: **190 zł** (poczta priorytetowa, USA, Kanada, Australia) i **150 zł** (poczta zwykła, Europa).

W prenumeracie zamawianej na krótszy okres (np. do końca br.) koszt jednego numeru wraz

z wysyłką wynosi **7 zł** w kraju i **12 zł** za granicą.

**Prosimy o podanie adresu, pod jaki pismo ma być dostarczane!** Wysyłka rozpoczyna się od pierwszego numeru wydanego po dniu wpłaty.

**Numery archiwalne:** cena wraz z wysyłką – **7 zł** za egz. **Więcej informacji:** [www.miesiecznikkrakow.pl](http://www.miesiecznikkrakow.pl), Facebook: <https://www.facebook.com/miesiecznikkrakow/?ti=as>. Ponadto prenumeratę realizują: **RUCH, KOLPORTER, GARMOND** – szczególnie na witrynach internetowych kolporterów.

# W sieci kultury

Opracował Piotr Rachwaniec

## W tonacji kultury.pl

Ostatnio mam wrażenie, że kino polskie trzyma się nieźle, czego nie zawsze można powiedzieć o hollywoodzkim, które zdaje się cierpieć na brak pomysłów. Co jednak wyjdzie z połączenia polskiej szkoły filmowej z hollywoodzkim warsztatem? Serwis W tonacji kultury.pl przybliży kulisy współpracy polskiego reżysera Lecha Majewskiego z gwiazdami zza oceanu.

<http://wtonacjikultury.pl/2020/08/05/hollywoodzkie-gwiazdy-o-wspolpracy-z-lechem-majewskim/>

„Miałem szczęście w życiu, mogąc pracować z wieloma wielkimi, kreatywnymi reżyserami w Europie i w innych miejscach, i Lech jest jednym z takich ludzi – o bardzo szczególnym spojrzeniu na świat, obdarzonym charakterystyczną wizją i wyobraźnią” – mówi John Malkovich. Keir Dullea, grający główną rolę w legendarnej *2001: Odysei kosmicznej*, dodaje: „Jego zdolności wykraczają ponad talent zwykłego reżysera – jest tak utalentowaną indywidualnością, że robi to ogromne wrażenie. Bez cienia wątpliwości Lech jest najciekawszym reżyserem filmowym od czasów Stanleya Kubricka”.

## Teatralny.pl

Na łamach serwisu Teatralny.pl przeczytacie recenzję książki o genezie słów oraz o tym, jak zmieniał się w ciągu wieków język widziany przez pryzmat określeń... erotycznych. Pozycja zaopatrzona jest w słowniczek z ponad stu hasłami. I jest ciekawa nie tylko dla językoznawców.

<http://teatralny.pl/recenzje/laptop-i-inne-nieobyczajne-wyrazy,3103.html/>

Najpierw uwagę przyciąga okładka: reprodukcja anonimowego siedemnastowiecznego obrazu *Prostytutka z rajfurką* została opatrzona hasłami, które rozwiązują ikonograficzne zagadki. Wino oznacza grzech, pajak – pułapkę, brzoskwinie możemy interpretować jako pośladki... Znakomita i wyjątkowa w polskim piśmiennictwie książka Jerzego Limona rozpoczyna się (również dzięki umieszczonym w całości publikacji reprodukcjom dzieł z epoki) objaśnianiem kodów wizualnych, choć jej istotą jest docieranie do ukrytych, często zapoznanych znaczeń języka. Tego, którym posługiwał się William Szekspir i jemu współcześni.



Rys. Marek Braun



Opracowała Magda Huzarska-Szumiec

## Prezes na murze

Nie lada gratkę zafundował nam pewien graficyz, malując na jednej z kamienic w pobliżu kładki Bernatka mural przypominający kreskę i kolorami słynną *Dziewczynkę z balonikiem* Banksy'ego. Jednak zamiast dziewczynki krakowski artysta umieścił wizerunek Jarosława Kaczyńskiego, a uciekający mu balonik zyskał u niego kształt czerwonego serca. Dość szybko *Prezesem z balonikiem* zainteresowała się policja, sprawdzając, czy rysunek ma związek z jakimś wykroczeniem i, nie daj Boże!, obrażają majestatu. Do jakich wniosków doszli mundurowi, nie wiemy, ale po jakimś czasie mural został zamalowany. Choć jesteśmy przeciwnikami szpecenia elewacji krakowskich kamienic, to tym razem owo graffiti wzbudziło nasze zaciekawienie i otworzyło rozmaite możliwości interpretacyjne. Czy umykający prezesowi balonik w kształcie serca, to jego własne serce, które rozpostarł nad umiłowaną ojczyznę? Czy kolor czerwony serca nie jest przypadkiem symbolem lewactwa, które prezes raz na zawsze wysłał w kosmos? I czy aby graffiti nie chciał w swym dziele oddać nostalgii prezesa za czasami, kiedy z czerwonymi balonikami paradowało się w pierwszomajowych pochodach? A może jeszcze coś innego?

## PRL wiecznie żywy?

Zdarza nam się czasami przefrunąć z A-B do Balic, by posłuchać, co w lotniskowej trawie piszczy. No więc, hop! Nasz port lotniczy powoli wybudza się z pandemicznego letargu, a dowodem jest nie tylko wzrastająca liczba rejsów, ale też rozmaitych incydentów związanych z przekraczaniem granicy. Nas wprowadził w zdumienie szczególnie jeden. Otóż pewien 70-latek z USA przyleciał do Krakowa z paszportem Polskiej Rzeczy-

spolitej Ludowej, wydanym w 1992 roku w Chicago. Nie posiadał nie tylko ważnego dokumentu, ale również danych w systemie PESEL. Pojawił się więc problem z ustaleniem jego obywatelstwa. Ale ponieważ obywatel podróżował z polską żoną, dane z Urzędu Stanu Cywilnego o zawarłym małżeństwie pozwoliły sprawę rozwiązać po myśli owego pana. Nas ciekawi coś innego. Czy polskie służby dyplomatyczne w Chicago nie dostrzegły, że w 1992 roku PRL był już

na bocznicę historii i wciąż wydawały dokumenty ze słusznie minionej epoki? A może to ów polonus był łaskaw nie zauważyć, że w kraju jego przodków jednak coś się zmieniło i z dezynwolturą posługiwał się paszportem z orzełkiem bez korony? I wreszcie: jaki nasz kraj gość spodziewał się zastać? Bo jeśli tęskni wciąż za PRL-em, możemy odpowiedzieć mu kilka obszarów z naszego życia społecznego, w których nie czułby się zawiedziony.

## Pomnik krakowskiej przekupki

Nie grecka bogini symbolizująca muzę, nie książę Bolesław Wstydlawy, nie lajkonik, a nawet nie krakowska szopka – choć takie pomysły były brane pod uwagę. Za to na nadbudowanym do pałacu Krzysztoforów narożniku, u zbiegu ulic Szczepańskiej i Jagiellońskiej, pojawi się rzeźba krakowskiej przekupki. Nam ta idea bardzo się podoba, bowiem mało kto zdaje sobie sprawę z tego, ile dawni krakowianie zawdzięczają przekupkom, zwanym także babami. Otóż na placu Szczepańskim znajdował się targ, który przez prawie 200 lat zaopatrywał obywatele naszego grodu w jarzyny. Jak to ładnie ujął dyrektor Muzeum Historycznego Miasta Krakowa Michał Niezabitowski: „Każdy rosół krakowianina zaczynał się właśnie tu”. Ale żeby tak się stało, te prawdziwe bohaterki dawnych czasów musiały nad ranem pojawić się w Czarnej Wsi na Łobzowie i kupić od rolników towar, który dowoziły wózkami i sprzedawały z mniejszą lub większą marżą. Przekupka z pomnika będzie patrzeć więc w stronę placu Szczepańskiego i Czarnej Wsi, a o jej ostatecznym wyglądzie rozstrzygnie jury konkursowe. Dyrektor Niezabitowski chciałby odsłonić tę rzeźbę w czerwcu 2021 roku, kiedy nastąpi otwarcie pałacu Krzysztofora. Coś nam podpowiada, że turyści będą mieli o jedną pamiątkową fotkę z Krakowa więcej.

## Czym Grzegorzówka służył Róża

Nie, to nie będzie dyktando narodowe. Rzeczą dotyczy bowiem pewnego niefortunnego, sejmowego zaproszenia dla Róży Thun na uroczyste zaprzysiężenie nowego-starego prezydenta. Otóż na zaproszeniu pojawił się ortograficzny błąd w imieniu adresatki: zamiast Róża, stało Ruża. Pani Róża, która na szczęście posiada poczucie humoru, po otrzymaniu powyższego złożyła „Ókłony Pani Marszałek Elrzbiecie Witek”. Po takiej reakcji dyrektor Centrum Informacyjnego Sejmu Andrzej Grzegorzówka (też niełatwe nazwisko) wyraził ubolewanie, że do literówki doszło. Nas ta pomyłka mocno dziwi, zważywszy, iż swego czasu niemal każdy polityk PiS znał na pamięć pełną wersję imion i nazwisk naszej krakowskiej europosłanki, kładąc szczególny akcent na von Thun und Hohenstein.



## Higieniczny kościotrup

Złośliwcy powiadali, że dzięki pandemii koronawirusa Polacy nareszcie nauczą się dbać o higienę dłoni. Ale to nieprawda. Niedawne znaleziska archeologiczne w kościele Norbertanek udowadniają, że już w wiekach XVII-XVIII byliśmy narodem nadzwyczaj dbającym o czystość i to, można by rzec, do grobowej deski, a nawet o jeden dzień dłużej. Podczas odsłaniania romańskiego portalu w świątyni na Zwierzyńcu archeolodzy natrafi-

li na ślady kilku pochówków. Szczególnie jeden z nich potwierdza wyżej postawioną tezę. Otóż w drewnianej trumnie, w której spoczął ktoś zmarłego znaleziono dwa dające do myślenia przedmioty. Jednym z nich była łyżeczka do usuwania woskowiny z uszu, drugim – szpatułka do czyszczenia paznokci. Można zadać pytanie, po co nieboszczykowi ten kosmetyczny zestaw? Czyżby

wziął się on z wiary, że gdy przypadkiem zmarły obudzi się w trumnie, to pierwsze myśli skieruje w stronę brudnych paznokci i zatkaných uszu? A może łyżeczkę i szpatułkę podrzuciła mu żona z nadzieją, że kiedy jej mąż powita ją w przyszłości u niebamb, od razu ją usłyszy i wyciągnie zadbaną dłoń? Zestaw pewnie mógł się też znaleźć w trumnie przez przypadek. Ale to mało romantyczne wyjaśnienie.



 **Kraków**

**Street Theatre  
Festival**

**33.**

Kraków  
Tarnów  
4-6.09.  
2020

Organizacja  
Teatr KTO

Dyrektor  
artystyczny  
Jerzy Zoń

**Festiwal  
Teatrów  
Ulicznych**

**Dziwne zdarzenia  
Bizarre Acts**

[www.teatrkto.pl](http://www.teatrkto.pl)

Teatr KTO – Instytucja Kultury Miasta Krakowa





## Klub Przyjaciół miesięcznika „KRAKÓW”



Zofia Katarzyna Morstin, Kraków  
Magdalena i Piotr Maciukiewicz, Kraków

Anna Kozłowska i Damian Kalbarczyk, Kraków

Grzegorz Szymański, Warszawa  
Małgorzata Barońska-Jaguś i Paweł Jaguś, Kraków

Aleksander Skotnicki, Kraków  
Alicja i Krzysztof Goerlichowie, Kraków  
Beata i Wojciech Starowieyscy, Kraków

Stanisław Dudzik, Kraków  
Adam Michnik, Warszawa  
Marek Borkowski, Kraków

Janusz Szerła, Kraków  
Grzegorz Kogut, Kraków  
Robert Barański, Kraków

Józef Palinka, Warszawa  
Marek Braun, Kraków  
Krystyna Zachwatowicz, Kraków

Aleksander Herzog, Warszawa  
Jacek Purchla, Kraków  
Artur Wolski, Warszawa

Kazimierz Sumera, Zawoja  
Andrzej Gaworski, Warszawa  
Tomasz Janowski, Kraków

Józef Opalski, Kraków  
Halina i Leszek Domańscy, Kraków  
Katarzyna Janowska, Warszawa

Anna i Tadeusz Buczek, Katowice  
Stanisław Bisztyga, Kraków  
Ewa Przyboś-Razowska, Kraków

Krzysztof Bień, Kraków  
Teresa Bergier, Kraków  
Antoni Legeżyński, Kraków

Krystyna Sacha, Porąbka Uszewska  
Elżbieta Motas, Warszawa  
Jolanta i Jarosław Brudniccy, Kraków

Iwona Ben, Kraków  
Barbara i Andrzej Jajszyk, Kraków  
Józef Grudnik, Kraków

Teresa Pracz, Warszawa  
Alicja Jarkowska-Natkaniec, Kraków  
Ewa Rusek, Kraków

Andrzej Wyrobiec, Kraków  
Jarosław Poczykowski, Białystok  
Jadwiga Falkowska, Białystok

Marcin Barcz, Piaseczno  
Tomasz Langie, Kraków  
Tomasz Majka, Zawada

Jerzy Zoń, Kraków  
Amelia i Rafał Skąpcy, Jazowsko

Anna Kosioriewicz, Kraków  
Jerzy Hausner, Kraków  
Katarzyna Bilan-Zajac, Kraków

Monika Gierko-Libicka, Warszawa  
Waldemar Smolski, Kraków  
Rafał Bubnicki, Wrocław

Adam Opatowicz, Kołbaskowo  
Dominika Dudek, Kraków  
Wanda Chmielowska, Kraków

Hanna Gajewska-Kraczkowska, Pruszków  
Gerhard Gnauck, Sulejówkę  
Wacław Marszałek, Warszawa

Piotr Krzywiac, Warszawa  
Gwidon Dziwoki, Kraków  
Waldemar Zakrzewski, Szczecin

Renata i Wojciech Michna, Kraków  
Andrzej Kuźma, Kraków  
Jarosław Grzesiak, Kontancin-Jeziorna

Konstanty Gebert, Warszawa  
Michał Komar, Warszawa  
Agnieszka Odorowicz, Warszawa

Janusz Fogler, Legionowo  
Anna Tyniec, Kraków  
Czesław Misiólek, Ożarów Mazowiecki

Małgorzata Maruszkin, Warszawa

## Dołącz do Klubu Przyjaciół „Krakowa”!

Klub Przyjaciół Miesięcznika „Kraków” to ludzie i firmy, którym bliski jest duch Krakowa i polska kultura. Wystarczy wpłacić raz na dwanaście miesięcy 140 złotych (osoby), 500 zł (firmy), a nawet 1000 zł (PRZYJACIELE KULTURY), aby przez rok być wymienionym na liście Przyjaciół Pisma wraz z ewentualnym logo, dostawać

zaproszenia na wszystkie imprezy organizowane przez redakcję, w grudniu otrzymać w prezencie książkę pióra któregoś z Autorów pisma wraz z osobistą dedykacją i oczywiście co miesiąc dostawać kolejny numer „Krakowa”! A dla PRZYJACIÓŁ KULTURY czeka unikatowa reprodukcja grafiki Daniela Mroza!

### Wpłaty:

Biblioteka Kraków  
pl. Jana Nowaka-Jeziorańskiego 3  
31-154 Kraków  
24 1020 2892 0000 5102 0677 8528  
tytułem: Klub Miesięcznika „Kraków” – nie zapomnij podać adresu, na jaki mamy wysyłać nasz magazyn!  
Istnieje też możliwość uzyskania tytułu Złotego Mecenas Promocji „Krakowa” – zapraszamy do rozmów.



# Rozmowa

Tekst: Agnieszka Kosińska Ilustracja: Grzegorz Kozera

**W tej ciszy pytań i odpowiedzi, słowem, które huczy mi w głowie najczęściej ostatnio, jest słowo „rozmowa”: porozmawiaj z nią/z nim; przecież zawsze można porozmawiać; rozmowy zakończyły się fiaskiem; możesz zadzwonić i porozmawiać; czy mogę zadzwonić, bo chciałabym porozmawiać?**

Sięgnęłam więc po najgrubszą książkę, jaką smam w domu, a były to *Wiersze wszystkie* Miłosza, otworzyłam na indeksie tytułów i między *Rozbieraniem Justyny* a *Roztropnością* znalazłam takie oto utwory: *Rozmowa*, *Rozmowa o sławie*, *Rozmowa płocha*, *Rozmowa pomiędzy św. Antropologią, św. Teologią i człowiekiem*, *Rozmowa z Jeanne*, *Rozmowy na Wielkanoc 1620 roku*.

Z tego bogactwa zdecydowałam się na najprostszy. Oto jego początek:

Siedzieliśmy pijąc wódkę, Brodski, Venclova  
Ze swoją piękną Szwedką, ja, Richard,  
Koło Art Gallery, pod koniec stulecia,  
Które obudziło się jak z ciężkiego snu  
I spytało w zdumieniu: „Co to było?  
Jak mogliśmy? Chyba układ gwiazd,  
Plamy na słońcu?

– Bo Historia

Przestaje być zrozumiąta. Ród nasz  
Nie podlega żadnemu rozumnemu prawu,  
Granice jego natury nieznane.  
Nie jest tym samym co ja, ty, człowiek.  
– Powraca tedy ludzkość do ulubionych zajęć  
Na wielkiej przerwie. (...)

Wiersz *Rozmowa* pochodzi z cyklu *W Yale* zamieszczonym przez autora w tomie *Dalsze okolice*, wydanym w 1991 roku przez Znak. Powyższy fragment cytuję za edycją: Czesław Miłosz: *Wiersze wszystkie*, wydanie drugie uzupełnione, Znak, Kraków, 2015.



**Agnieszka Kosińska:** lubi lubić. Jej strona autorska: <https://kosinska-miloszwkrakowie.com>



Fot. Adam Gut

**Grzegorz Kozera**, ur. 1983 w Warszawie. Historyk sztuki, malarz i autor kolaży. Cytuje wielkich mistrzów, obrazuje przeciętne życie i wycina mikrodetale. Chętnie zagląda

do książek, nie tylko dla ilustracji. Lubi poezję (jak rosół z makaronem) i inne lektury nieobowiązkowe. Jego dzieła zebrane na: [www.grzegorz-kozera.pl](http://www.grzegorz-kozera.pl).



# Zapraszamy na wydarzenia W 2020

**Wystawa plenerowa**  
*500 lat historii Willi Decjusza*  
sierpień-grudzień

–  
**Festiwal Wielokulturowy**  
wrzesień/październik

–  
**Wystawa**  
*Polish Americans/American Poles*  
na krakowskich Plantach – październik

–  
**Koncert**  
**z okazji Jubileuszu 25-lecia  
odnowienia Willi Decjusza**  
Stanisław Słowiński Septet  
oraz Slotart Orchestra  
Gala finałowa trasy koncertowej  
Visions promo tour.  
6 września 2020

**Cykl spotkań artystycznych  
w ramach Villa Artis Online**  
wrzesień-grudzień

–  
**Spotkania Okrągłego Stołu  
poświęcone dziedzictwu  
kulturowemu**  
październik-listopad

–  
**Interpretacja dziedzictwa  
warsztaty i spotkania  
z udziałem osób  
niewidomych**  
październik

–  
**Ochrona i zarządzanie  
dziedzictwem kulturowym**  
Konferencja online  
1 grudnia 2020

Więcej o wydarzeniach na:  
[www.willadecjusza.pl](http://www.willadecjusza.pl)





*Na skróty; fot. Przemek Czaja*